

MAREK HŁASKO

PIĘKNI
DWUDZIESTOLETNI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1966

MAREK HŁASKO

PIĘKNI, DWUDZIESTOLETNI

IMPRIMERIE EN FRANCE

Éditions: INSTITUT ESTRIENNE, SA S.A.
41, avenue de la République, 92000 Nanterre
par MAISONNIEUX (France)

PARIS

1968

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM CXXXVIII

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

MAREK HŁASKO

PIĘKNI
DWUDZIESTOLETNI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1966

MARK HŁASKO

TEGOŻ AUTORA

Pierwszy krok w chmurach, Czytelnik. Warszawa, 1956.

Cmentarze. Następny do raju, Instytut Literacki, Paryż, 1958 (trzy wydania).

Hrbitovy, Instytut Literacki, Paryż, 1959.

Opowiadania, Instytut Literacki, Paryż 1963.

Brudne czyny, Wszyscy byli odwrócenii. Instytut Literacki, Paryż, 1964.



732.758

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001009520811

© Copyright pour la langue polonaise by
INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1966

1966 W 1027

SZNUROWADEŁKA, PASECZEK, KRAWACIK

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, w lutym, wysiadłem na lotnisku Orly z samolotu który wystartował z Warszawy. Miałem przy sobie osiem dolarów; miałem dwadzieścia cztery lata; byłem autorem wydanego tomu opowiadań oraz dwóch książek których wydać mi nie chciano. Byłem także laureatem Nagrody Wydawców, którą otrzymałem na kilka tygodni przed wyjazdem z Warszawy. I jeszcze jedno: zostałem uznany za człowieka skończonego i stwierdzone zostało ponad wszelką wątpliwość, że niczego już nigdy nie napiszę. Jak powiedziałem, miałem wtedy dwadzieścia cztery lata — ci, którzy pogrzebali mnie szybko z wprawą zawodowych grabarzy, byli ludźmi starszymi ode mnie o lat trzydzieści, lub więcej. Adolf Rudnicki napisał kiedyś, że najmodniejszym kierunkiem w literaturze polskiej, jest miażdżenie i niszczenie. Ten sam Adolf Rudnicki, kiedy wydrukowałem swoje pierwsze opowiadanie, zapytał mnie: „Czy pańscy koledzy mówią już, że pan się skończył?” „Dlaczego?” — zapytałem. „Bo ja — powiedział Rudnicki — kiedy napisałem *Szczury*, moją pierwszą książkę; spotkałem Karola Irzykowskiego i Irzykowski spytał: Czy pańscy koledzy mówią już, że pan się skończył?”

Wysiadając z samolotu na lotnisku Orly myślałem,

że najpóźniej za rok będę z powrotem w Warszawie. Dzisiaj wiem, że nie wrócę do Polski już nigdy; pisząc to jednak wiem także, że chciałbym się omylić. Przez wiele lat nie mówiłem po polsku; żona moja jest Niemką; wszyscy moi przyjaciele są Amerykanami lub Szwajcarami i z przerażeniem zauważyłem, że począłem myśleć w obcym języku i tłumaczyć to sobie na polski. Wiem, że to oznacza mój koniec; moi grabarze z Warszawy nie pomylili się. W tym zawodzie człowiek myli się najrzadziej.

Nie mówiłem nigdy nikomu o motywach które skłoniły mnie do pozostania na Zachodzie. Kiedy pytali mnie dziennikarze — odpowiadałem im najgłupiej jak tylko umiałem; wreszcie odczepili się ode mnie. Nie umiałem odpowiedzieć dlaczego opuściłem mój kraj ponieważ nie opuściłem go nigdy. Spróbuję jednak napisać o tym, dlaczego mieszkam w innym kraju a właściwie w innych krajach: mieszkałem już w Anglii, Hiszpanii, w Niemczech, w Szwajcarii, Francji, Austrii, Danii, Izraelu i jeszcze paru innych.

Zacząłem pisać mając lat osiemnaście; winna jest moja matka która dawała mi książki do czytania — tak, że stało się to moim drugim nałogiem. Szkoły nie ukończyłem; częściowo na skutek komplikacji rodzinnych, częściowo na skutek idiotyzmu, stwierdzonego przez nauczycieli. Nie jestem pewien do dzisiaj, czy między fizyką, algebrą, matematyką i chemią zachodzi jakakolwiek różnica i nigdy się tego nie dowiem. Nie wiem, czy czterdzieści dziewięć da się w ogóle podzielić przez jakąkolwiek cyfrę; jeśli to się w ogóle jakimś cudem uda, to na pewno nie mnie. Przez szkołę powszechną przepchałem się tylko dzięki temu, że nauczycielem matematyki był ten sam nauczyciel który uczył języka polskiego. Kiedy w czasie wojny chodziłem do szkół sióstr zakonnych w Warszawie na Tamce panował tam zwyczaj, że najgorszemu uczniowi przyczepiano olbrzymie ośle uszy z papieru; nosiłem je przez cały czas. Po wojnie „jak wybuchła no-

wa Polska” sytuacja moja polepszyła się nieco; nie potrzebowałem nosić oślich uszu — po prostu stałem sobie w kącie, odwrócony twarzą do ściany. W tych warunkach ciężko nauczyć się czegokolwiek; ale do ósmej klasy dawałem sobie jakoś radę „jadąc” na wypracowaniach z polskiego.

Potem zaczęła się katorga. Ze szkoły ogólnokształcącej wyrzucono mnie za głupotę: była to szkoła numer dwa imienia La Guardii, potem — Marii Konopnickiej. Na wniosek kuratora posłano mnie do poradni — nie jestem pewien czy dobrze zacytuję nazwę — psychotechnicznej, czy coś w tym rodzaju. Kazano mi układać jakieś klocki, kazano mi do jakichś idiotycznych tekstów wpisywać brakujące słowa, zadawano mi szokujące pytania dotyczące moich rodziców i krewnych; wreszcie kazano mi się rozebrać do naga i uznano za niezdolnego do nauki w szkole typu humanistycznego; posłano mnie do szkoły handlowej we Wrocławiu — czy też do Spółdzielczo-Handlowej, wychodząc widocznie z założenia, że idioci niezbędni są w handlu; być może, chodziło tu o dobro kupujących. Nie wiem.

Kariera moja skończyła się po paru lekcjach matematyki. W tym czasie otworzono w Warszawie Szkołę Techniczno-Teatralną; pojechaliśmy razem z moim bratem Józefem — przez trzy miesiące brat mój odrabiał za mnie zadania z matematyki, chemii i algebry, jednak na skutek tak zwanej waśni rodowej przestał; wyrzucono mnie znowu. Była to dobra szkoła; mieściła się w gmachu YMCA w Warszawie i mieliśmy basen. Dyrektorem szkoły był — o ile pamiętam — Żmigrodzki, imponujący brodacz który mógłby grać kapitana statku z opowiadania Conrada „U kresu sił”. Tam też poznałem Basię Świdzińską, ślicznego, rubensowskiego aniołka i zapalałem ku niej uczuciem. Bez wzajemności.

Wróciłem do Wrocławia gdzie zacząłem pracować i chodzić jednocześnie do wieczorowej szkoły rzemieślniczej; już nie pamiętam dlaczego mnie wyrzucono. Wtedy

zaczęłam grać w klubie sportowym jako środkowy napastnik. Nie byłem utalentowanym graczem; ale na boisku odznaczałem się zwierzęcym okrucieństwem. Jak w tym opowiadaniu Capka, przed każdym meczem sekretarz klubu wzywał mnie, mówiąc: Hłasko — jeśli nie skocicie przynajmniej dwóch, zostaniecie usunięci z klubu dyscyplinarnie. W tymże klubie sportowym nauczyłem się również grać w pokera; tamże poznałem Tadka Mazura, który był „bratankiem” jednego z pisarzy nie ulegającego w sposób przesadny wdziękom kobiecym. Tadek sam próbował pisać; przychodziłem czasem do niego i w ten sposób poznałem jego „wuję” — był to pierwszy człowiek piszący którego poznałem osobiście. Tam też poznałem „Kape” — innego kolegę, który był potem naszym lewym napastnikiem i który umiał kopać przeciwnika najpierw w piszczel a padającego już — w twarz. Kape — to strzał prawą lub lewą stroną buta; oczywiście zewnętrzną. Kape potrafił tak kopnąć zawodnika, że sędzia nie mógł tego zauważyć. Był przy tym bardzo grzeczny: zawsze podnosił skopanego i kłaniał się sędziemu. Widziałem potem podobnego gościa: był to bokser wagi lekkiej, Debisz z Łodzi, „Gentleman ringu”: potrafił w mgnieniu oka uderzyć jednocześnie poniżej pasa i doprawić łokciem w łuk brwiowy; po czym ze skruszoną miną kłaniał się sędziemu. Wygrywał dziewięćdziesiąt procent walk przez techniczne K. O.

Tadek, Kape i ja chodziliśmy co niedziela do Hali Stulecia we Wrocławiu gdzie odbywały się mecze bokserkie. Nie dysponując jednak funduszami wchodziliśmy przez dach, co nie wykluczało utraty życia. Gospodarzem hali był wówczas sędzia Mikoła — atletyczny grubas który wyrzucał nas kopniakiem; potem jednak polubił nas wszystkich za fanatyzm i wpuszczał nas bez biletów. Naszym ideałem był wtedy Ryszard Waluga — chyba z IKS Wrocław. By to dobry *fighter* o silnym ciosie i świetnej technice; potem jednak kochaliśmy wszyscy Kasperczaka „Laleczkę”, naszego pierwszego powojennego Mis-

trza Europy. Chodząc na mecze poznałem — z daleka — dwóch innych pisarzy. Jednym był Staś Dygat, siedzący zawsze w pierwszym rzędzie z miną pełną dezaprobaty; a w czasie mistrzostw Polski w roku 1949 ujrzałem „Straszego Józia” Prutkowskiego. Widziałem wtedy najpiękniejszą walkę mojego życia: Antkiewicz — Bazarnik w piórkowej. Ale ideałem naszym był „Tolek”. Żeby zobaczyć walkę „Tolka” z Czechosłowakiem Tormą jechaliśmy we trójkę bez biletów z Wrocławia do Warszawy; bez biletów weszliśmy na salę i bez biletów wróciliśmy do Wrocławia.

My wszyscy: Tadek, Kape i ja, żyliśmy z pokera, grając — jak to się mówiło — na RGO. Po małym interesie zaczęły się psuć: za hazard usunięto nas z klubu; Tadek poszedł do więzienia a ja z Kapem wzięliśmy się za bandytyzm. Pierwszą poważną pracę przeprowadziliśmy w szkole handlowej; o możliwościach tej imprezy poinformował nas inny kolega klubowy „Kaczor”. Kaczor wybił, niby to niechcący, okno w szatni szkolnej wychodzące na sąsiednią ulicę. Następnego dnia Kape czekał już tam a ja wzięwszy teczkę wszedłem z innymi uczniami do szatni i ukryłem się za paltami. Byłem wtedy chłopcem małym o szczerym spojrzeniu Słowianina który kłamie. Lekcja się zaczęła; woźny szkolny zamknął szatnię na klucz a wtedy ja wybierałem co cenniejsze sztuki z garderoby i podawałem je Kapemu; potem wyszedłem sam przez okno i już po godzinie sprzedaliśmy wszystko na Placu Biskupa Nankiera gdzie mieścił się czarny rynek. Dowiedzieliśmy się pewnego dnia, że w drugim ogólnokształcącym gimnazjum przy ulicy Stalina, odbędzie się zabawa szkolna i że przyjdzie tam porucznik UB, który kochał się w jednej z uczenic. Wierzyliśmy głęboko, że porucznik zostawi pistolet w szatni, a ja już tam byłem. Broń przydała nam się parę razy; potem jednak Kape upił się, zgubił pistolet i rozwiązaliśmy spółkę.

Skończyłem wtedy szesnaście lat i ustawowo, jako nie uczący się, musiałem zacząć pracować. Pracowałem

jako pomocnik szofera w PPB; potem w firmie PAGED, w bazie Bystrzyca Kłodzka. Napisałem o tym książkę; w wiele lat później, Krzysztof Toeplitz, w swym artykule „Święci Młodziankowie” napisał, że jest to opowieść o ludziach jak to sobie wyobraża mały Mareczek. Pytano mnie wielokrotnie, czy rzeczywiście było tam tak, jak o tym napisałem. Nie, nie było tak. Było o wiele gorzej: wstawaliśmy rano o czwartej a o dziesiątej wieczór kończyliśmy rozładunek na stacji; potem jechało się jeszcze czterdzieści kilometrów do domu co przy samochodzie typu GMC z przyczepą, po górskich drogach, zabierało około dwóch godzin. Potem jeszcze gotowaliśmy sobie jeść, a potem dopiero kładliśmy się spać. Niedziela i święta nie było; pod koniec miesiąca kierownik Bazy w Bystrzycy Kłodzkiej oświadczał nam, że wyrobiliśmy około czterdziestu, czasami około czterdziestu pięciu procent normy. Pracowałem tam stosunkowo niedługo; oszczędłem, gdyż groziło mi więzienie za sabotaż gospodarczy. W tym czasie widziałem dwa wypadki śmiertelne i jeden wypadek złamania kręgosłupa; zresztą ten też zdaje się umarł już w szpitalu, gdyż nie byliśmy w stanie odtransportować go natychmiast; nasze samochody przystosowane były do przewozu kłonic więc nie można go było położyć. Zараbiałem wtedy około siedmiuset złotych miesięcznie.

Tadeusz Konwicky powiedział mi: to nie jest książka, to jest *Western*. Miał rację. nigdy nie mogłem zrozumieć na czym polega nieszczęście literatury polskiej. Logicznie rzecz biorąc, mało który naród ma tak wiele szans na dobrą literaturę jak my, Polacy. Mamy wszystko: nieszczęścia, mordy polityczne, wieczną okupację, donosicielstwo, nędzę, rozpacz, pijaństwo — czegoż jeszcze trzeba, na Boga? Żyjąc w Izraelu mieszkałem z najgorszymi szumowinami nigdy jednak nie spotkałem ludzi tak zrozpaczonych, zwierzęcych i nieszczęśliwych jak w Polsce. Genezą *Western*'u jest obsesja sprawiedliwości: samotny człowiek który musi niszczyć zło i przemoc. To nieważne że robi się tysiące szmir, ale Jesse James, Earp i inni

szybkorecy są postaciami prawdziwymi. Taką postacią mógłby być komunista; człowiek który wprowadza ład i spokój w spalonym kraju i wśród ludzi zdeprawowanych nieszczęściami — gdyby o to chodziło *commies**. Wśród tysięcy śmieci które przeczytałem o *commies* nie spotkałem takiego człowieka. Tylko jeden Jerzy Andrzejewski pokazał komunistę: to Podgórski z „Popiołu i Diamentu”. Podgórski sądzi człowieka który był kapo w obozie, ale ten pierwszy pojedynek przegrywa. Jest jeszcze człowiekiem; w parę lat później stałby się prawdopodobnie majorem z arcydzieła Andrzeja Mandaljana. Lub sędzią Gletkinem z Koestlera. Ale najprawdopodobniej Rubaszowem, którego sądzi Gletkin.

Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciw *commies*. Tak długo jak oni popełniają świństwa a ja mogę o tym pisać — wszystko jest dla mnie O.K. Jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia; sprawa jest dla mnie obojętna, byle by proces był ciekawy. To wszystko. Życie które mi dano jest tylko opowieścią; ale jak ja ją opowiem, to już moja sprawa. Jedynie o to mi chodzi.

Pisząc to, zapytałem jednego ze swych przyjaciół czy mam rację, mówiąc, że my, Polacy, mamy wszystko co trzeba, żeby dobrze mówić. Powiedział, że nie; powiedział, że Polacy są zbyt zmęczeni i ogłupieni; i zbyt zrezygnowani. Nie rozumiem; czy chirurg ma prawo do zmęczenia jeśli przywieżą mu kogoś kogo trzeba operować. Nie wiem. Pamiętam, że stojąc kiedyś z Pawłem Hertzem w barze skarżyłem mu się na kłopoty, na brak pieniędzy, na trudności z redaktorami. Hertz spojrzał na mnie z niesmakiem. Powiedział: „O ile pana dobrze zrozumiałem, pan chce się zająć pisaniem. To nie jest zajęcie przyjemne ani dla pana, ani dla ludzi którzy będą pana czytać. Czegoż pan oczekuje?” Odwrócił się wzruszywszy uprzednio ramionami; nasza rozmowa była zakończona.

Więc odszedłem wtedy z lasu i wróciłem do Warszawy.

* Gwarowe amerykańskie określenie komunisty.



wy; zacząłem pracować w firmie „Metrobudowa”. Pracowałem jako łądownacz; po jakimś czasie zacząłem pracować w dziale zaopatrzenia. Była to świetna praca; po prostu chodziłem po mieście z zamówieniami na części samochodowe do rozmaitych firm i tam przybijano mi pieczętkę: CZĘŚCI BRAK. Potem szło się do tak zwanego sektoru uspołecznionego — czyli do małych wytwórni rzemieślniczych. Jedyna różnica między sektorem państwowym a uspołecznionym polegała na tym, że w państwowym przybijali pieczętkę „CZĘŚCI BRAK” a w uspołecznionym „CZĘŚCI NIE MA”. To wszystko. Wtedy robiło się tak zwany „protokół konieczności zakupu”, który podpisywali kierownik zaopatrzenia, kierownik rady zakładowej i sekretarz partii oraz kierowca unieruchomionego samochodu jak również kierownik warsztatu. Potem ja brałem butelkę wódki i jechałem do znajomego magazyniera z innej firmy, który mi dawał brakującą część. Następnie szedłem do sklepu komisowego na Chmielnej gdzie część tę zastawiałem; mój wspólnik przychodził za godzinę i wykupywał; potem urządzało się przyjęcie towarzyskie. Był to mój własny system: wtedy nauczyłem się myśleć dramatycznie.

Któregoś dnia przyszła jakaś straszna baba i wezwał mnie kierownik Bazy.

— Do partii należysz?

— Nie.

— Do TPPR?

— Nie.

— Do Związków Zawodowych?

— Nie.

— To będziesz korespondentem robotniczym.

Ta straszna baba była z „Trybuny Ludu”. „Trybuna Ludu” miała swoich tak zwanych „korespondentów terenowych”, którzy pisali o bolączkach i osiągnięciach zakładów pracy. Zacząłem więc pisać o tym, że brakuje części zamiennych, że samochody mają zbyt długie przebiegi ponieważ jest zbyt mało pomp benzynowych, które

w dodatku nie są automatyczne i o tego rodzaju sprawach. Pewnego dnia wezwano mnie do „Trybuny Ludu”. Dostałem nagrodę; była to powieść Anatola Rybakowa pt. „Kierowcy”. Tej nie zapomnę.

Była to pierwsza soc-realistyczna książka jaką przeczytałem; muszę przyznać, że wpadłem w osłupienie. Tak głupio i ja potrafię, powiedziałem sobie. I zacząłem.

Z „Metrobudowy” wyrzucono mnie. Nie mogłem znaleźć pracy; za dużo było kierowców, za mało wozów. „Trybuna Ludu” wsadziła mnie do Warszawskiej Spółdzielni Spożywców; kiedy zorientowałem się, że jestem konfidentem policji było już za późno.

Praca w WSS była bardzo ciężka: baza mieściła się przy ulicy Sokołowskiej — ja mieszkałem tuż przy Marymoncie. O czwartej rano musiałem być już „na bazie”, jak to się mówiło; wstawałem często o drugiej i maszerowałem przez Powązki. Szedłem śpiąc; można nawet i tak. Potem zaczynał się koszmar; silnik nie chciał zaskoczyć; trzeba się było kłaść pod karterem z zapaloną lampą benzynową, gdyż gorąca woda grzana dla nas przez nocnych kierowców pomagała tyleż co wyskakującemu bez spadochronu odmawianie pacierza. Wreszcie jechało się na „Zieleniak” — tam już czekali chłopci-badylarze, którzy jechali przez noc; Warszawa musiała mieć o siódmej rano warzywa. Jechaliśmy zawsze w czterech; ja, mój pomocnik, konwojent i ładowacz. Konwojent płacił chłopu gotówką, warzywa dzielono na trzy kategorie. Kategoria pierwsza była płatna najwyżej: konwojent wypisywał chłopu kwit na pierwszą i płacił za trzecią. Chłop nie miał wyboru; nasi konwojenci z WSS mieli umowę z konwojentami MHD. Jeśli chłop nie chciał sprzedać — nie kupił nikt i musiał wracać do domu i wyrzucić warzywa. Zmowy tej nikt nie złamał: ani nasi z WSS, ani tamci z MHD; za to groziła, jak to nazywają gazety, „rozprawa nożowa”. Bardzo słuszna nazwa.

W ten sposób dorabiało się nieco na boku; kiedy wra-

caliśmy około godziny siódmej na Bazę — czekała tam zawsze policja i sprawdzała czy nie jesteśmy pijani; to już był punkt zahaczenia. Zajęcie ich o tyle było pozbawione sensu, że kierowca WSS — jak powiadają chłopci — „nie miał prawa” być trzeźwy. W tym celu zakupowano butelkę wódki, którą wręczało się policjantom czekającym „na bramie”. Tak robiliśmy my, kierowcy z Zieleniaka. Kierowcy z Ząbkowskiej czyli „Monopolowi” dawali sobie radę na swój sposób. Wódkę ciężko jest ukraść, w wypadku stłuczenia butelki należy pokazać szyjkę z zalakowaną główką i załączyć protokół zniszczenia; ale na to szkoda było czasu. Nabywało się więc strzykawkę lekarską z igłą do zastrzyków domięśniowych; wyciągało się z każdej butelki setkę wódki i uzupełniało wodą.

Potem przeniesiono mnie z Zieleniaka „na rzeźnię”. Tam najciężej było kraść; ale kradło się i tam. Przy wjeździe na wagę kierownik rzeźni wypisywał wagę wozu, potem jechało się na halę okrężną drogą. Ja stawałem i mówiłem do pomocnika: „Zdzisiek, spuszcza wachę”. Pomocnik kładł się pod wóz i otwierał kurek chłodnicy: w ten sposób wóz kładł się lżejszy o dwadzieścia kilo — tę różnicę inkasowaliśmy w mięsie. Potem, tuż za bramą rzeźni nalewało się znów wody. Wreszcie ci z rzeźni skapowali; wtedy spuszczało się benzynę. Gdzie „odpalało” się mięso — te dwadzieścia kilo — pozostanie moją tajemnicą.

Przekleństwem naszym, kierowców z WSS, była tak zwana „Akcja ziemniaczana”. Jechało się wtedy po kartofle na wieś; ale kartofli sprzedać nie było komu. My, warszawscy kierowcy, i tu znaleźli kolorowego ptaka. Jechało się „na akcję” w kilkanaście wozów; lepsze wozy ciągnęły słabsze; licznik wybijał kilometry a potem benzynę sprzedawało się taksówkarzom prywatnym. Miałem wtedy osiemnaście lat; pisząc o tym dzisiaj, nie wstydę się tego. Niech się wstydzą ci, którzy mnie do tego zmusili. Pracując po czternaście godzin dziennie, włącznie z niedzielami i świętami, zarabiałem około siedmiuset zło-

tych miesięcznie. Nie miałem mieszkania, mieszkałem na korytarzu. Pierwsze ubranie sprawiłem sobie mając dwadzieścia dwa lata. Dzisiaj nie potrzebne mi nawet i ubranie; i tak nie mam dokąd iść.

Siła *commies* polega na tandecie ich ideologii; robotnik niemiecki oblicza sobie, że z chwilą kiedy majątek Thyssenów czy Kruppów zostanie upaństwowiony — jego dochody wzrosną o tysiąc procent. Siła *commies* polega na fantastyczności zjawiska. Gdybym powiedział robotnikowi niemieckiemu, że pracując czterysta dwadzieścia godzin w miesiącu mogłem sobie za to kupić kiepską parę butów — wzruszyłby ramionami i odszedł. I teraz, gdybym powiedział swojemu pomocnikowi: „Zdzisiek — niemiecki kierowca może w ciągu roku kupić sobie samochód; za swoją miesięczną pracę cztery ubrania; może pojechać do Włoch na urlop” — dostałbym w zęby tak, jak nigdy jeszcze nie dostałem. Dziennikarze niemieccy zawsze mówili do mnie: „Niech pan nie zapomina o tym, że to oni pierwsi weszli na niebo”. Nie jestem inżynierem; ale wydaje mi się, że o sukcesie technicznym można mówić tylko wtedy, jeśli zna się koszty inwestycji. Jeśli kosztem tysięcy drzew wyprodukuje się tysiąc wykałaczek, to wtedy jest tylko zabawa. Kennedy czy Johnson musi się wykłócać z Kongresem o każdy grosz, który idzie na *space-action*; naród amerykański zna te cyfry z prasy i z telewizji; przez lata śmieli się siedząc przy telewizorach i obserwując pociski spadające po trzech sekundach lotu. Nie wiem ilu ludzi zamęczono i zlikwidowano zanim Gagarin ukazał światu swoją twarz; i nie wiem ile było nieudanych prób. Dopóki nie dowiem się tego nie będę umiał cieszyć się z sukcesów moich kapryśnych braci.

Ale wtedy, w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim, nie myślałem jeszcze o tym. Myślałem o zupełnie innych rzeczach tego dnia, kiedy stałem w Pałacu Moskowskich a dyżurny milicjant powiedział do mnie:

— Paseczek. Szurowadełka. I krawat.

— Nie noszę krawatu — powiedziałem i podpisałem kwit.

Mistrzem mojej młodości nie był Hemingway ani Jerzy Andrzejewski. Był nim Tadeusz Barwiński, oficer Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Jak powiedziałem, pracowałem w Warszawskiej Spółdzielni Spożywców jako kierowca skierowany tam, przez kierownika wydziału korespondentów terenowych „Trybuny Ludu”. Był to rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi. W owych czasach, w każdym dużym przedsiębiorstwie był tak zwany „Samodzielny Wydział Wojskowy”: kiedy indziej nazywało się to: „Samodzielny Wydział Ochrony”; i jeszcze inaczej. Była to komórka Urzędu Bezpieczeństwa; referent — taki był tytuł tego bezpieczniaka — miał swoich kapusi wśród pracowników odnośnego urzędu, którzy dostarczali mu informacji o ludziach; a on już wiedział co z tym robić dalej.

Pewnego dnia około godziny siódmej po południu kiedy — jak to się mówiło — „zjechałem” na bazę, dyspozytor powiedział do mnie:

— Masz iść do „samodzielnego”.

— Pracujesz dziś na noc? — zapytałem go.

— Tak. Do szóstej.

— Jeśli nie wrócę, powiedz mojej matce.

— Gdybyś miał nie wrócić, zgarnęliby cię z domu — powiedział.

Gdybym w owych czasach czytał Hemingway’a, odpowiedziałbym mu: „To jedna z tych rzeczy których się nigdy nie wie”. Powiedziałem jednak tylko: Bóg to jedyny wie.

Poszedłem. Siedział tam mały facet w okularach; drzwi były obite skórą; chodziło pewnie o to, aby w przesłuchiwanym wywołać nastrój grozy. Wszystko jak w

kiepskich filmach. Kiedyś widziałem taki film, czy może czytałem taką książkę:

„ — Czy wiesz co to jest? — zapytał Sean biorąc ze stołu leżącą tam łyżeczkę do herbaty.

— Srebro — powiedział Jack. — Kupiłeś to od Harry-konia. To z tej roboty na 77 street. Można tym mieszać herbatę. Dajesz bardzo kiepską herbatę, Sean. Czy taką piją u was w Dublinie?

— Nie tylko taką — rzekł Sean uśmiechnąwszy się krzywo. — Dostaniesz dobrą w takiej jednej, która nazywa się „Dirty Dick”. A co do łyżeczki, to można nią także wyłupać oko.

Tego krzyku Treppengelder już nie zapomni”.

Albo inaczej:

„Strzał z czterdziestki piątki szczerknął krótko a ja strzeliłem jej prosto w brzuch, myśląc: Micky, tam przecież siedzi twoje dziecko. Ale nie mogłem inaczej; Chryste, Panie — naprawdę nie mogłem inaczej. Pomyślałem o tym jak Nick szedł na fotel i o jego wystrzyżonej głowie którą mu ostrzygli aby lepiej przylegała elektroda. Gdyby nie Nick, może mógłbym inaczej. Ale nie mogłem; pochyliłem się nad nią i widziałem konające światło w jej oczach.

— Jak mogłeś — szepnęła.

Milczałem przez chwilę; potem rzekłem:

— To nie było wcale trudne”.

Może zresztą nie cytuję dokładnie. Nie o to jednak chodzi. Ze mną nie było aż tak zabawnie. „Samodzielny” kazał mi usiąść.

— Jak się nazywacie?

— Marek Hłasko.

— Urodzony?

— Czternasty, pierwszy, trzydziesty czwarty.

— Gdzie?

— W Warszawie.

— Ojciec.

— Maciej.

— Zawód.

— Adwokat.

„Samodzielny” zdziwił się.

— Adwokat?

— Adwokat.

— Żyje?

— Nie.

— Matka?

I tak dalej, i tak dalej. Wreszcie powiedział:

— Wy zostaliście tutaj skierowani przez „Trybunę Ludu”?

— Tak.

— Jako korespondent terenowy?

— Tak.

— Dlaczego przestaliście pisać?

— Pracuję po czternaście godzin na dobę. Nie mam kiedy.

— Nie potrzebujecie więcej pisać — powiedział „Samodzielny”. — O wszystkim będziecie mówić mnie.

— O czym?

Teraz zaczyna się Mike Hammer. Może zresztą „Lord Lister, czyli tajemniczy nieznajomy”. We wszystkich tych książeczkach zawsze było: „czyli”. „Lord Lister — czyli tajemniczy nieznajomy”. „Ken Maynard — czyli mściciel prerii”. „Jerzy Rolicz — czyli szesnastoletni chłopiec wśród Thugów”. Ale najlepszy był Lister. Moja matka, która kazała mi czytać, wepchnęła mi kiedyś Żeromskiego; miałem wtedy dziesięć lat. Przeczytałem zdanie: „Śnica zapuścił sępie spojrzenie swoich źrenic w jej duszę”. Poczułem się zwolniony na zawsze od obowiązku czytania Żeromskiego; wziąłem pełne wydanie Mortkowicza i zaniósłem na ulicę Ciepłą, gdzie był warsztat naprawy lalek i jednocześnie antykwariat; zamieniłem komplet Żeromskiego na Lorda Listera i o tym drugim który zawsze mówił „Nie podaje się nigdy ręki mańkutowi. To mi nieraz ocaliło życie”. Już nie pamiętam, jak się nazywał ten szybkołeki. Dostałem od matki pasem, który został jeszcze po moim dziadku; dziadek był komendantem Straży Pożarnej Miasta Stołecznego Warszawy a wszyscy wiemy, że pasy strażackie są najszersze i mają najwięcej miedzianych sprzączek.

„Mike” wyjął pistolet.

— Wiecie co to jest?

— Wiem.
— Co?
— Radziecki pistolet TT.
— A skąd to wiecie?
— Widziałem to na filmie z Pawłem Kadoźnikowem. Paweł Kadoźnikow był radzieckim wywiadowcą i musiał zabić niemieckiego szpiega. Wyciągnął pistolet i powiedział: „Mocą i prawem danym mi przez ojczyznę...”

Samodzielny przerwał mi:

— Macie narzeczoną?

— Mam.

— Jak się nazywa?

Powiedziałem. I tak bredziliśmy przez dwie godziny; on wychodził i zostawiał pistolet na stole; wracał i znów wychodził: to było śledztwo psychologiczne. W końcu podpisałem protokół, że mam narzeczoną Wandę, i że pistolet typu TT jest mi znany tylko z filmu; że byłem napastnikiem w klubie; i tak dalej, i tak dalej. Kiedy dzisiaj to piszę, samemu nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. Ale wtedy, przy podpisywaniu protokołu, pomyślałem sobie: „Poczekaj synu. Niech ja się przynajmniej dowiem jak cię ochrzcili”. Protokół musi być podpisany przez przesłuchiwanego i przez prowadzącego śledztwo. Nazywał się Tadeusz Barwiński.

Aresztowano mnie w parę dni później za odmowę współpracy. Argumentacja oficera Milicji — tym razem odbywało się to w Pałacu Mostowskich — była prosta: ponieważ pracuję w firmie powszechnie znanej ze złośliwości, muszę wiedzieć co się tam dzieje; ponieważ odmawiając współpracy, zapobiegam tym samym wykryciu faktów sabotażu gospodarczego, podlegam karze z artykułu i tak dalej, i tak dalej. Wtedy właśnie zdjąłem paseczek, krawacik i sznurowadełka; Polacy lubią eufemizmy. Nic nie mogę na to poradzić; nie pytano mnie o radę przy urządzaniu Państwa Polskiego.

W więzieniu zawsze jest wesoło, jeśli się do tego po-

dejdzie w sposób właściwy. Wszyscy są zawsze niewinni; wszystko to jest omyłką która się niedługo wyjaśni. W więzieniu w Palermo spotkałem człowieka który zabił narzeczoną i jej matkę; spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Monachium siedziałem z facetem który dokonał siedemnastu rabunków: spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Jaffie zaprzyjaźniłem się z człowiekiem trudniącym się przemytnictwem narkotyków od czasu powstania państwa Izrael; spodziewał się zwolnienia za parę dni.

W ogóle nie jest tak źle jeśli zaufa się tylko szaleństwu. Mieszkając w Warszawie, byłem stałym gościem komisariatu przy ulicy Bednarskiej za opilstwo i bójki towarzyskie. Po jakimś czasie miałem już tam przyjaciół wśród milicjantów i sypiałem nie „na dechach” lecz w dyżurce, a rano odwozili mnie do domu. Był to najprzyjemniejszy komisariat w Warszawie; tam lądowali wszyscy wychodzący z „Kameralnej” i z „Krokodyla”.

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym odbywał się festiwal Młodzieży; przyjechał wtedy teatr Bim-Bom ze Zbyszkim Cybulskim. Spotkałem Romka Polańskiego przed wejściem do teatru: Romek miał bilet, ale nie chciano go wpuścić ponieważ naładowało się mnóstwo publiki bez biletów i sala była przepełniona. Polański tak długo upierał się aby wejść i pokazywał przy tym swój bilet, aż wreszcie zabrali go dwaj policjanci z „jedyńki”. Byli to jednak policjanci nowi i nie znali mnie. Polańskiego prowadzili między sobą a ja szedłem za nimi.

Romka zamknięto a ja poszedłem do mojego sierżanta, który mnie zwykle pozbawiał paseczka.

— Puść go — powiedziałem.

— To twój kumpel?

— Tak.

Polańskiego wypuścili; nabyliśmy litr wódki i razem z Romkiem, jego dziewczyną i tymi samymi policjantami którzy go przed dziesięcioma minutami aresztowali — udaliśmy się w pobliskie gruzy celem konsumpcji. Potem

nabyliśmy jeszcze dwie butelki; nie wiem dlaczego przyszła mi ochota, aby deklamować Apokalipsę. Milicjanci patrzyli na mnie, mówiąc od czasu, do czasu:

— Panie Mareczku — ostrożnie, ostrożnie...

Miotają nimi sprzeczne uczucia: z jednej strony chcieli bawić się dalej; z drugiej — nie wiedzieli, czy Apokalipsa jest tekstem wrogim, czy też nie. Ta sytuacja, że człowieka zupełnie niewinnego wypuszczają za poręczeniem alkoholika — wydaje mi się świeża, dlatego o tym piszę.

Jak powiedziałem: szaleństwo jest jedyną rzeczą której można zaufać. We Włoszech zaarrestowano mnie za strzelaninę; chciałem w przystępie szaleństwa zabić jednego pana który mi powiedział, że nie zabija się sześciu milionów ludzi bez powodu — rozmawialiśmy o Żydach. Na drugi dzień sędzia śledczy zapytał mnie:

— Pan go chciał zabić?

— Tak — powiedziałem. — I chciałem zobaczyć włoskiego sędziego który skaże mnie za to, że chciałem obronić pamięć sześciu milionów zamęczonych ludzi.

Popatrzył na mnie przeciągle: oddał mi moje rzeczy; znów popatrzył na mnie i oddał mi broń. Lektura faktów z życia Napoleona może się przydać nawet w sprawach bagatelnych. Nie wiem, czy mój sędzia włoski był odpowiednikiem naszego Rzeckiego; wiem tylko, że zniszczył akta sprawy.

W Pałacu Mostowskich nie siedziałem długo. Pomyślałem sobie: potrzymają cię do śledztwa a potem dostaniesz swojego piąta. To nie ważne, że nikt nie będzie wiedział dlaczego: wymiar sprawiedliwości nie polega na pytaniu kto jest winien a kto nie; chodzi o to, aby mieć winnego.

Nie czytałem jeszcze wtedy Koestlera gdzie sędzia śledczy prowadzi długie, serdeczne rozmowy z gościem którego chce zlikwidować. Nie czytałem jeszcze wtedy Orwella gdzie Wielki Brat ma zeza widlastego: nie czyta-

łem nawet Krywickiego. Książki warto pisać tylko wtedy, jeśli przekroczy się ostatnią granicę wstydu; pisanie jest rzeczą bardziej intymną od łóżka; przynajmniej dla mnie. *Commies* przekroczyli tę granicę: kiedy Jeżow likwidował Jagodę powiedział zebranyim członkom GPU, że znany jest mu fakt, iż Jagoda pracował dla Ochrony. Nikt nie zaprotestował: w czasie kiedy istniała Ochrana, Jagoda miał dwanaście lat. Pomiędzy tymi tam z GPU byli na pewno ludzie którzy walczyli przeciw Kołczakowi, Denikinowi i Piłsudskiemu. Kiedyś byli odważni; ale nikt nie wstał i nie powiedział, że dzieci mając do wyboru jazdę na hulajnodze albo rozmowy z urzędnikami — wołą jednak hulajnogę. *Commies* przekroczyli tę granicę: stworzyli świat fantastyczny w który nie można uwierzyć. To ich siła.

Ja wtedy, w Pałacu Mostowskich, powiedziałem sobie: „Bazak nic ci nie pomoże, Żeromski też nie: ale pomoże ci Lord Lister”. W ten sposób zostałem konfidentem policji pracującym pod kryptonimem „Wanda”. Wanda, to imię mojej dziewczyny; uważałem, że tak będzie zabawniej. Zwolniono mnie.

Poszedłem do mojego dyspozytora na bazę.

— Przenieś mnie z „Zieleniaka” — powiedziałem.

— Dlaczego?

— Nie chcę nic wiedzieć.

— Chcesz iść na Rzeźnię?

— Nie. Znam Rzeźnię.

— Na Monopol?

— Znam i Monopol.

Byliśmy sami.

— Zrobili się za psa? — zapytał.

— Tak.

— Poczekaj — powiedział. — Przeniosę cię na „Opel-Blitza” 167. To taki wóz, że go się codziennie ściąga z miasta. A ja powiem chłopakom, że jesteś lewy.

— Powiedz im.

Mój „Opel-Blitz” nie zawiódł mnie nigdy; już za

bramą wysiadało mi sprzęgło; drugiego dnia — karburator. Pojechałem do warsztatu; majster wiedział o wszystkim — oddaliśmy karburator do naprawy. Trwało miesiąc; potem było delko; potem sprzęgło; potem spalał trzy razy tyle benzyny ile powinien — odstawiliśmy go do ekspertyzy. Ja chodziłem „po bazie” i nie wiedziałem nic.

Od czasu do czasu zjawiało się u mnie dwóch facetów wyglądających jak łapsy z filmu. Już nigdy chyba nie dowiem się czy ci w filmach wyglądają tak jak ci w życiu, czy też ci w życiu tak jak w filmach.

Kiedy w Londynie chodziłem na *Body-Building* widziałem treningi zawodowych średnich. Było tam dwóch menagerów którzy wyglądali tak, jak ci ci z „The Champ” i ci z „The Golden Boy”. Nosili meloniki i kamizelki; palili cygara; od czasu do czasu jeden do drugiego mówił: *Harry is over the hill*. Potem pluł: potem to samo mówił drugi.

Ci moi dwaj, mówili: „Oj, bo się pogniewamy”. Nigdy nie dodawali niczego więcej; a potem zaczęła się największa zabawa w moim życiu.

Trzeba tylko przekroczyć tę granicę wstydu. Mój pomocnik zaprosił mnie kiedyś na imieniny swojej siostry. Było nudno; w samym centrum zabawy ukradliśmy patefon, wynieśliśmy go na schody a potem wróciliśmy i wraz z innymi gośćmi czyniliśmy bezskuteczne poszukiwania. Milicjanci przenieśli mnie z WSS do MHD i tam rozpocząłem swoją działalność pisarską uskrzydłony myślą, że jestem jedynym na świecie konfidentem *à rebour*. O partyjnych pisałem, że są dwulicowi i że pragną powrotu ustroju kapitalistycznego; o ludziach, którzy mówili źle o Gospodarzu — pisałem, że są szczerymi demokratami kochającymi Ziutka Słoneczko i tak dalej. Donosy pisałem regularnie: dzwoniłem w tym celu do Komendy Głównej i podając swój kryptonim, prosiłem aby połączyć mnie z porucznikiem Jankiem — to jeden z moich łapsów. Na-

robiłem im straszego burdelu: nie połapali się nigdy. Nie moja wina: sami tego chcieli.

W tym czasie zacząłem już pisać; spotkałem kiedyś Tadek Mazura który przypadkowo znajdował się na wolności i powiedziałem mu, że zacząłem pisać. Tadek powiedział, abym mu pokazał. Wziął i poszedł do swojej cioty: ta ciota powiedziała, abym spróbował napisać coś dłuższego. Nie miałem jednak gdzie: poprosiłem moją matkę aby posprzątała kuchnię i w trzy noce napisałem dwustustronicową powieść. Tę powieść przeczytał Bogdan Czeszko: napisał do mnie list. Napisał, że książka do niczego, ale że jego zdaniem powinienem próbować dalej: zwrócił mi uwagę na wiele rzeczy. Bogdan był mądrym i kochanym człowiekiem — przynajmniej dla mnie. List ten mam do dzisiaj. Bogdan zwracał mi uwagę, że niepotrzebnie nadużywam słów ordynarnych i bardzo mi to odradzał; potem poznałem Bogdana osobiście. Wyglądał jak niedźwiedź; poruszał się jak silne i niebezpieczne zwierzę. Kiedy mówił, z trudem udawało mu się wtrącić zwyczajne słowo. Pamiętam, jak kiedyś powiedział do kelnerki: Niech pani mi da tej w d... j... wody. Jestem sp... jak k... To najkrótsze co mu się udało powiedzieć; mnie ganił. Nikt z nas, jeszcze jako tako młodych, nie potrafi pisać tak pięknym językiem jak ten miś; jego „Tren” mogę czytać, kończyć i zaczynać. Jest jedynym pisarzem młodego pokolenia który od początku znalazł swój własny głos i pozostał sobie samemu wierny. Tego nie potrafił ani Brycht, ani Nowakowski, ani ja.

W tym czasie przepisałem książkę Rybakowa pod tytułem „Kierowcy”, podpisałem ją swoim nazwiskiem, nazwałem „Baza Sokołowska” i zaniósłem do Związku Literatów. Po jakimś czasie Newerly — będący wówczas opiekunem Koła Młodych zawiadzał mnie na rozmowę. Newerly pomógł mi bardzo; pytał mnie o moje warunki, powiedział mi o usterkach „Bazy” i dał mi jedną radę — najmądrzejszą radę jaką słyszałem od człowieka piszącego: „Jeśli pan chce coś napisać, niech pan o tym opo-

wiada. Wszystkim. To nieważne czy pana ludzie rozumieją, czy nie. Niech pan mówi: za każdym razem, opowiadając, musi pan budować swoją historię od początku do końca; po jakimś czasie zrozumie pan, które elementy są ważne a które nie. Chodzi o to, aby pan sam to sobie umiał opowiedzieć". I tak zacząłem opowiadać; mówiłem o tym ludziom w Polsce, w Izraelu; mówiłem o tym poważnym Niemcom; i Arturowi Sandauerowi który co chwila mi przerywał, mówiąc: „Do czego pan zmierza?" Nie wiem; o to właśnie chodzi, że nie wiem. Wiem tylko, że będę biegł przez całą drogę; i że będę mówił przez cały czas.

WROCLAW, OBORY, WYSPA RÓŻ

Igor Newerly załatwił mi trzymiesięczne stypendium Związku Literatów Polskich; ponieważ nie miałem mieszkania w Warszawie — wyjechałem do Wrocławia.

Newerly bardzo mi pomagał. W tym czasie znajdował się u szczytu powodzenia: jego „Pamiętka z Celulozy” uznana została za arcydzieło; nie było tygodnia aby nie pisano o nim; chodzono przed nim na dwóch łapach; nachodziły go dziesiątki ludzi i właściwie miał mało czasu do pracy. Newerly’emu nie uderzyła woda sodowa do głowy; był skromny; nie cierpiał pochlebców. Pamiętam, że kiedyś powiedziałem mu, iż wolę jego książkę od książki Gorkiego „Życie Matwieja Kożemiakina”, Newerly zachnął się; było mu nieprzyjemnie. Wreszcie powiedział: „Chciałbym, żeby moja książka przeżyła chociaż jeden plan pięcioletni, to wszystko”. Wiem, że powiedział prawdę.

„Celuloza” jest książką bardzo dobrą; czytałem ją wielokrotnie. Nie wiem dlaczego Newerly pisze tak mało; ostatni raz widziałem go dwanaście lat temu. Wyklął mnie wtedy; zachowywałem się nieznośnie i wreszcie stracił cierpliwość. Jeśli o mnie chodzi, to wszyscy tracili cierpliwość; ja natomiast zyskiwałem inne rzeczy. To jak w tej opowieści o dwóch Żydach którzy razem zaczęli

robić interesy: jeden z nich miał pieniądze: drugi — doświadczenie; po jakimś czasie pierwszy zyskał doświadczenie, drugi — pieniądze.

Neverly mówił mi czasem o sobie; był człowiekiem z opowiadań Londona; miał dziesiątki zawodów; był przez jakiś czas sekretarzem Janusza Korczaka. Mówił mi zawsze, przy każdej rozmowie, że najniebezpieczniejsze w mojej sytuacji będzie przejście na wczesne zawodowstwo. „Te książki których pan nie przeczytał, a które pan musi przeczytać, przeczyta pan nocami — powiedział do mnie. — I nauczy się pan wielu rzeczy potrzebnych aby pisać wcześniej, niż pan przypuszcza. Inni ludzie panu pomogą. Ale, na Boga, nie przechodź pan na zawodowstwo. Niech pan to zrobi koło czterdziestki. Niech pan popatrzy na tych wszystkich młodych. Niech pan się ich zapyta ile kosztuje kilo cukru; żaden z nich panu tego nie powie. Wiedzą natomiast, że do budowy domów używa się betonu. Ale dowiedzieli się tego z innych książek. I w ogóle proszę pisać jak najmniej. Niech pan robi wszystko co chce, tylko niech pan pisze jak najmniej”.

Kiedy po roku wróciłem z Wrocławia do Warszawy, opowiedziałem mu pewien pomysł. Newerly popatrzył na mnie i powiedział: „Pan jest człowiekiem chorym”. Nie wiem, czy Newerly pamięta tę naszą rozmowę; ja ją pamiętam.

Wyjechałem więc do Wrocławia gdzie zamieszkałem u wuja. Miałem trzymiesięczne stypendium i trochę pieniędzy które dostałem ze „Sztandaru Młodych” za moje opowiadanie „Baza Sokołowska”. Był to piękny czas; byłem nareszcie sam, mogłem czytać, pisać, chodzić do teatru — ale nie wiedziałem, co mam robić najpierw. Kiedy zaczynałem pisać — zdawało mi się, że powinienem czytać, gdyż pomoże mi to w pisaniu; kiedy czytałem — zrywałem się i wybiegałem na miasto, gdyż wydawało mu się, że powinienem podglądać ludzi; rozmawiałem z ludźmi i wtedy znów wydawało mi się, że tracę

czas na rozmowy a przecież powinienem pisać — Chryste Panie, myślałem, że zwariuję. Czytałem jednego dnia Misia-Czeszkę; drugiego — Balzaka; potem odrywałem się od Dostojewskiego, aby czytać słownik Lindego: nocami szukałem wuja, i znów wracałem do moich książek. Nie wiem, ile książek przeczytałem tego roku we Wrocławiu; przypuszczam, że kilkaset. I z każdym dniem wiedziałem mniej; i z każdym dniem popadałem w rozpacz, że nigdy nie przeczytam tego, co powinienem przeczytać. Wreszcie dano mi Gombrowicza do czytania i wtedy już oszalałem zupełnie.

Nieprawdą jest to, co sam Gombrowicz pisze o sobie w którymś ze swoich Dzienników, że oceniono jego piarstwo zbyt późno — zdaje się, że to miało jakiś związek z artykułem Sandauera. Nie wiem co powiedział, czy też napisał, Sandauer; wiem natomiast, że Gombrowicz był uwielbiany przez młodych i starych. Ja sam pożyczyłem „Ferdydurke” — ale musiałem zastawić za to swój zegarek, gdyż właściciel nie miał do mnie zaufania; i słusznie. Egzemplarz „Ferdydurke” który ja czytałem w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, przeszedł już przez setki rąk; kartki były posklejane, pobrudzone. To samo z „Pamiętnikiem z okresu dojrzewania”. Tych książek nie można było kupić; pożyczano się je na dni; czasem na pół dnia. Tego oczywiście Gombrowicz wiedzieć nie może; ale ja tam byłem i widziałem.

We Wrocławiu nie czułem się dobrze; jestem warszawiakiem i nie bardzo umiałem żyć bez Warszawy. Pracując w „Pagedzie” miałem kolegów warszawiaków i postanowiłem tam pojechać, aby przynajmniej móc z nimi pomówić w języku warszawiaków; w tym języku którego żaden polski aktor, nawet Dymśza, naśladować nie potrafił.

Odnalazłem ich; doznałem przyjęcia więcej niż zimnego. Nie mogłem zrozumieć dlaczego; potem jednak powiedziano mi — chodziło o moje opowiadanie wydruko-

wane w „Sztandarze Młodych”. Przestałem być już w ich pojęciu robotnikiem; natomiast stałem się piewcą dozorczy niewolników. Inni natomiast byli dla mnie przesadnie czuli i uprzejmi; ale ani ci, ani ci, nie byli już tymi ludźmi z którymi spałem, jadłem i pracowałem.

A jeszcze trzy lata temu chodziliśmy razem przez granicę, aby dorobić sobie trochę. Brało się spirytus i słoninę; z Czechosłowacji przynosiliśmy pończochy, sztuczną biżuterię. Granica była częściowo zabronowana ale wyżej, górami, można było przejść gdyż góry znaleźmy lepiej od żołnierzy WOP’u. W tym celu brało się tylko za pazuchę kilka kotów; słysząc ujadanie psa prowadzonego przez żołnierza WOP’u puszczało się kota i wtedy pies — choćby najlepiej trenowany — biegł za kotem. Inni okręcali nogi szmatami umaczanymi w ropie naftowej, ale to nie był system pewny. Jest rzeczą zabawną, że sami Czesi nigdy nie przechodzili na naszą stronę — bali się. Po pewnym czasie ktoś zasypał pomysł z kotami i wtedy zaczęto się interesować skąd nagle pojawiła się w okolicy taka ilość miłośników zwierząt. I nie można było już przejść na Czechy.

Nasi koledzy z innej Bazy wpadli na pomysł o wiele lepszy i stwarzający możliwości lepszego przerzutu towarów. Mieszkając blisko granicy podpalali jakąś chatę, a ponieważ nasza polska straż ogniowa była dość daleko — biegli pędem do żołnierza WOP’u i zawiadamiali go o pożarze; żołnierz telefonował po czeską straż pożarną. Tam już Czesi ładowali swoje pończochy i błyskotki a nasi kierowcy odpalali im spirytus i słoninę, o którą wtedy w Czechosłowacji było trudno. W ten sposób puszczo no co prawda z dymem kilkadziesiąt chałup, ale przypuszczam, że per saldo musiało się to jednak opłacać. Byłem świadkiem podobnej sytuacji jako gość Bawarskich Wymiarów Sprawiedliwości. Otóż każdej niedzieli wchodził rankiem do naszej celi *Wachmeister* i pytał ilu jest kandydatów na *Gottesdienst*. Nigdy przedtem nie myślałem, że wiara chrześcijańska jest jednak rzeczą tak silną i głę-

boko zakorzenioną; meldowali się wszyscy — włamywacze, szantażyści, oszuści matrymonialni i sutenerzy. I tak szliśmy do kościoła a tam dokonywało się handlu wymiennego z facetami z Izby Chorych — chodziło o to, że chorzy nie mieli możliwości palenia i spacerów tak, że jedyną sposobnością wymiany towarowej była msza w kościele.

Wróciłem z powrotem do Wrocławia i dalej próbowałem pisać. Nie znałem we Wrocławiu nikogo prócz Stefana Łosia i Tadeusza Zelenay'a. Stefana Łosia wypuszczono właśnie z więzienia; siedział około roku, po czym oświadczone mu, że stała się mała pomyłka i wypuszczono go. Wkrótce potem umarł; rozmawiając z jednym z lekarzy dowiedziałem się, że śmierć nastąpiła właściwie na skutek pobytu w więzieniu i nieludzkiego traktowania, co przy słabym zdrowiu Łosia przesądziło sprawę. Od samego Łosia nigdy nie dowiedziałem się co przeszedł; znał mnie od dziecka, mimo to bał się. Oświadczył mi krótko, że przy zwolnieniu z więzienia podpisał deklarację, że z nikim na te tematy rozmawiać nie będzie gdyż w wypadku gawędziarstwa grozi mu ponowny pobyt w więzieniu z tym jednak, że tym razem nie będzie już żadnej pomyłki.

Wiem jednak od innych ludzi co wyprawiali z Łosiem. W tych relacjach na temat tortur zadawanych ludziom przez UB nigdy oczywiście nie wiadomo co jest, a co nie jest, prawdą; fakt jednak, że nie musiało być najlepiej jeśli mówiono o tym, że oficerowie bezpieczeństwa biją ludzi wyciorami od karabinów, plują na nich, oddają im mocz na twarz i tak dalej, nie mówiąc już o prostych sposobach jak bicie człowieka do nieprzytomności. Łosia stawiano w karczerze w lodowatej wodzie po pas pozostawiając mu czas do kontemplacji i wspomnień z okresu dzieciństwa; po czym znów prowadzono go na kolejne przesłuchanie. Łosiem zainteresował się serdecznie pułkownik Jacek Różański; Łoś do chwili mego ostatniego widzenia z nim nie wypowiedział nigdy

nazwiska Różański. Mówił: brat Pana Borejszy. Samo nazwisko Różański przyprawiało go o ataki hysterii.

Mówiąc już o Łosiu chciałym napisać parę słów o pułkowniku Różańskim, którego poznałem w dwa czy też trzy lata później. Interesowali mnie zawsze oprawcy; ciekaw byłem jak wyglądają ci, którzy innym ludziom wyrządzają paznokcie i włosy i łamią zębra. Ułatwiono mi kontakt z Różańskim i poszedłem do niego. Był to pan o wyglądzie fanatyka, i o tym wiedział. Mówił interesująco, jego aktorstwo było dobre i gdybym chciał porównać go z jakimś aktorem porównałbym go z Marlonem Brando który także mówi bardzo wolno, nieefektownie, męczy się jakby w czasie wypowiedzania dialogu, co stwarza złudzenie, że Brando nie mówi tekstu napisanego uprzednio przez Rappaporta, lecz że szuka własnych słów i własnych sformułowań. Tak więc i z Różańskim; było nas tam parę osób i Różański rozpoczął gawędę.

— Cóż wy, powiedział Różański, wiecie o Rewolucji? Piszecie o tym tyle, jest parę dobrych pozycji, ale co wy o tym wiecie? Ja miałem podwładnego w partyzantce i kochałem go jak syna. Dzielny żołnierz, ideowy, inteligentny. Po wojnie wziąłem go do aparatu bezpieczeństwa i zrobiłem go majorem. Kiedyś przesłuchiwał jakiegoś sabotażystę. Ten sabotażysta był głupim chłopkiem, ale w czasie przesłuchania zachowywał się bezczelnie i prowokująco w stosunku do prowadzącego śledztwo. Ten mój chłopak był tak wykończony nerwowo, gdyż nie spał już od paru nocy, że w pewnym momencie nie wytrzymał i dał mu w pysk.

— I co? — zapytaliśmy.

— Musiałem mu dać pięć lat — powiedział Różański. — Był majorem bezpieczeństwa i nie wolno mu było uderzyć człowieka podczas przesłuchania. Ale nie to wam chciałem powiedzieć. Wiecie ile dostał ten sabotażysta? Dwa lata. To był wiejski głupek i sam nie wiedział co robi, tak, że trzeba go było sądzić z zastosowaniem wszelkich okoliczności łagodzących. Ale wobec pracownika

aparatu bezpieczeństwa, który łamie konstytucję będąc powołanym do jej obrony — okoliczności łagodzących zastosować nie można było. To jest rewolucja.

Potem opowiedział nam inną anegdotę: otóż wioząc kiedyś samochodem z Łodzi do Warszawy jakąś młodą kobietę musiał ulec jej prośbie i zatrzymać samochód, aby młoda dama mogła pójść sama do lasu. Pułkownik Różański zapytał ją, czy da mu słowo honoru iż nie będzie próbowała uciekać tak, żeby nie musiał wysłać z nią strażnika który mógłby ją krępować w czasie wykonywania czynności fizjologicznych; młoda dama dała słowo honoru i rzeczywiście wróciła.

Pamiętam, że wyszliśmy potem na ulicę i jeden z moich przyjaciół powiedział mi:

— To jest silny człowiek. Pomyśl: słowo honoru które dała, mogło go kosztować...

— Nic go nie mogło kosztować — przerwał mu ktoś inny — Po prostu nie ma dokąd uciekać.

Różański opowiadał mi także, że przez wiele lat nie mógł pozbyć się uczucia strachu gdyż wiedział, że wielu ludzi chce go zabić — mówię w tej chwili o pierwszych latach powojennych kiedy działały jeszcze szczątki organizacji politycznych walczących przeciw reżymowi. Ale, aby przemóc w sobie ten strach, zrezygnował z przysługującej mu eskorty osobistej i udawał się codziennie rano piechotą do pracy. Pamiętam tę opowieść o sabotażyście i nieszczęsnym majorze; jak również i tę o młodej damie, która swe słowo honoru ceniła wyżej od wolności osobistej — prawdopodobnie tylko dlatego, że mówił to wszystko człowiek o którym wiadano, że był najbardziej okrutnym pracownikiem aparatu bezpieczeństwa. Pomyśl, aby poświęcić mu parę rzewnych słów przyszedł mi do głowy teraz, kiedy piszę o Stefanie Łośiu, który do końca swego życia bał się wymówić nazwisko tego człowieka.

Łoś był nieszczęśnikiem; przed wojną napisał dość głupiutką książeczkę dla młodzieży pod tytułem „Strażnica”; była to zdaje się opowieść o dzielnych żołnierzach

Korpusu Ochrony Pogranicza, gromiących bolszewickich agentów. Po wojnie go oczywiście nie drukowano i biedak zagłodził się. Pamiętam, że nazywano go „Kuzynem Pensem” gdyż zawsze zjawiał się u znajomych w porach posiłków. Ludzie pomagali mu jak mogli. Tadeusz Schmidt, nasz najprzystojniejszy chłopak w filmie zawsze zapraszał go do domu pod rozmaitymi pretekstami, aby go nieco podkarmić; tak samo inni ludzie. Jednak pobyt w więzieniu pozbawił go kłopotów w zdobywaniu środków do życia. Napisał do mnie przed śmiercią list już ze szpitala; list ten nie zastał mnie, a kiedy chciałem mu odpisać dowiedziałem się, że biedak już nie żyje.

Drugim piszącym człowiekiem którego poznałem we Wrocławiu, był Tadeusz Zelenay. Było to dziwak chodzący w jakiś dziwaczny sposób przechylony w lewo. Pamiętam, że ktoś tam umarł a ja z nudów poszedłem na pogrzeb, aby popatrzeć na wdowę rzucającą się do grobu ukochanego męża. Staliśmy wszyscy w deszczu słuchając kolejnego mówcy; nagle pędem nadbiegł zdyszany Zelenay i wręczył oniemiałej wdowie pudełko czekoladek. — Nie mogłem dostać kwiatów — oświadczył. W kilka lat później, przeglądając stare roczniki „Przekroju”, zobaczyłem identyczny dowcip, tak, że do dziś nie wiem czy to Zelenay naśladował genialnego Mariana Eile; czy też Eile zastosował *practical jock*.

Niebardzo mi szło z pisaniem we Wrocławiu. Nigdy przedtem nie miałem tak wiele czasu dla siebie; teraz mogłem czytać i pamiętam uczucie rozpaczyny pogłębiającej się we mnie z dnia na dzień. Zrozumiałem, że nie starczy mi życia na przeczytanie wszystkiego co chciałbym poznać — miałem trzymiesięczne stypendium. Nie chciałem się jednak poddać; postanowiłem pracować na *overtime* i znajomi koledzy lekarze dawali mi kombinacje z benzodryną, abym nie śpiając mógł pracować dzień i noc. Obawiałem się, że stanę przed Newerlym z pustymi rękami i będę musiał wrócić do pracy, a wtedy koniec z pisaniem.

Trudno mi już dzisiaj powiedzieć co z przeczytanej przeze mnie masy książek zrobiło na mnie wrażenie a co nie. A przede wszystkim — nie umiałem czytać. Czytając artykuły w starym „Odrodzeniu” czy „Kuźnicy” nie rozumiałem połowy z tego co czytam; nie było w dodatku nikogo, kogo mógłbym o to spytać, gdyż nie było we Wrocławiu tego, co zwie się środowiskiem. Musiałem mieć pod ręką słownik; a czasem i to nie pomagało gdyż w połowie czytanego artykułu musiałem odkładać pismo i szukać książki, o której autor tylko wspominał aby podbudować swą tezę. I starałem się zrozumieć na czym polega zagadnienie typowości w literaturze; zdaje się, że byłem wtedy jedynym durniem w Polsce, który starał się o zrozumienie tej metody. Nie używam w tym momencie cudzośłowu i czynię to świadomie.

Ponieważ na temat typowości w literaturze bełotali wtedy wszyscy i już zupełnie niczego nie można było zrozumieć, postanowiłem zabrać się do tego na swój sposób; poszedłem do biblioteki miejskiej i odszukałem wszystko co napisano na temat „Popiołu i Diamentu”, aby w ten sposób poznać opinie wszystkich mędrców na temat mojej ukochanej książki. Wtedy wpadłem w osłupienie.

Krytycy na ogół rozplýwali się w zachwytach zarzucając jednak Andrzejewskiemu, że komuniści w jego książce są postaciami nie tak silnymi jak postać Maćka Chełmickiego czy też postacie negatywne — również i teraz świadomie nie używam cudzośłowu. Pamiętam, że profesor Stefan Żółkiewski napisał: „Postać Szczuki poznajemy od strony najbardziej konwencjonalnej — od strony poglądów moralnych”. Szczuka, człowiek zmęczony, człowiek bez złudzeń nie wierzący w możliwość szybkiego zwycięstwa rewolucji — nie wydawał się krytykom marksistowskim postacią prawdziwą.

Te same zarzuty stawiane były Podgórskiemu, innemu komuniście z „Popiołu i Diamentu”. Podgórski prze-

grywa swój pierwszy pojedynek z nową rzeczywistością; jego system ocen moralnych i etycznych kruszy się w zetknięciu z doświadczeniem i Podgórski rezygnuje z możliwości uwięzienia człowieka, który pełnił funkcję kapo w obozie koncentracyjnym. Podgórski usiłuje człowieka sądzić, ale sądzić innego można miarą własnego doświadczenia; Podgórski nie był w obozie koncentracyjnym; nie przeżył tego co przeżyć musiał mistrz jego młodości i nie czuje się na siłach skazać człowieka, którego wystawiono na zbyt ciężką próbę. I puszcza go wolno; na tym polega świetność tej sytuacji. Krytycy marksistowscy z tego właśnie czynili zarzuty Andrzejewskiemu; wtedy zrozumiałem, że rozumu nie można zastąpić wiedzą o tym jak należy myśleć.

Po wojnie wszyscy zachwycali się książką Borowskiego „Pożegnanie z Marią” i na mnie także książka ta wywarła wrażenie. Ale czegoś mi tam brakowało i przez całe lata myślałem czego; nie umiałem tego sformułować. Zrozumiałem to wiele lat później czytając przypadkowo list jednego z naszych najlepszych pisarzy do mego przyjaciela; pisał co drażni jego osobiście w literaturze polskiej lat wojny — brak uczucia zazdrości. Pomyślałem sobie, że tego mi brakuje u Borowskiego: elementu zazdrości u bitego. I tego, że bity wolałby być bijącym. I tego, że bity marzy aby bić; ci dobrzy bici i ci źle bici. Pięciotomowe wydanie dzieł Borowskiego powinno być lekturą obowiązującą ludzi zaczynających pisać w Polsce; Borowski zaczyna jak anioł gniewu a kończy jak szpicel. Zaczyna od tego, iż pragnie pokazać prawdę i tylko prawdę; kończy nazywając faszystą, kanalią i piewcą bomby atomowej i wojen bakteriologicznych Faulknera, którego książek prawdopodobnie nie czytał; Faulknera którego obsesją jest stosunek do bliźniego.

W roku 1954 odbył się w Oborach Zjazd Młodych, na który i ja pojechałem. Nie wiele już pamiętam z tego zjazdu; mówiono znowu dużo o typowości w literatu-

rze; my z kolegą Bernsteinem spaliśmy na zmianę: on pięć minut, ja pięć minut po czym jeden budził drugiego. Z daleka wyglądało to dobrze; jeden z twarzą ukrytą w dłoniach i pogrążony w głębokiej kontemplacji; drugi siedzący sztywno z wytrzeszczonymi oczyma — jak to powiada Szwejk — jak kocur srający w sieczkę. Po czym następowała zmiana; jeden budził drugiego i ten z kolei zaczynał wytrzeszczać oczy a drugi chował twarz w dłoniach. Po zakończonych obradach szliśmy znów z Bernsteinem na nocne uciechy.

Była tam jedna dziewczyna, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć; pamiętam tylko, że była wyjątkowo ładna. Pewnego dnia odczytała nam fragment swojej prozy; była to opowieść o funkcjonariuszach Bezpieki. Panowie ci, po długich i serdecznych rozmowach przekonwali więźniów nad którymi została im powierzona opieka, iż ci działali niewłaściwie i więźniowie rzucali im się na pierś z łkaniem wyrażając skruchę i obiecując poprawę. To wszystko co pamiętam z tego zjazdu; było tam wielu *commies*, ale nawet oni zachowywali pełne żenady milczenie, a ja patrząc na śliczną buzię czytającej myślałem sobie: — Dlaczego ona nie może zostać po prostu dziwką? Dlaczego musi jeszcze pisać?

Potem wyjechaliśmy z kolegą Bernsteinem na Mazury. Edward był piękny jak młody bóg i czytając „Biesy” myślałem zawsze o nim. Podczas gdy ja miotałem się przez całe życie, on był wyjątkowo i przerażająco spokojny. Był poza tym mistrzem bójki towarzyskiej obdarzonym niezwykłą siłą fizyczną; boksował przez jakiś czas. Ilekroć dochodziło do rozpraw Edward ustawiał sobie przeciwnika tak jak fotograf ustawia model przed wykonaniem zdjęcia, i dopiero wtedy uderzał w szczękę; nie musiał nigdy uderzać po raz drugi gdyż ofiara pogrążała się w sen czy też w niebyt. Nawet w bójce zachowywał jakiś przerażający i niezrozumiały spokój. Pamiętam jak kiedyś w Orzyszu pijany tajniak rąbnął mnie w zęby trzymając w lewej ręce pistolet: Edward spokojnie podszedł

do niego nie zwracając uwagi na broń i huknął go w czaszkę.

Był i jest moim największym przyjacielem. Na Mazurach opowiadał mi o książkach, które przeczytał, a których ja, nieznający wówczas niemieckiego i angielskiego nie znałem. Mieszkaliśmy w miejscowości nazwanej malowniczo Wyspą Róż i za towarzystwo mieliśmy czterech rybaków wyrzuconych z Dalmoru za pijaństwo i bójki. Jeden z nich miał jednak żonę i dziecko, które postanowił ochrzcić; w tym celu nabył pięknego prosiaka i zapowiedział uroczystość. Tak więc wszyscy śledziliśmy z napięciem, z dnia na dzień, czy prosię przybiera na wadze w sposób proporcjonalny do naszych apetytów. W tym czasie nie było łatwo o mięso; myśmy z Edwardem jedli węgorce, które Edward mistrzowsko przyrządzał. W dzień łąziliśmy po wyspie i próbowaliśmy pisać; wieczory schodziły nam wesoło ponieważ ci z Dalmoru również z entuzjazmem śledzili pracę Polskiego Monopolu Spirytusowego.

Nie pamiętam już, czy to ja czy Edward zgłosił projekt zaproszenia na rzeczne chrzciny Wilhelma Macha; w każdym razie Mach odpisał, że przyjedzie i rzeczywiście zjawił się tak zwanego fatalnego ranka — jak o tych sprawach piszą gazety. Mach zjawił się i po nieprzespanej nocy poszedł spać, a my wszyscy pracowaliśmy nad przyrządzeniem prosięcia które tegoż ranka pozbawiłem życia strasznym ciosem noża. Ci z Dalmoru zachowywali się niespokojnie; czekało ich pijaństwo i spodziewali się towarzystwa kobiet, którego pozbawieni byli od miesiący. Tu trzeba dodać, że do najbliższego miasta było około dwudziestu kilometrów tak, że ulubionym tematem wieczornych wspólnych rozmów i pieśni była nikczemność i przewrotność kobiet. Wreszcie zjawili się goście; była tam tylko jedna ale za to bardzo ładna dziewczyna; posadzono ją po prawej stronie Wilhelma Macha któremu, zapewne dzięki jego godnemu wyglądowi, ci nożownicy z Dalmoru nadali tytuł profesora. Trzeba wyjaśnić

że Wilhelm Mach nie interesował się w sposób przesadny kobietami, co było dziwne przy jego silnie rozwiniętych instynktach rodzinnych; mam na myśli jego bratanków. W czasie biesiady zauważyłem skurcze przerażenia i wstrętu przebiegające po twarzy Macha i domyśliłem się że młoda dama czyni mu daleko posunięte awanse. Zauważyli to także nożownicy z Dalmoru, którzy ostrzyli sobie zęby w związku z pobytem owej młodej damy, i usłyszałem, że w rozmowach poruszają sprawę porachunków z „profesorem”. I rzeczywiście; około północy zaczęła się ogólna rzeź. My z Wilhelmem zamknęliśmy się na górze a tamci gonili się po całej Wyspie Róż uzbrojeni w noże do patroszenia ryb. Nie wiem co by z nami było, gdyby nie kolega Bernstein który z początku zachowywał wobec walczących pełną życzliwości neutralność, ale kiedy ryki ich pozbawiły go — jak to genialnie mówi poeta — możliwości zasłużonego odpoczynku, uniósł ze snu skroń i w sposób pełen szlachetnej prostoty pozbawił ich wszystkich przytomności: jednego po drugim. Nazajutrz, przerażony i postarzały o lat dwadzieścia Mach opuścił Wyspę Róż.

Potem pojechałem znów do Warszawy i zgubiłem się z Edwardem. Po jakimś czasie zacząłem go szukać, ale ponieważ zarówno kolega Bernstein jak i ja znajdowaliśmy się w ciągłych konfliktach z władzami wymierzającymi sprawiedliwość — nie posiadaliśmy stałego adresu i nie łatwo nam było się znaleźć. Wreszcie spotkałem pewnego kolegę, który skończył akurat szkołę filmową i wstąpił w związki małżeńskie. On także znał Edwarda; siedzieliśmy na tarasie kawiarni, w której on umówiony był z żoną na którą czekał; wysłuchawszy mnie, rzekł:

— Możesz go spotkać w bardzo prosty sposób. Jeśli usłyszysz od jakiejś kobiety, że czytała „Biesy” i że jest zachwycona, to znaczy, że jest przyjaciółką Edwarda. Przez nią zdobędziesz jego adres.

W kilka minut później nadeszła oczekiwana przezeń

żona. Przedstawiono nas sobie wzajemnie i młoda osoba powiedziała:

— Właśnie czytałam „Biesy”. Co pan o tym sądzi?

Ujrzałem że twarz mego kolegi powleka się upiorną bladością: zapłaciłem co rychło i wyszedłem. Jego pomysł był prosty, ale też i niełatwy: krąg miłośniczek Dostojewskiego okazał się zbyt duży i nie naprowadził mnie na ślad.

W tym czasie moje łapsy zjawily się znów. Na próżno tłumaczyłem im, że żyję sam i że wszystko co mogę zrobić jest napisanie donosu na samego siebie, i że chętnie to zrobię. Łapsy wysłuchały mej mowy i powiedziawszy: — Oj, bo się pogniewamy — odeszły. Pamiętam do dziś ich smutne twarze i zapach ich gumowych płaszczy. Wracając w parę dni później do domu zobaczyłem ich i pieśń zamarła mi na ustach. Poszedłem do swego innego przyjaciela i wybelkotałem mu całą sprawę prosząc, abym mógł u niego zostać przez parę dni, a może coś wspólnie wymyślimy. On zgodził się, żona jego także. Zrobił herbatę a ona wyszła. Siedziałem naprzeciw niego i widziałem krople potu spływające po jego twarzy. W pewnym momencie wstał, wziął mnie za rękę i wyprowadził na korytarz. Powiedział mi, że żona jego poszła po milicję i poradził, abym uciekał. Powiedziałem mu na to, że jestem już zbyt zmęczony tym wszystkim i nie będę uciekał; niech przyjdą, niech mnie wezmą i niech robią ze mną wszystko co chcą. Wtedy zapukał do sąsiednich drzwi wepchnął mnie tam i powiedział do jakiejś młodej i zaspanej osoby: — Ukryj go. Szuka go milicja. — Po czym zniknął; owa młoda i samotnie mieszkająca osoba okazała się studentką; nocami przychodził jej narzeczony i zaczynały się pertaktacje trwające do świtu. Narzeczony przyjeżdżał pod okno i siedząc na motocyklu z niewyłączonym silnikiem zaczynał mowy w stylu klasycznym, budowane na wzór mów Cicerona. A więc najpierw od argumentów najważniejszych: miłości i pożądania potem przechodził na tematy ogólnoludzkie, co nie było

jego silną stroną, znów powracał do miłości następnie o świcie apelował do jej poczucia sprawiedliwości i kończył na kwestii początkowej na — miłości i pożądaniu. Od czasu do czasu włączał przy tym silnik na pełen gaz: motor był starego typu i gasł. Do mów jego włączali się sąsiedzi, budzeni potężnym rykiem silnika o pojemności sześciuset kubików; jedni dawali mu dobre rady, drudzy ostrzegali przed kobietami, inni przeklinali go i grozili milicją a jeszcze inni okraszali jego dramat szyderczymi komentarzami i mówili co uczyniliby na jego miejscu. W ten sposób cała kamienica brała udział w tym dramacie; od czasu do czasu zjawiali się milicjanci wzywani przez któregoś z widzów, pozbawionego uczucia tragizmu i chcącego spać; wyrzucano go, lecz następnej nocy powracał znowu. I długo to trwało.

W parę lat później przypomniła mi się znów ta cała historia. Było to już w Izraelu; mieszkając w Tel-Awivie chodziłem od czasu do czasu do kina na Ben Jehuda; było to kino bez dachu gdzie wyświetlano tylko filmy z Eddie Constantinem. Filmy te odznaczają się szlachetną prostotą akcji; po prostu Eddie Constantin bije przez dwie godziny innych artystów po twarzy. Ale tu należy dodać, że nie bije ich pięścią, lecz otwartą dłonią co sprawia niezapomniane efekty akustyczne. Ponieważ jest przy tym także producentem własnych filmów może bić nie-szczęśnych aktorów jak tylko chce, co sprawia, że dramat przybiera na ostrości i wyrazie. W kinie tym, którego nazwy już nie pamiętam, nie było połowy krzeseł — gdyż widzowie zaczynali bić się w czasie przedstawienia, jeśli ktoś rzucał pod adresem Constantina parę szyderczych uwag, nieprzekonany co do słuszności jego działania. I tam również widzowie — jak mieszkańcy owej warszawskiej kamienicy — włączali się do akcji dając artystom dobre rady lub przeklinając ich głupotę i nie było w tym żadnego szyderstwa, lecz po prostu chęć uczestniczenia w dramacie. Jeśli jednak poczynano wyrywać krzesła i bić

nimi po głowach — kierownik kina wyłączał obraz i dawał widzom czas na zakończenie bójki, po czym projekcja zaczynała się od nowa. Kierownikiem kina był zapewne także jakiś miłośnik dzielnego Constantina, który chciał aby walczący na sali nie stracili nic z toczącego się przed ich oczami dramatu. Wchodząc do tego kina, widzowie nie zwracali uwagi na tytuł filmu. Pytano po prostu biletera: — Ile trupów? — i jeśli ilość przez niego podana odpowiadała ich wymogom duchowym, nabywano bilet. Potem kino to spalono: jak mi opowiadali przyjaciele z Tel-Awivu, wyświetlano tam obraz pod tytułem „Panna”, produkcji amerykańskiej. Była to historia bohaterskiej Niemki, amerykańskiego jeńca i nikczemnych sowieckich oficerów, których przedstawiono w sposób prosty i wyrazisty: otóż jeden z nich grając na fortepianie przerywa produkcję duszoszczepialnych pieśni tylko po to, aby celnym strzałem położyć następnego członka osłupiałej rodziny niemieckiej, której rzeczona już panna była córką. Tak się skończyła historia tego kina gdzie bilet kosztował tylko sześćdziesiąt piastów. Obraz duszy rosyjskiej przedstawiony w ten sposób wydał się publiczności izraelskiej zbyt uproszczony; kino puszczono z dymem, a kierownika ciężko pobiwszy — z torbami.

Nasz narzeczony stał się wreszcie dla mnie tym samym koszmarem co moi dwaj o smutnych twarzach i płaszczach pachnących gumą. Skończył był jednak w sposób w jaki powinien był skończyć; zleciał po pijanemu wraz ze swym wiernym rumakiem stalowym z jakiegoś mostu i połamawszy ręce i nogi zamienił się z pełnego wigoru młodego mężczyzny, we wzruszającego inwalidę. Nie byłoby w tym nic przykrego, gdyby nie fakt, że ewentualnym kandydatem do małżeństwa stałem się z kolei ja; drogą tak zwanej, naturalnej eliminacji. Wyszepiałem wtedy niezbędną ilość najświętszych słów i oddaliłem się w sobie tylko wiadomym kierunku.

Wiedziałem, że nie da mi się już bawić dłużej z moimi łapskami i drzałem na myśl, że dokonają analizy mych donosów i posuną się przy tym poza analizę stylu. Poszedłem do jednego z moich znajomych piszących, o którym wiedziałem, że pracował kiedyś w Informacji Wojskowej, i opowiedziałem mu o wszystkim. Uśmieł się serdecznie i obiecał pomoc. Powiedział przy tym:

— Nic się nie przejmuj, synu. Powiadają, że młody Adaś Mickiewicz też zajmował się donosami. Daniel Defoe był agentem policji. Tak samo mówią o Kraszewskim; tak samo o Brzozowskim. Idź dalej śmiało tą drogą. Ale jeśli nie chcesz, pomogę ci.

I nigdy już ich nie widziałem; pamiętam tylko ich smutne twarze i zapach gumowych płaszczy, i łączący się z tym wspomnieniem ryk motocykla od nocy do świtu. Nie jestem właściwie pewien czy postępuję *fair* pisząc o moich łapskach tak krótko i bez sympatii; oni przecież dali mi podniecie twórczą i czasami pisząc donosy ponosiła mnie fantazja a wtedy cytowałem wymyślone przez mnie wypowiedzi i wkładałem je w usta swoich ofiar, dbając jednak przy tym aby każda z postaci mówiła odrębnym stylem i używała odrębnych sformułowań. W literaturze nie wydaje mi się to konieczne; w literaturze decyduje wizja i szaleństwo; to dobrze jeśli ludzie mówią tak samo, jeśli depczą sobie po piętach i bredzą bez przerwy o tym samym. Jednak forma donosu policyjnego wymaga absolutnego klasycyzmu formy i stylu, oraz pewnego wykwintu, który może dobry jest u początkującego pisarza, ale drażni u prawdziwego mistrza. Jeśli chodzi o formę donosu policyjnego, tak zawsze aktualną w polskiej literaturze, należy dbać o to, aby każda z działających postaci mogła własnymi i prostymi sformułowaniami zasłużyć na parę lat ciężkiego więzienia. Ale — trzeba również strzec się kwietyzmu, gdyż może to wzbudzić nieufność przełożonych w policji. Istnieją wypadki, kiedy trzeba użyć określeń topornych i ciężkich, męskich i brutalnych — to dla więźniów dłu-

goterminowych i pozbawionych prawa palenia tytoniu w więzieniu. Wypadki bagatelne, powiedzmy do dwóch lat kryminału — można opisywać stylem felietonowym, cytując anegdoty i opatrując je własnymi komentarzami, pomińając jednak o tym, że nadużywanie komentarza krępuje postać działającą na scenie. Mając powyższe na uwadze napisałem kilkaset donosów uskrzydłony myślą, że jestem prawdopodobnie jedynym na świecie informatorem *à rebours*. Dzisiaj, kiedy myślę o nich zaczynam czuć coś w rodzaju wdzięczności: zjawili się wtedy, kiedy nie pomyślałem nawet jeszcze o tym, aby bawić się w życiu piórem i gdyby nie ich proste a pełne zachęty słowa, obiecujące mi przykry okres abstynencji — miast pisania traciłbym zapewne zdrowie w restauracjach opowiadając mym przygodnym towarzyszom i towarzyszkom historię mego złamanego życia. Myślę, iż w tym to właśnie okresie, z konieczności, która stała się potem upodobaniem, nabrałem miłości do formy krótkiej i zwięzłej. To jedyne, co w tej zabawie liczy się dla mnie naprawdę. Tysiąc policjantów można zmienić jednego dnia i tysiąc więźniów można pognać jednego dnia przez tysiąc kilometrów. Ale nie to jest ważne. Ważne jest tylko to, że w twoim życiu może nadejść tysiąc dni w ciągu których nie zdołasz napisać ani jednej strony. Gdyby mój dorobek pisarski upoważniał mnie do dawania rad młodym, powiedziałbym im: każdy z was powinien przez jakiś czas popracować dla tajnej policji, aby wyrobić sobie styl i jasność myślenia. Książki trzeba pisać tak jak donosy, pamiętając przy tym, że głupio napisany donos może zniszczyć przede wszystkim ciebie.

Skończyłem z moimi łapskami; nie miałem jednak w dalszym ciągu ani pieniędzy, ani mieszkania. Poszedłem do Józka Lenarta ze „Sztandaru Młodych” i poprosiłem go, aby wysłał mnie na reportaż; Lenart dał mi zaliczkę i pojechałem gdzieś w okolicę Wrocławia gdzie miałem odszukać młodą lekarzkę, która dostała przed rokiem nakaz pracy na wsi, i opisać jej sytuację oraz słoneczność

jej światopoglądu. Odnalazłem tę wieś i zacząłem pytać o panią doktor; zdziwiło mnie jednak, że chłopci, których pytałem, dają mi dziwaczne odpowiedzi patrząc na mnie błędnymi oczyma i zachowując się przy tym jak Ofelia w scenie szaleństwa. Wreszcie ona sama zjawiła się. Zapytałem ją, co jest właściwie z tymi ludźmi, z których każdy wygląda jak lunatyk. Z początku ta młoda osoba tłumaczyła mi to w ten sposób, iż są to chłopki zza Buga którzy nie mogą przeboleć straty swej ziemi rodzinnej i pożerani tęsknotą niebardzo już wiedzą w którym kościele dzwoni. Ta interpretacja, jakkolwiek oparta na motywach psychologicznych i historycznych, nie wydała mi się jednak prawdopodobną. Wreszcie, skonsumowawszy z panią doktor poważne ilości leczniczego spirytusu, udało mi się wykryć prawdę: otóż była to wieś morfinistów. Lekarka, zarabiając grosze nie wystarczające na utrzymanie, wpadła na genialny w swej prostocie pomysł: zmorfinizowała całą wieś i chłopci, stawszy się nałogowcami, płacili jej haracz, aby otrzymać niezbędną już do życia porcję narkotyków. Zapytałem ją co robi, jeśli jej pomysłem zainteresuje się prokurator. Powiedziała mi, że ma dosyć wszystkiego i że jeśli dowie się w jakiś sposób, że grozi jej aresztowanie, to duża dawka morfiny z barbituratami bez trudu przeprowadzi ją od życia do śmierci. Nic nie wyszło z mojego reportażu.

Także i drugim razem moja kariera reportera zakończyła się w sposób dziwaczny. Otóż posłano mnie do jednego z Państwowych Gospodarstw Rolnych gdzie udało się chłopom stworzyć teatr amatorski, którego duszą była żona kierownika owego PGR. Pojechałem tam w sobotę; w niedzielę miała odbyć się premiera sztuki któregoś z naszych mistrzów realizmu socjalistycznego. Nie pamiętam już treści tej sztuki: chodziło zdaje się o konflikt człowieka pracującego na wiertarce z człowiekiem pracującym na obrabiarce; i w tym wszystkim kryła się myśl o walce pokoleń. Nic bliższego nie jestem już w stanie o tym napisać.

Przyjechałem wieczorem: kierownik PGR zorientował się natychmiast że istnieje okazja uczczenia gościa z Warszawy i zaprowadził mnie do głównego amanta swego teatru. Amant był właśnie zajęty sporządzaniem kiełbas ze świni, którą uprzednio wraz z dyrektorem PGR ukradł i pozbawił życia. Prowadziliśmy rozmowę towarzyską na najwyższym poziomie wznosząc puchary i konsumując kiełbasy; po czym udaliśmy się spać. Następnego dnia wieczorem zebraliśmy się wszyscy w świetlicy. Znowu żeby uczcić gościa z Warszawy, kierowniczką teatru kazała miejscowemu tenorowi odśpiewać coś przed przedstawieniem. Na scenę wbiegł młody człowiek i zaryczał: „San Remo, białe miasto ponad morzem — ja Kocham ci...” Zdumieni chłopcy siedzący w watowanych kurtkach wytrzeszczali oczy; ale ja bawiłem się dobrze. Następnie zaczęła się sztuka: w momencie kiedy główny bohater — postać szlachetna i pełna patosu — wygłaszał długą tyradę na cześć obrabiarek, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i tp., na scenę wbiegł jakiś człowiek o dzikim spojrzeniu i z okrzykiem „A ty, Jadźki p... nie będziesz...” wraził bohaterowi nóż w klatkę z piersiami. Chodziło o jakiś osobiste zatargi na tle miłosnym. Nic z reportażu.

Wróciłem do Warszawy. Miałem już w tym czasie umowę wydawniczą z „Iskrą”. Kierowniczką „Iskry” Celina Mińska, wiedząc że jestem nałogowym żebrakiem, wysłała mnie do Władysława Broniewskiego abym — dokonał wraz z nim wyboru wierszy, przeznaczonych dla młodzieżowego czytelnika. „Iskry” były bowiem domem wydawniczym nastawionym na czytelnika młodzieżowego. Również i w tym wypadku nie używam świadomie cudzysłowu. Oczywiście, że można po prostu napisać „czytelnika młodego”. Ale pisząc to wszystko pragnę zachować język tamtych czasów: ową dziwną mieszaniną slangu, komunikatów urzędowych, języka używanego na wiecach partyjnych i na ulicy. Jestem jeszcze zbyt młody i zbyt mało znaczący, aby pisać pamiętniki. Piszę o lu-

dziach których znałem i których kochałem. Jak już powiedziałem: pragnąłbym dla tych właśnie ludzi napisać dlaczego nie mieszkam w Warszawie. Pragnąłbym to napisać dlatego, że wiele tym ludziom zawdzięczam, że nie przestałem ich kochać, i że nie potrafię ich zapomnieć. Niebardzo wiem jednak, czy to ma sens; czytając wczoraj w nocy książkę Adolfa Rudnickiego — jednego z ludzi, który mi pomagał i któremu dużo zawdzięczam, natrafiłem na następujące zdanie: „Kiedy równo dwa lata temu pewien młody człowiek z dworu, „jeden z nas”, wyjechał, i w Paryżu zaczął na nas psy wieszać, zadawałem sobie pytanie: Dadzą mu więcej pieniędzy, więcej swobody, więcej wszystkiego, ale czym zastąpią mu dwór? Skąd wezmą dla niego dwór? I co on zrobi bez dworu?” Czyżbym to ja był tym młodym człowiekiem? I na kimż to ja psy wieszałem? Czyż jeśli powiedziałem, że pragnę tylko żyć w takim kraju gdzie gest braterstwa nie zamienia się w gest samozniszczenia — czy wszystkie książki Rudnickiego nie są tym samym wołaniem o tę jedną, jedyną sprawę? Czy też Rudnicki przestał już myśleć?

Tak więc poszedłem do Władysława Broniewskiego który mieszkał wtedy na Mokotowie. Broniewski nie chciał rozpocząć dyskusji na temat wyboru swoich wierszy bez uprzedniego pokrzepienia się alkoholem: po strasznej walce wewnętrznej uległem jego prośbie. Dziwny to był człowiek; oficer legionów, komunista nie należący do partii, więzień naszych kapryśnych braci, najbardziej polski poeta jakiego można sobie wyśnić — a komunizm potrzebny mu był tylko z jednego powodu: ponieważ on, Broniewski, najbardziej lubił pisać o komunizmie. Żadne inne względy nie mogły tu wchodzić w rachubę i nie interesowały go zupełnie. Był przy tym zadziornym szlachciurą; opowiadał mi, że Bierut zaprosił go kiedyś do Belwederu i wzięwszy go pod ramię poszedł z nim do ogrodu a w pewnym momencie powiedział: „Towarzyszu Broniewski: już najwyższy czas, abyś-

cie napisali nowy Hymn Narodowy”. Broniewski wysłał go do wszystkich diabłów. Po czym napisał wiersz, że kłania się rewolucji radzieckiej po polsku, czapką do ziemi.

Ze swego pobytu u Broniewskiego niewiele już pamiętam poza jedną tragiczną sytuacją. Pewnego dnia Broniewski przestał pić i zaczął pisać nowe wiersze i nawet dobrze mu szło. Po jakiejś godzinie ktoś do niego zadzwonił i zapytał co u niego słychać: Broniewski powiedział: że zabrał się do roboty i że ma nadzieję miesiąc lub dwa solidnie popracować. Na własne nieszczęście powiedział przy tym, że nie pije: jego rozmówca pogratulował mu i rozmowa się skończyła; Broniewski znów zabrał się do pisania. Po piętnastu minutach znów telefon; dzwonił ktoś inny, kto rozmawiał z uprzednim rozmówcą Broniewskiego i dowiedziawszy się, że Broniewski postanowił nie pić, gratulował mu i prosił, aby wytrwał w postanowieniu; Broniewski podziękował mu i znów zabrał się do pracy. Po dziesięciu minutach znów telefon; znów przestroga i znów podziękowanie ze strony Broniewskiego. Ósmy telefon był od towarzysza Jakuba; Broniewski, błąd i roztrzęsiony przyszedł do mnie i powiedział: „Idź po wódkę”. Po czym opowiedział mi, że w dniu śmierci swej jedynej i ukochanej córki został zabrany wprost z pogrzebu do Wonieścia, szpitala dla alkoholików — z polecenia KC.

Gdyby ludzie wiedzieli, że nie ma lepszego sposobu na wpędzenie w powtórny alkoholizm jak przypominanie człowiekowi który pił, o tym co się stać może z chwilą kiedy znów pić zacznie — może przestaliby udzielać tych przeklętych, dobrych rad. Ludzie wciąż jeszcze nie wiedzą, że w uczuciu wdzięczności jest piekielnie dużo nienawiści. Nie pisałbym o tym, gdyby nie to, że ludzie obrzydzili mi połowę mego życia wtrącaniem się w moje sprawy i dawaniem mi przestrog.

Tak więc Broniewski rozpoczął cykl, który miał trwać wiele dni. Dziwny był to pijak; mógł być śmier-

telnie pijany i zataczać się z kąta w kąt ale z chwilą, kiedy ja mu deklamowałem na przykład „Ulicę Miłą” i pomyliłem się choćby o jedno słowo — Władysław Broniewski natychmiast korygował mnie i to w sposób dość ostry. Żal mi go; zamęczyli go ludzie i na pewno męczyli go przez całe życie. I był dziwakiem: kapitan Legionów, kawaler orderu *Virtuti Militari* był dumny, że zdobył ten order walcząc przeciw bolszewikom, którym kłaniał się czapką do ziemi. Więzień Stalina kiedy zapytawszy mnie co o nim sądzię usłyszał, że trudno mi go sądzić, ponieważ boję się bandytów przed którymi nie ma gdzie uciec — dostał ataku furii który mógł skończyć się dla mnie tragicznie, o czym poniżej. Nie to było ważne, że Ziutek-Słoneczko wymordował ileś tam milionów ludzi i zbudował największy na świecie obóz koncentracyjny, nie to było dlań ważne, iż on sam siedział w więzieniu sowieckim — ważne było dlań jedynie to, że on, Władysław Broniewski, napisał wiersz na cześć człowieka, którego ja obraziłem. Pobiegł na górę dygocząc z wściekłości; po jakiejś chwili zbiegła na dół przerażona służąca i powiedziała mi, abym wynosił się natychmiast, ponieważ pan Broniewski jest pijany i dzwoni do Urzędu Bezpieczeństwa. Złapałem palto i rażno wybiegłem w mrok.

Po roku 1956 ten stary i chory już człowiek miał na tyle odwagi, że do mnie, pętaka, podszedł i powiedział iż prosi o przebaczenie. Nie że przeprasza, ale że prosi o przebaczenie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie; poszliśmy znów na wódkę i znów Broniewski mnie korygował aż do chwili kiedy wspólnie straciliśmy przytomność usnąwszy na jednym łóżku, przy czym ja spałem przytulony do niego, jak szczenię do suki. Myślę o nim często; myślałem o nim czytając znakomity esej Miłosza o Gałczyńskim. Czyżby również i Broniewski był poetą dworskim? Mieroszewski napisał o nim, że Broniewski nie miał pojęcia o marksizmie, dialektyzmie, ekonomii i polityce. Komunizm urzekał go stroną malarską — pędzące nań w

roku dwudziestym hordy Tuchaczewskiego, piece Magnitogorska, elektrownie na Włodze, kanał Białomorski w czasie budowy którego straciło życie ileś tam tysięcy; sybirskie bataliony idące na odsiecz Moskwy, mowy wojenne Generalissimusa Stalina w których Stalin swoim twardym i chropawym głosem nakazał narodowi radzieckiemu wojnę świętą i ojczyźnianą — to był komunizm, który interesował Broniewskiego. Inne sprawy go nie interesowały; wybaczył im nawet pobyt w więzieniu ponieważ mógł pisać o tym wszystkim wiersze. Na całe dla mnie szczęście, ludzie nie brali nocnych telefonów Broniewskiego na serio; mogło się to skończyć w sposób dla mnie mało zabawny.

Cóż mi jednak z tego, kiedy ja jestem takim samym Polakiem jak i on? Nie potrafię o nim myśleć inaczej, jak dobrze; nie potrafię przestać czytać jego wierszy; i nie potrafię przestać ich kochać. I kiedy myślę o nim przypomina mi się najgenialniejsza scena śmierci jaką czytałem w „Wojnie i Pokoju” kiedy jeden człowiek umiera a drugi pyta: „I gdzie on teraz jest?” Ja także pytam się siebie: I gdzie on teraz jest? Ten komunista nie znoszący partii; ten bolszewik zdobywający order za dzielność w walce przeciw innym bolszewikom; ten więzień Stalina który chciał uwięzić innego człowieka za to, iż obraził jego oprawcę; ten wielki, nieszczęśliwy poeta i dobry człowiek — gdzie on teraz jest? Czy istnieje dla nas, ludzi, takie miejsce — jak w tej murzyńskiej pieśni — gdzie spotykamy się wszyscy: czyści, dobrzy i bez gniewu. A jeśli spotkamy się tam, to o czym będzie pisał i w co będzie wierzył?

REPORTER NAJBARDZIEJ BOJOWEGO PISMA W POLSCE

Już nie pamiętam w jaki sposób przypętałem się do grupy „Po Prostu”. Kiedy dziś usiłuję natężyć pamięć, aby wyjaśnić samemu sobie jak zostałem pracownikiem „Po Prostu” i jak w ogóle tam trafiłem, przychodzi mi na myśl tylko jedyne logiczne wyjaśnienie tej nekającej mnie zagadki: otóż na dole tego gmachu, w którym mieściła się redakcja najbardziej bojowego w swoim czasie tygodnika polskiego, był bar „Jontek”. Być może, że kiedyś pomyliłem sobie i przez pomyłkę poszedłem do redakcji „Po Prostu” aby zażądać dużej wódki w cienkim szkle i śledzia po japońsku. Natomiast zupełnie nie wiem, dlaczego nie wyrzucono mnie stamtąd od razu i bez wdawania się w zbędne wyjaśnienia. Zresztą wyrzucono mnie w parę miesięcy później, tak, że zmysł kompozycji mego losu nie został naruszony.

Bar „Jontek” nie należał do lokali wykwintnych. W tym czasie chodziło się do „Kameralnej”. „Kameralna” była restauracją pomyślaną bezbłędnie i dzieliła się na trzy części: „Kameralna” dzienna pierwsza, „Kameralna” dzienna druga i „Kameralna” nocna. Odkrywczość tego pomysłu gastronomiczno-architektonicznego polegała na tym, że można było zacząć pijaństwo w „Kameralnej” drugiej dziennej już wcześniej rano; po czym moż-

na było przejść na obiad do „Kameralnej” pierwszej, bawić się kielichem do wieczora kiedy to otwierano „Kameralną” nocną i tam dopiero wyrobić się towarzysko i dramatycznie. Do „Kameralnej” dziennej pierwszej i drugiej mógł wejść każdy łachudra; natomiast w „Kameralnej” nocnej obowiązywała pewna etykieta: otóż gość musiał mieć krawat i marynarkę. To nieważne zupełnie, że konsument mógł zostać akurat wyciągnięty po dwudziestu czterech godzinach ze śmietnika: musiał mieć tylko marynarkę i krawat. Ponieważ ja sam w owym czasie nie miałem stałego miejsca zamieszkania a garderobę gubiłem na skutek częstych zatargów z innymi mieszkańcami stolicy, wpadłem na pomysł wręcz spartański w swej prostocie: otóż nabyłem w Państwowym Domu Towarowym welwetową marynarkę i krawat i zostawiłem ją w garderobie „Kameralnej” nocnej. Dzięki temu, natychmiast po przyjsciu przemieniałem się z brudnego łachudry w młodzieńca z klasycznym wykształceniem, rokującego nadzieje na przyszłość; i w radosnych podskokach wbiegałem na salę.

Nad moralnością publiczną i zachowaniem spokoju czuwali szatniarze oraz kierownik sali. Pamiętam, jak kiedyś po straszliwej bójce którą już zlikwidowano i pozmiatano z parkietu zęby, kierownik nocnej wszedł i tragicznie wzniosłszy prawicę, zawołał: „Panowie! Ogólna buźka i spokój”, po czym Sarmaci poczęli bawić się dalej. Jeśli któryś z Sarmatów wyróżniał się przesadną wesołością i trzeba było wzywać do niego milicję, otrzymywał zakaz wstępu do „Kameralnej” na czas ustalany kolegialnie przez kierownika sali i szatniarzy; ale była to kara straszliwa. Wszedłszy kiedyś do „Kamery” ujrzałem następujący widok: dwaj moi przyjaciele: Andrzej Roman i Paweł Minkiewicz, nieśli przez salę jakieś zwłoki w kierunku baru krzycząc przy tym: „Uwaga, niesimy kasę”. Zwłokami okazał się Jurek Cukrowski, który zbyt wcześnie wyłączył się z otaczającej go rzeczywistości, a panowie Roman i Minkiewicz nieśli go do baru,

gdyż etykieta nie pozwalała im na wyjęcie pieniędzy z kieszeni nieszczęsnego fundatora. Rokujący świetne nadzieje na przyszłość alkoholik, kolega Wojciech Frykowski, zirytował się pewnego dnia na zbyt opieszałego kelnera i, aby mu dać znak do rozpoczęcia działalności, rzucił w niego ogórkiem, ponieważ jednak stopień rozbawienia kolegi Frykowskiego uniemożliwił mu celność ciosu, ogórek trafił w barmana, poważnego starca w okularach, po czym odbił się od okularów i trafił w samotnego konsumenta trującego się przy barze, który nie czekając na wyjaśnienia wymierzył barmanowi cios w czaszkę, co stało się hasłem do ogólnej bójki w myśl zasady **WSZYSCY PRZECIWKO WSZYSTKIM**. Akurat znajdowałem się w szatni, kiedy wbiegł barman.

— Trzy radiowozy z bananami! — krzyknął do szatniarza.

Szatniarz wbiegł na salę i przez chwilę taksował walczących fachowym spojrzeniem. Po czym wrócił do szatni.

— Dwa z bananami też będzie dosyć — oświadczył; następnie zaczął łączyć się z milicją.

Zainteresowany fachową a nieznaną mi dotychczas terminologią poprosiłem o wyjaśnienia i udzielono mi ich z całą życzliwością. Otóż stopień rozbawienia gości obliczano na radiowozy policyjne, a czym jest „banan” wie każdy i nie należy się o tym rozpisywać. Tak więc przy małej bójce zamawiano jeden radiowóz; przy większej dwa; górna granica nie została jeszcze ustalona i może stanowić obiekt niegasnącego zainteresowania badaczy.

Najsympatyczniejszym szatniarzem był pan Miecio: straszliwy olbrzym, który nigdy nie bił gości po głowach i szczękach, lecz tylko zgarniał ich do kupy — zupełnie jak oko radaru kondensujące tysiące mil morskich — i wyrzucał za drzwi z siłą tornada, tak że goście rozplaszczali się na murze po przeciwległej stronie ulicy Foksal, w pierw Młodzieży Jugosłowiańskiej, a jeszcze przedtem Pierackiego. Inni szatniarze wyrzucali za gośćmi ich pal-

ta, kapelusze i laski jak również inne atrybuty męskiej elegancji życząc im przy tym dobrej nocy, lub mówiąc: „Pan redaktor jest już zmęczony”.

Życie okrutnie obeszło się z panem Miciem. Wracałem akurat z pogrzebu Prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Bolesława Bieruta. Było to zaiste widowisko godne zapamiętania. Ponieważ towarzysza Tomasz wieziono z lotniska na Okęciu, wzdłuż całej trasy zebrały się tłumy, aby nic nie stracić z widoku ostatniej wędrownki ukochanego Gospodarza i myśliciela. Wynikł oczywiście straszliwy burdel i trumna z ciałem gdzieś się zakorkowała po drodze. Pijani ludzie na ulicy wciąż pytali: „Czy ciało już przeszło?” Albo: „Co jest z ciałem. Przecież mieli je czas zapeklować”. Inni odpowiadali uspokajająco: „Stygnie, stygnie”. Wreszcie ciało przeszło i zgębnieni ludzie rozeszli się do domów. Wtedy spotkałem pana Micia. Twarz jego poryta była troską. Złożyłem mu kondolencje; on mnie również. Zapytałem go, czy troska ocieniająca mu twarz wynika z faktu, że towarzysz Tomasz zmienił się w ogólnie szanowanego nieboszczyka; okazało się jednak, że pan Micio ma i inne kłopoty — wyrzucono go z „Kamery”.

— Za dobry byłem dla was — dodał nieszczęśnik.

Aby zilustrować swą dobroć opowiedział mi, że wpadłszy w lekkie rozdrażnienie pobił któregoś z natarczywych konsumentów kluczem po głowie; konsumenta trzeba było odwieźć do szpitala, gdzie stwierdzono dwaście ran ciętych. Aby jednak sprecyzować sytuację, trzeba wyjaśnić, że drzwi do nocnej „Kamery” opatrzone były potężnym zamkiem kowalskiej roboty, a jeśli chodzi o klucz, to tak właśnie przedstawiony jest Święty Piotr, który, jak wiemy z opowieści i obrazów, dzierży w ręku olbrzymiej wielkości klucz francuski, jakiego za zwyczaj używają hydraulicy, zwany jednak w sferach skłonnych do ekstazy religijnej: „Kluczem do królestwa”.

O „Kamerze” napisał w swoim czasie Poldek Tyr-

mand i nie będę już dłużej o tym mówić. Miałem tam swoje dobre dni i noce; przez wiele lat szukałem takiego lokalu po całym świecie i nie mogłem go znaleźć. W Jaffie był na przykład lokal, gdzie panowała całkowita ciemność i gdzie wpuszczano tylko ludzi w towarzystwie kobiet; na próżno tłumaczyłem im, że jestem człowiekiem samotnym a moje życie erotyczne stanowią nieśmiałe próby onanizmu zakończone fiaskiem. Nie wpuszczono mnie. Niemieckie lokale nocne są nudne jak nagła cholera; w Zurichu jest tylko jeden nocny lokal, który zamykają o godzinie dwunastej. Wreszcie, po latach badań i starań, udało mi się wypełnić tę tak bolesną w mym życiu pustkę: odkryłem lokal „La Bohème” w Paryżu przy rue de l’Odessa. Kiedy wszedłem tam, po raz pierwszy w życiu trzeźwy jak dziecko, i podążałem do baru wypełniony pragnieniem jak najszybszego stracenia przytomności — dostałem od razu po zębach od jakiegoś pijanego Irlandczyka, który wziął mnie za swego brata-bliźniaka z którym był w stanie waśni. Nie byłoby w tym nic szczególnego gdyby nie to, że ja jestem chudym szatynem o melancholijnym spojrzeniu, podczas gdy tamten był rudy, gruby i mały. Właściciel lokalu, Tony, wyjaśnił mi, że zaszła pomyłka i że w ogóle nie ma o czym mówić. Jest to zadziwiający lokal: kiedy ostatni raz przyszedłem tam zakrwawiony od stóp do głów nie wzbudziłem nawet najmniejszego zainteresowania: po prostu wzięto mnie do kuchni i znieczulono za pomocą „Tony Special”: jest to trunek stanowiący połączenie czystego spirytusu z Martini-Dry. Po czym kelner Jack, ku mojemu osłupieniu, wyciągnął olbrzymie pudło z lancetami, piłami, szczypcami oraz klamrami i nićmi do szycia po operacji. Fachowym ruchem obmył ręce czystą wódką którą potem znów wlał do butelki: pozszywał mnie i pospinał moje rany klamrami, a następnie znudzonym głosem kazał mi przyjść za sześć dni — na zdjęcie klamer. Chciałem go zapytać gdzie nabył wiedzę anatomiczną, ale nie było na to czasu: właśnie wnie-

siono do kuchni człowieka z nożem w udzie i Jack rażno zabrał się do dzieła.

Klientami lokalu są przeważnie amerykańscy żołnierze, których dochody nie są proporcjonalne w stosunku do ich planów rozrywkowych. Tony wynalazł sposób: po prostu każdemu wchodzącemu stempluje łapę. Ale i to nie na wiele się zdało: cwani Murzyni nie myli łap po parę dni, aby wejść „za frajer”; wtedy Tony zamówił kilka tuzinów stempli fosforyzowanych, które widać tylko w świetle latarni jarzeniowej i zmienia stemple każdego wieczoru. Wejście do „La Bohème” wygląda więc tak, że każdego wchodzącego łapie w przejściu olbrzymi Murzyn i ogląda jego rękę podnosząc ją ku rzezczonej lampie: jeśli stempel zgadza się z harmonogramem ustalonym przez Tony’ego — gość zostaje wpuszczony; jeśli nie — Murzyn wyrzuca gościa kopniakiem w tyłek. Gdyby wieszcz Mickiewicz żył w czasie teraźniejszym, to miałby o czym dumać na paryskim bruku: po prostu latałby przez cały dzień i kombinował gdzie pożyczyć parę groszy, aby wieczorem móc wyrobić się dramatycznie w „La Bohème”.

Nie wiem dlaczego tak dużo napisałem o „Kamerze” i o „La Bohème”. Myślę, że dzieje się ze mną tak jak z tym uczniem siedzącym w ostatniej ławce, któremu wszystko kojarzyło się z dupą. Jest to dowcip stary, ale pamiętając o tym, że „Kulturę” czyta młodzież wstępująca w życie, przytaczam go tutaj w całości, aby wyjaśnić dlaczego tak bardzo odbiegłem od historii najbardziej bojowego i bezkompromisowego pisma w Polsce. Robię to tylko ze względu na czytelnika młodego; ludzie doświadczeni nie muszą czytać.

Szkoła. Nauczyciel bada stopień inteligencji swych uczni. Wyjmuje z kieszeni białą chusteczkę.

Nauczyciel: — Kowalski — z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Kowalski: — Z dymem ognisk i mgłami.

Nauczyciel: — Dlaczego?

Kowalski: — Bo jesienią mam zawsze katar a mgły i dymy z pastuszych ognisk widzimy najczęściej jesienią.

Nauczyciel: — Doskonale, Kowalski. Masz przed sobą przyszłość. Siadaj. (do następnego) Rappaport. Z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Rappaport: — Z wakacjami.

Nauczyciel: — Dlaczego?

Rappaport: — Bo kiedy wyjeżdżam na obóz młodzieży katolickiej, to mama zawsze stoi na peronie i powiewa mi chusteczką.

Nauczyciel: — Doskonale, Rappaport. Masz przed sobą przyszłość. (do następnego) Sierzputowski — z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Z ostatniej ławki podnosi się ponury olbrzym. Pryszczaty. Widać że mimo najszczerszych wysiłków woli nie udaje mu się przerobić jednej klasy w terminie krótszym jak trzy lata. Kamera najeżdża na twarz Sierzputowskiego. *Close up.* Widać olbrzymi wysiłek myśli, malujący się na twarzy nieszczęsnego olbrzyma.

Sierzputowski: (bełkoce ku ogólnemu zadowoleniu) — Z dupą, panie profesorze.

Close up to the teacher.

Nauczyciel: — Z dupą? Chusteczka? Dlaczego?

Close up to Sierzputowski.

Sierzputowski: (zwycięsko) — Bo mnie się wszystko z dupą kojarzy.

Tak więc i ze mną: cokolwiek bym nie zaczął pisać, wszystko mi się kojarzy z pijaństwem.

Po raz pierwszy wyjechałem na reportaż dla „Po Prostu” kiedy nie byłem jeszcze stałym pracownikiem, lecz tylko wolnym strzelcem. Pojechałem do Lublina: dwóch chłopców, mieszkających w bursie, zamordowało swego wychowawcę i zrabowało mu przedmioty wartości około trzystu złotych. Obaj byli niepełnoletni; nie można było zastosować wobec nich kary głównej. Dostałem akta sprawy: chłopcy byli grzeczni, uczyli się nieźle i byli faworytami owego wychowawcy, tak że mogli do

niego przychodzić wieczorami, gdyż ten samotny i stary człowiek pokochał ich. Tu należy dodać, że wychowawca ich nie był homoseksualistą, lecz po prostu samotnym człowiekiem, któremu obecność dwóch młodych chłopców sprawiała przyjemność. Rozmawiając z obrońcą tych dwojga specjalnie pytałem go, czy nie zaszedł tam wypadek szantażu wobec homoseksualisty; obrońca odparł mi, że stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że wychowawca był człowiekiem jak najbardziej normalnym i nigdy w jego przeszłości nie dopatrzone się związków homoseksualnych. W aktach sprawy, obaj chłopcy stwierdzili zgodnie, że ich wychowawca nie próbował nigdy zbliżyć się do nich w sensie moczopłciowym (jak to genialnie określił Mistrz Wiech); obaj nawet nie bardzo wiedzieli co to jest homoseksualizm; a w żadnym wypadku nie umieli określić i sprecyzować na czym polega stosunek erotyczny między mężczyzną a mężczyzną.

Na pytanie prowadzącego śledztwo: Na co chcieli użyć zrabowane pieniądze — obaj oświadczyli, że nie myśleli o tym przedtem. Pomysł zabójstwa przyszedł im do głowy i postanowili go wykonać, gdyż byli przekonani, że uda im się zrobić to, co w powieściach kryminalnych zwie się mądrze „zabójstwem doskonałym”. Na ponowne pytanie prowadzącego śledztwo, na co były potrzebne im pieniądze i na co chcieli je przeznaczyć, odpowiedzieli, że chcieli iść do kina i wypić dwie butelki krajowego wina. Na pytanie prowadzącego śledztwo, czy znając przychylnie usposobienie wychowawcy nie lepiej było po prostu iść do niego i poprosić go o pieniądze — obaj odrzekli, że to im po prostu nie przyszło do głowy. Dalszych materiałów nie mogłem otrzymać: nie dostałem, z niewiadomych mi powodów protokołu konfrontacji. Ale widziałem ich zeznania i uderzył mnie właśnie ten punkt: dlaczego znając życzliwość i przyjaźń człowieka nie poprosili, a zabili.

Obrońca ich był człowiekiem bardzo zajęтым i nie miał dla mnie dużo czasu. Poprosiłem o rozmowę innego

prawnika, gościa młodego i inteligentnego i umówiłem się z nim w którejś z kawiarni na Krakowskim Przedmieściu. Zapytałem go: dlaczego zabili? Dlaczego nie poprosili? Odpowiedział mi, że jako prawnik jest mi w stanie udzielić tylko jednej odpowiedzi: z jego punktu widzenia istnieją tylko winni i niewinni. Ale, dodał, prawnik a zwłaszcza obrońca karny jest od wielu lat zawodem fikcyjnym — chyba, że prowadzi się sprawy rozwodowe. Jeśli zabili a nie pytali, to uczynili to dlatego, że przeważał w ich umysłach obraz zła ogólnego — obraz korupcji, wiedza o morderstwach politycznych, świadomość sowieckiej okupacji, wiedza o pijaństwie, złodziejstwie, prostytutce, rozpuszcie — miłość i dobroć samotnego człowieka nie zdołała zaćmić tamtych spraw. Waga Temidy jest wyważana za pomocą odważników, wydrążonych w środku przez pomysłówych sprzedawców Miejskiego Handlu Detalicznego. I powiedział mi jeszcze: nie możemy żądać od nich moralności gdyż dostarczyliśmy im tylko wiedzę o tym jak należy myśleć — ale nie rozum. Obiecaliśmy im wzrost stopy życiowej — zamiast tego widzieli wciąż postępującą pauperyzację kraju. Obiecaliśmy im praworządność — a skazaliśmy biskupa Kaczmarka, o którym każdy człowiek w Polsce wie, że jest niewinny. Obiecaliśmy im wolność słowa i myśli — a pokazaliśmy im sowieckie czołgi w Berlinie, kiedy rozwścieczeni Niemcy nie mogli już dłużej milczeć. W imię czego mamy wymagać od nich wiary w miłość jednego, samotnego i bezinteresownego człowieka? Nie łatwo być sprawiedliwym z Gomory.

Zapytałem go: czy gdyby był ich obrońcą — poruszyłby w swym przemówieniu obrończym to wszystko, co mi powiedział. Oczywiście — powiedział — ale tylko w jednym wypadku. — W jakim? — zapytałem mądrze. — Gdyby ich proces toczył się przed międzynarodowym trybunałem w Hadze.

W dwa lata później polskim *best-seller*'em stała się książka Leopolda Tyrmanda „Zły”. Tyrmand bezbłędnie

oddając atmosferę warszawskiej draki, warszawskiej ulicy i knajpy, zniszczył swoją książkę demonizując zbrodnie w Polsce. Bohaterowie Tyrmanda strzelają do siebie z broni palnej, ścigają się samochodami, zorganizowani są w gangi, tworzą organizację o charakterze zbrodniczym i tak dalej. Są złoczyńcami w wielkim stylu: tymczasem styl polskiej zbrodni jest nędzny — rabunek, gdzie zabitemu odbiera się sto złotych; bójka po pijanemu o miejsce w kolejce do kina, kradzież pary butów; jakaś mała afera w handlu uspołecznionym — oto jest styl polskiej zbrodni. Potem na szczęście trochę się poprawiło: myślę o „aferze mięsnej”, „garbarskiej” i „włókienniczej”. Ale cóż zrobić: ulubionym aktorem Tyrmanda jest Humphrey Bogart. Moim także.

Wróciłem do Warszawy i usiłowałem napisać swój reportaż. Wyrzucono mi dwie trzecie. Skrótów dokonał Lasota. Kiedy piszę to dzisiaj, Lasota nie jest już naczelnym redaktorem „Po Prostu” i posłem na Sejm Rzeczypospolitej Ludowej; przykro mi. Lasota był najbardziej przerażonym człowiekiem w „Po Prostu”. Lasota pewnego dnia został posłem na sejm — najpopularniejszym obok Dymyzy człowiekiem w Polsce; o jego mandat poselski upominali się studenci — ale ten człowiek był tchórzem. Pismo robiła Hanka Bratkowska; która z tej szmaty jaką było „Po Prostu” przed końcem roku pięćdziesiątego piątego zrobiła najbardziej czytane i ukochane pismo w Polsce. Kiedy ja zacząłem pracować w „Po Prostu” i wybrałem dla swego działu prozy od pięknej Miry Michałowskiej jej tłumaczenie jednego z najlepszych opowiadań Hemingway’a „Czyste, jasno oświetlone miejsce” — Lasota kazał je drukować na ostatniej stronie. Kiedy napisałem swoje opowiadanie „Pierwszy krok w chmurach” — Lasota wyrzucił mnie na zbitą mordę; poszedłem do Wilka Macha i Mach wkleił je do „Nowej Kultury”. Natychmiast po publikacji Bratkowska wpadła na mnie jak szpic na garbatego:

— To ty bydlaku swoje najlepsze opowiadanie drukujesz w „Nowej Kulturze”, a nie w „Po Prostu”. Dlaczego?

— Tam siedzi twój bezpośredni zwierzchnik a mój naczelny redaktor — powiedziałem wskazując na drzwi gabinetu Lasoty. — On ci już wytłumaczy dlaczego.

Bratkowska zrobiła piekło Lasocie. Cóż jednak z tego: do Warszawy przyjechał teatr BIM-BOM pod kierownictwem Kobieli i Cybulskiego z drugim programem. Pierwszy program BIM-BOMU był uroczy; drugi kretyński. Ktoś wchodził i mówił: „Nic”. Potem wylatywał; wchodził ktoś drugi i mówił: „Nic”. I znów wylatywał. Robiło się ciemno, a potem robiło się jasno. Puszczali bombę atomową. Pękały jakieś balony i to miało nam się kojarzyć z rozbitymi marzeniami, a przecież wszyscy wiemy, że pęknięta guma kojarzy nam się przede wszystkim z poważnym wydatkiem na doktora, z ryzykiem że przesiedzimy się w pudle i z cholerną awanturą ze strony żony. Potem wszedł jakiś anioł i grał na bałałajce. Potem wleciał szatan, wyrwał aniołowi bałałajkę i strzelał ze straszaka. Potem jakiś zwariowany cyklista przejechał przez scenę; nie było go, skurwysyna, pół minuty a tu nagle wleciała Zyskindówna i coś szczebiotała, że już nie będzie wiosny. A potem wszyscy zaszczebiotali, że już w ogóle niczego nie będzie. I tak bez końca. Napisałem o tym artykuł, i Lasota wyrzucił mnie za drzwi. Innym się podobało — podobało się i Lasocie, chociaż na przedstawieniu nie był. Podobało się większości — podobało się i Lasocie.

Również i w innym wypadku moja kariera sprawozdawcy sądowego zakończyła się w ten sam sposób. Pojechałem na proces pana Władzia Mazurkiewicza; Mazurkiewicz zapraszał rozmaitych ludzi na wódkę i potem na przejażdżkę samochodem z tym jednak, że nie rozstawał się z nimi w pocałunkach nad ranem, lecz wprowadzał im kulę w tył głowy. Proces był jedyny w swoim rodzaju: Mazurkiewicz był szpiclem i prowokatorem UB

i świadkowie bali się otworzyć mordę na procesie. Wszyscy wiedzieli, że pan Władzio jest mordercą ale wszyscy myśleli, że wykonuje wyroki swych mocodawców z UB. Trzeba pamiętać, że proces Mazurkiewicza toczył się przed Październikiem. Proces był kompromitacją: świadkowie bali się mówić, prokurator z ręcznie zmieniał temat; zramolały obrońca Mazurkiewicza bronił go posługując się tezą, że Mazurkiewicz jest urodzonym mordercą; typem patologicznym o wrodzonych skłonnościach zbrodniczych a zupełnie uszedł jego uwadze fakt, że jego klient-wariat był o tyle przytomny, że przywiązywał się uczuciowo do precjozów, będących własnością jego ofiar — ofiary peklował u siebie w garażu pod betonem. Proces był pośmiewiskiem; było sprawą oczywistą, że ludzie bali się mówić, że Mazurkiewicz z ręcznie kolportował informacje o swojej współpracy z UB; jest nie do pomyślenia, aby podobny wypadek mógł się zdarzyć w państwie gdzie policja zachowuje chociaż pozory przyzwoitości. Ale nie był to proces przeciw Mazurkiewiczowi; był to proces przeciw całemu miastu. Hoffmokr-Ostrowski, którego dopadłem z prośbą o wywiad, zaczął mi tłumaczyć, że Mazurkiewicz ma tak zwanego „zeza widlastego”, co jest najlepszym dowodem, iż jego zbrodnicze skłonności są wrodzone i że Mazurkiewicz nie ponosi za nie winy. Dzidzia bredziła a ja słuchałem. Nagle mecenas Ostrowski pokrył się trupią bledością.

— Panie Mecenasie? — zawołałem. — Może wody? Co się stało?

— Pan także ma „zeza widlastego”? — wybełkotał Ostrowski i szybko się ze mną pożegnał. Napisałem o tym artykuł: „Proces przeciwko miastu”: Lasota wyrzucił mnie won.

W końcu roku pięćdziesiątego piątego wielki syn Warszawy, Kazimierz Brandys, napisał opowiadanie pod tytułem: „Nim będzie zapomniany”. Chodziło tu o Czesława Miłosza, który zdradził Polskę i pozostał na Zachodzie. Kazimierz Brandys nie zawiódł swoich czytelników.

ników: również i to opowiadanie było kretyńskie, tak jak i wszystkie jego pozostałe dzieła.

Ale w parę miesięcy później w duszy Brandysa zaszła metamorfoza i napisał opowiadanie pod tytułem „Obrona Grenady”. Że niedobrze ale, że będzie lepiej. Niedobrze było dlatego, że musiało być niedobrze; ale od tej chwili — ogólna buźka i spokój. Również i tym razem Brandys nie sprawił niespodzianki swoim czytelnikom i nie podważył ich zaufania. Epos Brandysa rozłożył fachowo Artur Sandauer, człowiek bez złudzeń który to dzieło nazwał, a właściwie wyśmiał, określając je mianem „oportunistycznego bohatera”. W tym czasie przyszedł do redakcji pan Maruś Perelmann i przedstawił Lasocie projekt, aby „Obronę Grenady” wydrukować na wkładce i urządzić nad tym specjalną dyskusję w KLUBIE KRZYWEGO KOŁA. Lasota był wtedy u szczytu euforii i zgodził się natychmiast; „Po Prostu” patronowało KRZYWEMU KOŁU. Ale ja wpadłem we wściekłość i poszedłem do Lasoty.

— Lilek — powiedziałem. — Wyrzucić Perelmana razem z jego zasną „Obroną”. Szkoda „Po Prostu” dla tego rodzaju rzeczy. Albo drukujemy debiutantów, w których wierzymy, albo drukujemy pisarzy, którzy się nie kurwili. Nie czarujmy się. To nie jest O.K. jeśli taki poeta jak Miłosz wybył z kraju. A ten tu nagle przeszedł metamorfozę. Won Brandysa.

Lasota nie chciał nawet słuchać: wydrukowali „Grenadę” i urządzili nad nią dyskusję. Od tej historii sprawa „Po Prostu” przestała mnie interesować. Spróbowałem raz jeszcze: napisałem artykuł o Dostojewskim — Lasota wyrzucił mnie won. Postanowiłem mu zrobić dowcip: zaniósłem Dostojewskiego do „Trybuny Ludu” gdzie mi wydrukowali i nawet zapłacili. — Lasota poseł na sejm, redaktor pisma, które było i jest symbolem, bał się drukować to, co tak chętnie wydrukowała „Trybuna Ludu” — organ Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dla Lasoty artykuł był zbyt

niebezpieczny; u Staszka Brodzkiego przeszedł jak woda.

Czy postępuję słusznie pisząc to wszystko o Lasocie właśnie teraz, kiedy nie jest już ani redaktorem „Po Prostu”, ani posłem na Sejm PRL? Nie wiem: nie piszę o Lasocie jakim jest dzisiaj, ale jakim był wtedy. Pamiętam, że byłem kiedyś świadkiem rozmowy pomiędzy amerykańskimi prawnikami: chodziło o to, czy należy stracić tego gagatka imieniem Cyryl Chessman. Argument przeciw egzekucji był tego rodzaju, że człowiek który przesiedział dwanaście lat w więzieniu zmienił się, i jeśli nawet nie może na nowo zacząć życia w społeczeństwie, to należy go pozostawić przy życiu. Kontr-argument był prosty: egzekucję należy wykonać. Nie zabijamy go za to kim jest dzisiaj, ale za to kim był niegdyś. Lasota był tchórzem.

Ale czy „Po Prostu” miało szansę pozostania pismem atrakcyjnym, bojowym i prawdziwym? Nie widzę potrzeby odpowiadania na to pytanie. Polska jest krajem okupowanym i tylko nie zapominając o tym ani na chwilę trzeba o Polsce myśleć i starać się Polsce pomagać. Każde inne myślenie na temat Polski, jest myśleniem nie-Polaka; jest myśleniem dozorczy niewolników i głupca. Oczywiście, że „Po Prostu” tej szansy nie miało; i każdy kto myśli inaczej wyrządza krzywdę tym wszystkim dobrym i czystym ludziom, którzy tam pracowali; którzy chodzili kilometrami po błocie zakładając kluby dyskusyjne i pisząc o ludziach, którzy otrzymali nakaz pracy, i starali się tym ludziom pomóc. Pismo miało świetnie postawiony dział reportażu terenowego; i ci tam, łążący po błocie, niedożywieni i chudzi, to byli właśnie najlepsi ludzie. O ile dobrze pamiętam, mieliśmy w redakcji sześciu gruźlików — a więc co drugi był chory na TB. Partia, ze swego punktu widzenia rozegrała bezbłędnie sprawę tego pisma. „Po Prostu” pracowało dla partii; „Po Prostu” rozkołysało masy; „Po Prostu” było pierwszym pismem w Polsce, które przeprowadziło wywiad z Władysławem Gomułką; „Po Prostu” walczyło o Go-

mułkę i „Po Prostu” zostało przez Gomułkę zniszczone. „Po Prostu” przed październikiem roku pięćdziesiątego piątego było pismem przeznaczonym dla studentów; osiemdziesiąt procent pisma wracało z powrotem na przedmiał. Po przerwie wakacyjnej („Po Prostu” przestawało wychodzić każdego roku na przeciąg dwóch miesięcy; prawdopodobnie jako jedyne pismo na świecie i w ogóle) „Po Prostu” zaczęło rozchodzić się w setkach tysięcy egzemplarzy i kiedy dziś przeglądamy stare roczniki widzimy na okładce wciąż zwiększającą się ilość nakładu, podaną w cyfrach. „Po Prostu” przestało być pismem dla studentów a miało stać się pismem młodej inteligencji; stało się pismem całego narodu. „Po Prostu” przeprowadziło akcję pomocy dla młodych artystów; pamiętam, że mój bezpośredni przełożony wysyłał mnie na miasto, aby ich odszukać a ja godzinami latałem po jakichś poddaszach i patrzyłem jak żyją te głodomory. „Po Prostu” pierwsze w Polsce zaalarmowało opinię i tak zwane „czynniki” opisując losy ludzi, którzy po ukończeniu wyższych studiów dostali nakaz pracy i marnowali się na prowincji. „Po Prostu” pierwsze w Polsce poruszyło sprawę bohaterów Armii Krajowej. „Po Prostu” pierwsze w Polsce zademonstrowało styl życia księży socjalizmu opisując sklepy za „żółtymi firankami” — i to pozostanie zasługą takich ludzi jak Hanka Bratkowska, Misza Grzelak, Janusz Chudzyński, Jurek Urban i inni. Moim bezpośrednim przełożonym był Juliusz Garztecki; mówi się o nim, że jest czy też był pracownikiem UB. Nie wiem. W Polsce o ludziach z tak zwanego środowiska mówi się zazwyczaj tylko trzy rzeczy: że są pracownikami Urzędu Bezpieczeństwa, pederastami lub pijakami. Trudno mi na ten temat coś sensownego napisać; wiem, że Garztecki pracował dla „Po Prostu” jak biedny diabeł i stale mnie opieprzał; o ile dobrze pamiętam, to on właśnie poruszył sprawę rehabilitacji bohaterów Armii Krajowej. Ale jak już powiedziałem: marksizm nie dopomaga człowiekowi w zdobyciu rozu-

mu; dialektyka jest wiedzą nie o tym jak należy myśleć, ale jak powinno się myśleć. Kiedy „Po Prostu” zaczęło myśleć na swój sposób — zostało rozwiązane.

Błąd Bratkowskiej i innych członków kolegium polegał na tym, że dopuścili do współpracy rozmaite szumowiny, które z chwilą kiedy „Po Prostu” stało się pismem numer jeden — natychmiast zjawiły się w naszej redakcji przy ulicy Wiejskiej. Lasota nie ponosi odpowiedzialności za ten fakt, ponieważ był tchórzem; ale Hanka powinna była wyrzucić ich wszystkich won. Ludzie rozmaicie mówią o Hance; ja wiem o niej tylko najlepsze rzeczy. Kiedy dostałem od Jerzego Andrzejewskiego jego genialne opowiadanie „Ucieczka” — Lasota począł trząść się ze strachu — Hanka zgwałciła Lasotę i Lilek zaakceptował. Potem dostaliśmy tysiące listów od ludzi; pisali, iż jest to najlepsze opowiadanie jakie Jerzy Andrzejewski napisał. Sam Andrzejewski uważał „Ucieczkę” za opowiadanie słabe i nieudane; wybrałem „Ucieczkę” klęcząc przed nim na kolanach i całując go po rękach; aż w końcu rozcałowaliśmy się tak ogólnie. Niestety Jerzego jest niedocenywanie olbrzymiego talentu, danego mu przez Boga i brak szacunku w stosunku do samego siebie; brak dumy na miejsce której zjawiła się pycha. Ten człowiek jest tylko niszczycielem — a wmówił sobie, że jest moralizatorem. Idioci z Filmu Polskiego nie wiedzą, że nawet przy ich całkowitej i wręcz zastanawiającej nieumiejętności, jeśli chodzi o robienie filmu — z „Uciezki” mogliby zrobić najwspanialszy film o wojnie. Nawet pułkownik i profesor Aleksander Ford nie mógłby spieprzyć „Uciezki”, a przecież on potrafi spieprzyć wszystko.

I jeszcze o Hance: kiedyś powołano mnie na komisję wojskową i dostałem wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Przyszedłem do redakcji i zaszedłszy na trzecie piętro do hali maszyn, zacząłem pisać list do jednego ze swych znajomych reżyserów, że nie mogę mu, niestety, napisać scenariusza ponieważ jak mówi pieśń

„A on do wojska był przynależniony; a ona za nim płakała...”. W liście tym użyłem zwrotu: „Polsce bardziej potrzebni są szpicle... od dziennikarzy”. Chodziło o to, że ci którzy zgłaszali się na komisji wojskowej do służby w milicji, nie potrzebowali odbywać tak zwanej „służby zasadniczej”. Pisałem ten list dygocząc ze wściekłości: po czym wykręciłem papier z maszyny i nie zauważyłem, iż z przyzwyczajenia założyłem kalkę — kopię listu, jako rasowy polski konspirator, zostawiłem na stole.

W dwie godziny później wezwał mnie Lasota. Wyglądał jak Jasiński: młodzian piękny i posępny.

— Słuchaj stary — zaczął redaktor najbardziej bojowego pisma w Polsce. — Muszę cię prosić, abyś zgłosił podanie o dymisję.

— Dlaczego?

Tragicznym gestem Lasota wyciągnął z szuflady kopię mego listu i pokazał mi ją. Oczywiście Bratkowska załagodziła całą sprawę. A kto przyniósł kopię tego listu do Lasoty? Maszynistki; osiemnasto i dwudziestoletnie dziewczynki, z którymi się flirtowało. I po co tym ludziom niepodległość? Niech pozostaną do końca świata stróżami braci swoich, i niech się nudzą.

Kiedy piszę o tym przypomina mi się historia jaką przeżyłem w Izraelu. Przyjaciół mój, Jerzy Buchbinder-Press, znalazł mi znakomitą pracę: a mianowicie w hucie. Trzeba pamiętać, że na zewnątrz było pięćdziesiąt stopni ciepła, a na sali stał piec o temperaturze dwóch tysięcy dwustu stopni Celsjusza. Piekło, a ja w dodatku pracowałem „na czarno”, gdyż nie miałem pozwolenia pracy. Tak więc gdy kolega Buchbinder-Press siedział w kawiarni i gładząc swą poważną brodę załatwiał interesy, czyli — jak to się fachowo mówi w Izraelu — „sze kręcił”, ja ładowałem szesnaście i pół tony materiału do pieca, prowadząc rozmowy towarzyskie ze swym majstrem, panem Szapiro. W tej fabryce wszyscy wiedzieli że nie nazywam się Joram Buchbinder-Press tylko po prostu Hłaskower — od dyrektora fabryki do ostatniego

łachudry który wynosił śmieci z sali. Po paru miesiącach dostałem lepszą pracę; przyszedłem więc do fabryki aby rozstać się ze wszystkimi w pocałunkach. I nagle jeden z nich nie chciał mi podać ręki.

— A dlaczego?

— Bo ty jesteś szajgec, a nie Joram Buchbinder-Press.

— Miałeś pół roku czasu — powiedziałem. — Dlaczego nie poszedłeś na policję i nie powiedziałeś im?

— Bo kiedy tu przyszedłeś, widziałem, że jesteś głodny i że potrzebujesz pracy. Ręki ci nie podam. Niech będzie przeklęty twój naród i ty sam, i twoja ziemia.

Tak dzieje się w Izraelu z Żydami, którzy przez dwa tysiące lat tułali się po świecie; bici torturowani, opluwani i pędzeni przez wszystkie więzienia i łagry świata.. Państwo Izrael powstało w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym; w czasie walk o Jerozolimę, niesubordynowanych żołnierzy karano w jedyny sposób — kazano im na pewien okres czasu odejść z linii walki; i to była najgorsza kara dla żołnierza izraelskiego — dla Żyda, który przez setki lat był przedmiotem drwin i szyderstwa. Żydów raniono tylko dlatego, że nie chcieli zapomnieć o tym, że wchodząc do domu mówią: „Słuchaj Izraelu. Jeden jest Bóg i jedna jest ziemia”. I oni mają swoją ziemię; i jeśli rzeczywiście istnieje Bóg i miłosierdzie — nigdy jej nie stracą. Każdy człowiek wierzący naprawdę w Boga powinien nosić na szyi gwiazdę Dawida obok krzyża tak długo, aż ostatni antysemita nie zostanie zabity i dopóki ciało jego nie zamieni się w proch, który ze wstydem przyjmie cierpliwa ziemia.

Kariere w „Po Prostu” skończyłem po wydrukowaniu „Obrony Grenady”. Przestało mnie to wszystko interesować; przychodziłem tylko pierwszego po pieniądze — tym niemniej naprawdę szkoda mi tego pisma. Nie szkoda mi tylko tego człowieka, który w chwili gdy „Po Prostu” zamieniło się w pismo młodej inteligencji uparł się, aby zamieścić jako program skrzydlate słowa „O in-

teligencji”, pióra pewnego Rosjanina, który wyjaśnił nam w referacie wygłoszonym na XVIII Zjeździe WKP (b), że inteligenci także są w jakiś sposób ludźmi. Rosyjskim myślicielem był człowiek nazwiskiem Stalin; nie należy dodawać, kto uparł się aby drukować jego tekst. W ogóle trzeba pisać jak najkrócej i żeby było umownie: kiedy kolega Kape wszedł ze mną w roku 1949 do Spółdzielni Kamaszników w Legnicy, na zapytanie kierownika — „Czego pan sobie życzy” — wyjaśnił życzliwie: — „Kasy” i pokazał przy tym TT. Tak właśnie trzeba. Tak skończyła się moja kariera reportera.

Ja w tym czasie nie miałem jeszcze mieszkania i spialiśmy z kolegą Berezą częściowo na Dworcu Głównym — częściowo byliśmy goszczeni przez poszczególne komisariaty i Izby wytrzeźwień. Wreszcie chwilowo ulokowałem się u innego kolegi, mieszkającego u babki. Kolega ten nienawidził alkoholu; natomiast był miłośnikiem cudzołóstwa. Ale cóż zrobić z babką-staruszką? Proste; my mieszkaliśmy na Powiślu — więc kupowało się dla babki bilet do kina, gdzieś na Ochocie. Kino dwie godziny, jazda tramwajami trzy godziny, to już mamy pięć. W tym czasie można coś niecoś zadziałać. Po jakimś czasie babka kolegi zaczęła mówić stylem bohaterów filmu. Mówiła na przykład: „Ty, Marek. Kiedy mówisz do mnie to trzymaj ręce opuszczone, bo może być nieprzyjemnościunia”. Kiedy inny kolega przychodził aby przywitać się z babką, babka odpowiadała: „Nie podaję nigdy ręki mańkutowi. To mi nieraz ocaliło życie”. Albo jeszcze inaczej: „Nie bądź taki równiak, Mark. Pamiętaj że przyjechałeś do Frisco, aby odpocząć i nabrać zdrowia”. I wszystko szło dobrze; ale mój przyjaciel-erotoman przechrzył. Wyświetlano cztero-godzinny film radziecki pod tytułem „Admirał Uszakow”. Cztery godziny kina i trzy tramwajem — idealna sytuacja. Akurat kiedy dziewczęta zgodziły się oddać nam to co, miały najświętszego, wpadła babka.

— To skandal! — zaczęła krzyczeć. — To! cham-

stwo. To zwierstwo! To niedopuszczalne! To ohyda!

Ale nie chodziło jej wcale o nagie dziewczęta, jak myśleliśmy z początku; otóż w filmie „Admirał Uszakov” występował jakiś człowiek o wyglądzie podleca: Admirał Nelson. Jego partnerką była jakaś dziewczica z typu tych, które spotykamy nocą na Chmielnej i które klepiąc się zachęcająco po tyłku krzyczą: „No co? Będziemy dziś katować to dupsko?” — Lady Hamilton; ubrana w dodatku w nocną koszulę z koronkami na zasadzie szczytu wykwintu. Admirał Nelson podszedł do niej i demonicznie mrugając brwią wyciągnął ku niej jedyną rękę wołając przy tym tubalnym basem:

— *Kak pożywajecie, ledi Gamilton?...*

I tego nam babka wybaczyć nie mogła. Znów mnie wyrzucono. Pamiętam jak szedłem smutny Krakowskim Przedmieściem w owe nieśmiertelne dni Października a koledzy zatrzymali mnie przed Uniwersytetem.

— Przyjdź dzisiaj wieczorem na Żerań — powiedzieli. — Będą rozdawać karabiny.

— A po co mi karabin? — zapytałem.

— Będziemy się bić.

— Odłóżcie, panowie, ruchy wolnościowe do jutra — powiedziałem. — Dziś wieczorem jestem zaproszony na imieniny do Kropki Minkiewiczowej. Nie mogę nawalić.

I poszedłem dalej.

GOOFY THE DOG

Czytając niedawno jeden z ostatnich numerów „Kultury” natrafiłem na anonimowy artykuł pt. „Głos z kraju”; autor artykułu mówiąc o stosunku Polaków do Ameryki, wspomina, że w czasie wojny Koreańskiej Polacy przechodzący koło Ambasady Amerykańskiej zdejmowali czapki, aby oddać honor gwiazdzistej fladze. I ja również należałem do nich; byłem wtedy uczniem Państwowego Technikum Teatralnego skąd wyrzucono mnie na rok przed wybuchem wojny Koreańskiej. O ile dobrze pamiętam Ambasada Amerykańska mieściła się w Alejach Ujazdowskich, a nasza szkoła mieściła się w gmachu YMCA przy ulicy Konopnickiej. Po zakończonych lekcjach szliśmy Alejami Ujazdowskimi i zdejmowaliśmy czapki przed Ambasadą, a stojący tam żołnierz patrzył na nas z pełną zainteresowania życzliwością, jaką zazwyczaj poświęca się garbusom i idiotom.

Chodziliśmy również do Ośrodka Informacyjnego przy Ambasadzie U.S.A. Nikt z nas nie znał wtedy języka angielskiego, ale oglądaliśmy ilustracje w takich pismach jak „Life” czy „Time” oraz amerykańskie książki i czasopisma. Czasami Ośrodek Informacyjny urządzał projekcje filmów; chodziliśmy tam a po pokazie zgarniali nas tajniacy z pobliskiego komisariatu przy ulicy, zdaje

się, że Piusa. Tam nas legitymowano i opieprzano; odzyskanie wolności trwało zawsze parę godzin; miało to te dobre strony, że obejrzany uprzednio film można było przedyskutować w tym samym gronie widzów, czekających na swoją kolejkę bez paseczków, sznurowadełek i krawacików. I tak do następnego razu.

Na pokazach filmowych w Ambasadzie zapoznałem się z osobnikiem imieniem GOOFY, THE DOG. Goofy ma stale świetne intencje i dobre pomysły ale zanim uda mu się zrealizować jeden z tych pomysłów, mający na przykład na celu uszczęśliwienie gospodarza domu lub znajomego buldoga z naprzeciwnka, kochającego swego syna — powoduje krótkie śpięcie, katastrofę samochodu-cysterny lub po prostu wsadza łapę między drzwi i wyciem pełnym bólu budzi tegoż właśnie buldoga, któremu chciał zrobić przyjemną niespodziankę, no i dostaje od niego po mordzie. Odtąd Goofy stał się dla mnie obok Mikołaja Stawrogina ulubioną postacią; i nie będzie w tym chyba pychy i przesady, jeśli powiem o sobie: „Goofy, to ja”; tak jak Flaubert powiedział, „Madame Bovary, c'est moi”.

W tym czasie zaczął działać niejaki Stefan Martyka, aktorzyzna trzeciorzędny, który prowadził w Polskim Radio audycję pod tytułem „Fala 49”. Bydlę to włączało się przeważnie w czasie muzyki tanecznej, Mówiąc: „Tu Fala 49, tu fala 49. Włączamy się”. Po czym zaczynał opluwanie krajów imperialistycznych; przeważnie jednak wsadzał szpilki w pupę Amerykanom mówiąc o ich kretyństwie, bestialstwie, idiotyzmie i tego rodzaju rzeczach — następnie kończył swą tyradę słowami: „Wyłączamy się”. Pewnego dnia jakiś student położył Martykę trupem; z początku sądzono, że jest to zemsta Jana Cajmera, który był wtedy dyrektorem orkiestry tanecznej Polskiego Radia: w czasie audycji Cajmera Martyka włączał się najczęściej. Wkrótce jednak ustalono, że mordca Martyki był stałym gościem Ośrodka Informacyjnego Ambasady U.S.A. i Ośrodek zamknięto; moja przy-

jaźń z psem Goofy uległa wieloletniej przerwie, a Martyka wyłączył się na zawsze.

Nieszczęśliwa miłość Polaków do Amerykanów była już przedmiotem wielu publikacji, reportaży i rozpraw. Istotnie, nie jest za dobrze. W filmach amerykańskich Polacy grają przeważnie narkomanów, szpiegów, lub małych złodziejasków. Posłuchajmy co na ten temat mówi znany myśliciel polski Jerzy Putrament w swej książce „Na literackim Froncie”.

Myśliciel Putrament: „Jest jakaś kryminalna powieść amerykańska. Rzecz dzieje się w Chicago. Jest upalne popołudnie, detektyw prywatny siedzi w swoim biurze i w półdrzemce słyszy, jak w sąsiednim domu sprzątaczkki kłócą się ze sobą — po polsku”.

A potem:

„W ogóle Polacy (czy raczej Amerykanie polskiego pochodzenia, tak brzmi dziś ich oficjalna nazwa) dosyć często trafiają do współczesnych dzieł literatury amerykańskiej. W klasycznie degenerackiej, „psychoanalitycznej” sztuce „Tramwaj, zwany pożądaniem” — bohaterem jest Polak, ukazany jako ostatnie bydło. Znęca się on nad biedną Amerykanką, mimo że ta jest umyślowo chora. Gdy inna postać ze sztuki chce go obrazić, mówi nań *Polack*.

Tyle Myśliciel. Jednak w dowód szacunku dla ogromu jego umysłu pozwolę sobie zauważyć, że to nie jest zupełnie tak, jak to Putrament streścił własnymi słowami. Niewątpliwie Kowalski nie należy do tych, z którymi trzeba się od razu zaprzyjaźnić i pożyczyć im pieniądze; jednak uwadze Putramenta uszło, że biedna Amerykanka była kiedyś tak zwaną „Córą Koryntu” z zawodu czy też z zamiłowania; i to właśnie bardzo się Kowalskiemu nie podoba. Nieszczęśliwa Amerykanka przez cały czas prowokuje naszego nieszczęsnego rodaka; tak, że tenże gwałci ją w końcu aby mieć to wreszcie z głowy, przy czym kaleka jest wyraźnie usatysfakcjonowana; nawet

do tego stopnia, że wariuje kompletnie i idzie do domu dla obłąkanych.

Aby pomóc Putramentowi w jego dalszych lamentach nad losami naszych rodaków w U.S.A. i ja pozwolę sobie przytoczyć parę co celniejszych przykładów. W książce „Nadzy i martwi” również występuje nasz rodak pan Kaczyński; z zawodu sutener z Chicago. W filmie „Siła Tanków” występuje natomiast inny nasz rodak, który nie mówi w ogóle nic, lecz tylko wyciąga od czasu do czasu sztylet, aby położyć trupem kolejnego Niemca, Araba czy też tam kogoś. Nasz rodak raz tylko otwiera mordę, aby zdemaskować szpiega niemieckiego, który udaje angielskiego jeńca. Po prostu pyta go w języku niemieckim: „Która jest teraz godzina, przyjacielu?” i szpieg automatycznie odpowiada w macierzystym języku: „Szósta”. Polak wyciąga sztylet, podrywa mu gardło, Niemiec pada trupem, rodak spogląda na zegarek i, pochylając się nad konającym w męczarniach nikczemnikiem, informuje go życzliwie — również w języku niemieckim, „Pański zegarek spieszy się o pięć minut”. Chowa sztylet; akcja toczy się dalej.

W filmie Premingera „Człowiek o złotym ramieniu” także występuje nasz rodak; dla odmiany morfinista który właśnie opuścił szpital dla narkomanów. Styl jego życia jest mało skomplikowany; oszukuje w karty, wstrzykuje sobie morfinę; dostaje po mordzie od innych graczy; wreszcie żona jego wyskakuje z dziesiątego piętra i mimo trzepotania rąk nie udaje się jej zmniejszyć szybkości lądowania; Frankie-Machine zostaje czarującym wdowcem. Jest to jedyny Polak, któremu powiodło się w Stanach od czasu Tadeusza Kościuszki; z żony zostaje klej, ale w bohaterze zakochała się Kim Novak i widzimy, że Frankie-Machine — smutny czegoś na widok kałuży pozostałej z jego żony — odzyskuje humor i zdrowie gdy Kim Novak przytula się do niego i gdy razem odchodzą w dal.

Zdawałoby się, że Fiodor Michajłowicz Dostojewskij

nie przesadzał w swych pro-polskich sympatiach; ale Amerykanie postanowili go skorygować. W filmie „Bracia Karamazow” jak pamiętamy uwodzicielem Gruszeński jest niejaki Gronowski — polaczyszka. Gruszeńska jedzie do niego; Gronowski nie poświęca jej ani chwili uwagi; jest pochłonięty szachrajską grą w karty. Nieszczęsna kobieta siedzi i tępym wzrokiem obserwuje swego uwodziciela, pryszczatego statystę.

Wchodzi Yul Brynner — Dymitr Karamazow. Ogarnia wszystkich palącym spojrzeniem. Stawia na stole puzdro. Gruszeńska — Maria Schell — podlatuje do stołu i otwiera puzdro. My widzimy dwa pistolety ogromnego kalibru, że taki rok na naszych wrogów.

Maria Schell: — Dymitr. Po co jest ta broń?

Yul Brynner: — Aby zabić.

Maria Schell: — Ależ Dymitr! To straszne, co chcesz uczynić!

Yul Brynner (po chwili zadumy): — Ja wiem. Ale ja jestem Karamazow!

Dymitr siada w kącie i obserwuje Polaczka. A my widzimy, że Maria Schell już nie kocha Polaka tylko Dymitra. Wchodzi właściciel knajpy wnosząc samowar; Polak w sensie podziękowania za czaj-kiptatok policzkuje nieszczęsnego Rosjanina. Rosjanin patrzy wzrokiem zbitego psa na Dymitra. Dymitr podnosi się powoli i chwytając za włosy Polaczka stawia go w pozycji na baczność. Następnie bije go w ten sposób, że najpierw zewnętrzną stroną lewej dłoni w twarz z prawa na lewo, tak aby następnie zewnętrzną stroną prawej dłoni przetrząść go z powrotem. Polak pada bez zmysłów uderzając głową o podłogę.

Yul Brynner (wyjaśnia życzliwie): — To nieładnie bić ludzi, panie!

A my widzimy, że Maria Schell już nigdy nie przestanie kochać Dymitra. W „Braciach Karamazow” Dymitr nie chce zabijać Polaczyszki, lecz zakupiwszy odpowiednią ilość ciągutek dla Cyganów, szampana i cygar,

postanawia „odebrać sobie samobójstwo” o świcie, kiedy hulanka będzie u szczytu. Ale Amerykanie skorygowali ponurego Rosjanina; Polak leży na podłodze już do końca akcji. To są nasze interesy w Hollywood.

Myśliciel Putrament nie był jednak zadowolony z Polaków będących bohaterami powieści i sztuk amerykańskich i postanowił poprawić sytuację w swoim eposie pod tytułem „Arka Noego”. Jednak tu coś nie wyszło: Polaczek jest tym razem szpiegiem, pracującym dla wywiadu jakiegoś bliżej nieokreślonego państwa azjatyckiego, a jego przełożonym jest jakiś straszliwy Kitajczonok Li. Polaczek podlizuje mu się, ale na ustach straszliwego Azjaty błąka się tylko pogardliwy uśmiech. Aby uzyskać dla swego bohatera tak drażniący Myśliciela brak sympatii ze strony innych pisarzy i aby nic nie uronić z dumy narodowej, Putrament każe naszemu rodakowi palić marihuanę, pić whisky, i tak dalej. Jakaś rodaczka postanawia mu oddać to, co ma najświętszego; nasz bohater zawodzi jednak i następuje to, co Stendhal nazywa „fiaskiem w miłości”. W inteligencję nasz rodak również nie jest wyposażony przez naturę w sposób przesadny. Kitajczonok Li każe mu włożyć bombę do samolotu; Polaczek wsadza i przez idiotyzm sam wsiada do rzezczonej maszyny. I leci; stewardessa informuje go życzliwie, że przez pomyłkę wsiadł do samolotu, w którym umieścił uprzednio bombę zegarową. Rodak szaleje ze strachu; wszyscy biegają na czworakach szukając bomby; samolot leci nad oceanem. Czas płynie; Polak skamle; bomba tyka; sytuacja poważna gdyż i innych pasażerów zaczyna ogarniać coś w rodzaju niepokoju. Bombę do samolotu wsadzono li-tylko dla tego, aby zabić rosyjskiego dziennikarza; tak rozkazał Kitajczonok Li.

Była w swoim czasie opowiadka o amerykańskim pisarzu, który pisał powieść w odcinkach. Pewnego dnia przyszedł do swego szefa.

Pisarz: — Szefie. Od jutra chcę dziesięć dolarów więcej za odcinek.

Szef: — Won.

Pisarz wychodzi gwizdząc beztrąsko. Szef łączy się z sekretarką i każe, aby przyszedł Rappaport. Rappaport wchodzi.

Szef: — Rappaport. Od tej chwili będziesz pisać dalej tę przeklętą bzdurę.

Rappaport: — Tak jest, szefie.

Zgarnia nonszalanckim ruchem manuskrypt i wychodzi; szef pograża się w dalszej pracy. Za godzinę wraca Rappaport; jest zupełnie pijany i trupio blady. Kładzie przed szefem manuskrypt.

Rappaport (bełkocze): — Wszystko skończone. Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam.

Zataczając się wychodzi: szef żąda aby przyszedł Treppengeler. Treppengeler wchodzi.

Szef: — Patrick. Masz od jutra pisać dalej tę hecę.

Treppengeler: — Tak jest.

Wychodzi. Po godzinie wraca. Trupio blady. Pijany. Rzuca manuskrypt na stół i nie mówiąc ani słowa wychodzi. Sytuacja robi się poważna; z drukarni dzwonią. Szef woła Najlepszego. Najlepszy wchodzi.

Szef: — Ty... i tak dalej.

Najlepszy: — O.K.

Po godzinie wraca: pijany i trupio blady.

Szef: — Co jest?

Najlepszy: — Nic się nie da zrobić. Bohater wyskoczył z samolotu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów i jest bez spadochronu. Wokół niego lata eskadra odrzutowców i strzela do niego pociskami rakietowymi. Na dole czekają już na niego trzy rekiny z otwartymi paszczami. A teraz idę. Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam...

Najlepszy wychodzi; szef woła pierwszego i obiecuje mu podwyżkę. Następnego dnia ukazał się dalszy ciąg powieści odcinkowej, zaczynający się od słów: „Nadludzkim wysiłkiem woli, wydostawszy się z tych irytujących

opresji, „Mike Gilderstern powrócił do Nowego Jorku”.

Nie wspominałbym o tej ogólnie znanej anegdocie, gdyby nie mój wysiłek zmierzający do zrozumienia powieści Putramenta; pamiętajmy bowiem, że bomba tyka a maszyna pruje przestworza. Interesowałem się kiedyś bardzo katastrofami samolotowymi i mam nawet licencję pilota sportowego; interesowało mnie przemusowe lądowanie samolotu na wodzie; samolot pasażerski istotnie ma szanse lądowania na wodzie, gdyż zazwyczaj jest wyposażony w kamizelki ratunkowe; nie ma poza tym podwozia stałego i może uniknąć kapotażu, co jest prawie zawsze rzeczą nieuchronną kiedy na wodzie ląduje samolot o podwoziu stałym, nie przystosowany do lądowania na wodzie jak hydroplan. Inaczej dzieje się w „Arce Noego”: samolot leci dalej mimo, iż pilot wie, że bomba zegarowa musi wybuchnąć za ileś tam minut.

Wybuch; wszyscy giną. Zostaje tylko dwóch ludzi: rosyjski dziennikarz i amerykański dziennikarz. Rosjanin wciąga Amerykanina na skałę i coś do siebie bratersko bełkocą. Polaczyszka — klej. Spotkała go straszliwa kara; natomiast w galerii postaci Polaków w literaturze światowej przybyła nowa postać.

William Faulkner, pisarz nie ustępujący rangą Putramentowi, widział Polaków zupełnie inaczej. W jego powieści „Dzikie Palmy” bohater Harry przyjeżdża ze swą kobietą do kopalni w stanie Utah. Pracują tam Polacy nie znający zupełnie angielskiego. Polacy ci mają osobliwy sposób załatwiania porachunków osobistych; mianowicie jeśli ktoś im przestaje się podobać — wsadzają mu do kieszeni dynamit i dana osoba eksploduje. Polacy, na których patrzą Charlotte i Harry, mają oczy zaczerwienione z bezsenności i pracują *over-time*. Na pytanie Harry’ego skierowane do dyrektora kopalni, dlaczego ci ludzie pracują bez sensu skoro i tak kopalnia zbankrutowała, dyrektor odpowiada, że Polacy nie znają angielskiego i nie można im w żaden sposób wytłumaczyć, że kopalnię diabli wzięli. — To dziwni ludzie — dodaje

po chwili dyrektor kopalni. — Nie rozumiem nieuczciwości.

We wszystkich trzech opowieściach: w „Arce Noego”, w opowieści o amerykańskim redaktorze i w „Dzikich Palmach” występują te same elementy: niebezpieczeństwo, eksplozja, straszliwi Polacy. Byłoby rzeczą ciekawą dla badaczy literatury, aby opisać te przenikające się nawzajem elementy fabuły i myśli. Wypadnie to — z punktu widzenia fabuły — niedobrze dla Faulknera; „Dzikie Palmy” są opowieścią o miłości, której człowiek nie chce utracić: w konsekwencji jego los sprowadza się do wyboru pomiędzy nicością a smutkiem.

Nie nadużywając komentarza, zaufajmy Myślicielowi. Oto co nam mówi na temat wojny Koreańskiej: „Śmiertelnym wrogiem narodu polskiego, Trumanom i Adenauerm podziękujemy przynajmniej za szczerłość. Za tę szczerłość, której przyczyny nie trzeba szukać w poczuciu siły naszych wrogów, ani wyłącznie w głupocie i bałaganie amerykańskiej maszyny polityczno-propagandowej. Przyczyną, dla której imperialiści amerykańscy nie kryją przed nami swoich planów najazdu, zniszczenia i rozbioru Polski, jest przede wszystkim głęboka pogarda jaką żywią do wszystkiego co nie amerykańskie, a już zwłaszcza dla narodów Europy wschodniej, dla narodów słowiańskich. Jesteśmy dla nich jakąś niezróżnicowaną masą etniczną, niezdolną pojąć, niezdolną zareagować.

Histeria wojenna, która szaleje dziś w Ameryce, nie wypływa rzecz prosta, z poczucia siły. Na odwrót, właśnie klęski w Korei pchnęły pana Harry Trumana do nowej serii nierozważnych pogroźek. Albowiem właśnie w ciągu minionego półrocza świat mógł się przekonać, jak potężną siłą jest obóz pokoju. Klęski imperialistów w Korei i w Wietnamie, rozszerzający się ruch pokoju w krajach Europy zachodniej, w Ameryce Łacińskiej, na Bliskim Wschodzie, sprzeczności i tarcia wśród rządów Paktu Atlantyckiego — obok sukcesów gospodarczych i politycznych ZSSR, Chin Ludowych, państw ludowej de-

mokracji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej — wskazują aż nadto widocznie, że szala historii chyli się na naszą stronę”.

A jaką mamy na to rękojmię, iż jest rzeczywiście tak a nie inaczej? Nie potrzebujemy się tym w ogóle niepokoić. Myśliciel nam to wyjaśnia: „Ponad wojenne pogrożki, ponad histeryczne wykrzykiwania, wznosi się głos Stalina, głos Jego partii. Zapowiada on drogę do lepszej ludzkości. Na tej drodze jest miejsce naszego narodu”.

Przeczytawszy powyższe, pomyślmy przez chwilę o klęskach jakie ponieśli Amerykanie w Korei. Pułkownik Paweł Monat w swych pisanych dla „Life”u wspomnieniach podaje, że były dni w których *commies* tracili tysiące żołnierzy. Pułkownik Monat może tu niewątpliwie uchodzić za człowieka nieobiektywnego; pomówmy wobec tego o sukcesach gospodarczych powyżej wspomnianych. Niemcy Wschodni tak byli uradowani wzrostem stopy życiowej, że urządzili w roku 1953 demonstracje; i chyba tylko przez pomyłkę użyto przeciw nim tanków sowieckich. Rozradowani Węgrzy wyruszyli na ulice Budapesztu w roku 1956; ale i tu ich jakoś nie rozumiano. O sukcesach gospodarczych Polski Ludowej wypowiedział się Władysław Gomułka w swym referacie; sukcesy gospodarcze Związku Radzieckiego skończyły się zakupem kapitalistycznego zboża. Nie jestem publicystą czego nawet nie potrzebuję wyjaśniać. Chodzi mi o co innego; Putrament powinien dostać od Amerykanów najwyższe odznaczenia wojskowe i cywilne, ponieważ zdziałał dla nich więcej niż oni sami w Polsce.

W roku 1952 urządzono w Arsenale wystawę pod dramatycznym tytułem: „Oto Ameryka”. Nazbierano do cholery i trochę eksponatów; pistolety dla szpiegów, bomby napalmowe, comics’y zrobione z „Braci Karamazow” i trupy jakichś Murzynów. Skutki wystawy były straszliwe; godzinami czekało się w kolejce na wejście,

gdyż ludzie chcieli zobaczyć cokolwiek amerykańskiego; ludzie chcieli zebrać jakiekolwiek informacje o kraju czterdziestu ośmiu gwiazd; ludzie chcieli przez chwilę popatrzeć na rzeczy zrobione przez ludzi zza oceanu, którzy nigdy im nie pomogą. Jest to miłość nieszczęśliwa; miłość bez cienia wzajemności; i już chyba ostatnia.

Nasze interesy w Stanach Zjednoczonych reprezentuje pan przezwiskiem „Killer-Kowalski”. Jest to najbrutalniejszy zawodnik świata. Przegrywa zawsze przez dyskwalifikację; jako okrutny Polak obdarzony przez naturę zbrodniczymi skłonnościami, nie może opanować na ringu swych nikczemnych instynktów i zostaje przez sędziego odsyłany do rogu.

Będąc miłośnikiem tego rodzaju walk widziałem ostatnio w Paryżu walkę pomiędzy *Champion Soviétique* a *Champion Américain*. Rosjanin wyszedł na ring: złotowłosy *pareń* w złotej rubaszce, o twarzy syfilytyka-degenerata. Publiczność przyjęła go pełnym szczęścia i zachwytu wyciem; nikt nawet nie pomyślał o takiej drobnostce, że w ZSSR nie ma w ogóle sportu zawodowego a walki wolno amerykańskie są uznane za „zwierstwo”; tak, że *Champion soviétique* musiał być urodzony nie tyle wśród dońskich stepów, ile raczej w okolicach placu Pigalle, a może nawet w St. Denis. Potem wszedł na ring mistrz Ameryki: olbrzym tak straszliwy, że gdyby walki te nie były starannie wyreżyserowane, to mistrz ZSSR musiałby prosto z ringu pojechać na mały, zielony cmentarz. Publiczność wyje i wygraża Amerykaninowi; rzucają w niego skórkami pomarańczy, paczkami zapatek i wygrażają pięściami. Zaczyna się walka: nieszczęsny Amerykanin robi wszystko aby przegrać, ale coś tu zostało źle pomyślane i złotowłosy Słowianin — mimo sędziego, który kopał Amerykanina kiedy ten zapominając się zaczynał zwyciężać — nie dał rady fizycznie i gdzieś w połowie walki mimo pomocy ze strony Amerykanina, sędziego, arbitra i publiczności, wysiadł. Nie byłoby w ogóle o czym mówić, gdyby nie reakcja publicz-

ności; publiczność stanowią przeważnie robotnicy, drobni rzemieślnicy i kilku znudzonych lewych intelektualistów; wszyscy oni wyli: „Brudna świnio, idź walczyć do Wietnamu”.

I to jest tragedia Ameryki: topienie milionów dolarów w lokalne wojny, których znaczenia nie rozumie robotnik włoski czy francuski. Amerykanie muszą popierać ludzi takich jak Czombe czy Li Syn Man; Amerykanie musieli odbudować Niemcy Zachodnie; Amerykanie muszą popierać generała Franco; robotnik amerykański płaci za to wszystko ale oklaski zbiera nie Statua Wolności lecz złotowłosy kretyn, walczący przeciw przeciwnikowi trzy razy od niego silniejszemu; i wygrywa gdyż tak tego pragną ci wszyscy biedni ludzie którzy nie pozbyli się iluzji, że wolność przyjdzie stamtąd gdzie zginęli najlepsi.

Polacy wiedzą, że w razie konfliktu z Rosją Amerykanie nie dadzą ani jednego żołnierza; niemniej miłość trwa nadal. Przez wiele lat nie wyświetlano w Polsce filmów amerykańskich; wreszcie w roku 57 zakupiono film pod tytułem „Ostatnia Walka Apacha”. Apachem był złotowłosy i błękitnooki Burt Lancaster. Premiera filmu zbiegła się dziwną rzeczą kolejną z innym wydarzeniem: oto po dwudziestu latach puszczano w przestworza balon „Gwiazda Polski II.” Tysiące ludzi czekających przed kinem nie patrzyło nawet na balon, który wreszcie puszczono; wszyscy chcieli dostać się na Lancastera. Lancaster prowadzi w tym filmie ożywioną działalność; zarzytna, strzela, wysadza w powietrze wozy z prochem; dusi kajdanami prowadzącego go strażnika mówiąc przy tym: „A teraz wróć biały psie do swoich i powiedz im z kim zaczęli wojnę” i daje mu kopniaka w tyłek; ale to wszystko było niczym w porównaniu z tym co działo się przed kinem. Co chwila wybuchały awantury; co chwila interweniowała policja; wreszcie jacyś dwaj panowie wzięli się do noży, a żona jednego z nich poczęła szukać niejakiego Pana Zenka: jedyne go człowieka który by umiał opa-

nować sytuację. Wszyscy kotłowali się krzycząc: „Gdzie pan Zenek? Gdzie Pan Zenek? Wreszcie Pan Zenek nadbiegł; fachowym okiem ocenił sytuację, w locie zrzucił marynarkę i począł kłaść walczących baranem, czyli uderzeniem głowy w pierś. I nikt już nie patrzył na odlatującą samotnie „Gwiazdę Polski II”; Lancaster i Pan Zenek zniweczyli trud polskich konstruktorów.

Nie łatwo jest pisać o stosunku Polaków do Amerykanów i do wszystkiego co amerykańskie; głądzenie o Puławskim i Kościuszcze nie zda się tutaj na wiele; lepiej więc nie operować danymi statycznymi i nie starać się o porównanie tych dwóch kultur; nie na wiele zda się również porównywanie literatury polskiej i amerykańskiej; przynajmniej w moim wypadku z tej prostej przyczyny iż nie mam nawet zbliżonego pojęcia o literaturze ojczystej. Przypuszczam, iż zawdzięczam to nauczycielom polskiego, którzy dręczyli mnie zawsze klasycznym pytaniem: „Co poeta miał na myśli?”; wstrętu do czytania „Pana Tadeusza” nie mogę przemóc nawet i dziś. Nauczanie literatury w szkole powinno być karane kryminałem. Dziwię się, że *commies* nie wpadli na to; wiele arcydzieł socrealizmu jest obowiązkową lekturą w szkole; to w dużym stopniu przesądza dalsze zainteresowanie młodych ludzi tym właśnie typem literatury.

W czasie wojny koreańskiej rozeszła się pogłoska, że Polacy mają wysyłać na Koreę ochotników. Nie wiadomo kto puścił tę plotkę; być może powodem było to, iż zatrzymano wtedy o rok dłużej rocznik dwudziesty siódmy i część rocznika dwudziestego szóstego; rocznik ten w rezultacie nazywano „rocznikiem koreańskim”; być może iż była to rzeczywiście prawda i że spodziewając się wojny postanowiono nie zwalniać żołnierzy w myśl zaleceń Ziutka: im więcej potu na manewrach, tym mniej krwi w boju. Wielu ludzi, którzy do tego czasu wymigiwali się od służby wojskowej argumentując swą nieprzydatność anginą pectoris, obustronną przepukliną i głuchotą — poczęło zgłaszać się nagle na ochotnika: cel

tych machinacji był jasny: chodziło o to, aby z wysoko podniesionymi rękami przejść do generała Mac-Arthura. Oczywiście, że mało przy tym myślano, iż można stracić życie z ręki tych samych Amerykanów do których pragnęło się uciec; jednak były to lata najpotworniejsze i perspektywa utraty życia lub trwałego kalectwa nie odstręczała ewentualnych ochotników. Jednak plotka okazała się nieprawdziwa; natomiast ludzie z rocznika koreańskiego stracili szmat życia — tak się zdaje mówi w tego rodzaju wypadkach.

Urządzano wtedy masówki na których potępiano agresję amerykańską na Korei i wiwatowano na cześć Kir Im Sena, czy jak mu tam. Nazywano go: *wielikij syn i oswobodziciel koreańskowo naroda*. Jego przeciwnikiem był niejaki Li Syn Mam: *podłtyj pios*; kiedy indziej — *cepnaja sabaka amerykanskowo imperjalizma*. Ich zdjęcia oglądać było można każdego dnia w gazetach; ale sytuację komplikował fakt iż obaj ci panowie podobni byli do siebie jak dwie krople wódki; tak więc pamiętam jak nasz sekretarz partii w czasie protestacyjnej masówki podniósł do góry gazetę z fotografią Wielkiego Syna i Oswobodziciela Narodu Koreańskiego, krzycząc:

— A my do tego nie dopuścimy, żeby ta szmata zalała krwią równoleżnik trzydziesty ósmy.

Masówki protestacyjne urządzało się w sposób prosty, mianowicie po prostu zamykano bramę danego zakładu pracy lub kierownik personalny zabierał listę obecności ze sobą i można ją było dopiero podpisać po skończeniu uroczystości; jak wiemy każdy robotnik musiał podpisywać listę obecności dwa razy: po przyjsciu do pracy i w godzinie odejścia z pracy. Tak więc protestujących było dużo; podpisywało się listy protestacyjne przeciw amerykańskim agresorom; ale ten przeklęty list można było podpisać dopiero wtedy, kiedy mówcy skończyli już swoje oracje i wtedy można było nareszcie iść do domu. Kiedy generał Mac-Arthur zgłosił projekt użycia broni nuklearnej powstała pieśń którą znamy: „Truman, Tru-

man... i tak dalej”. Natomiast ludzie z Kresów i ze Lwowa mieli własną pieśń nadziei: zaczynała się ona od wezwania pod adresem Prezydenta Trumana; ostatnia zwrotka brzmiała następująco: „Jedna bomba wodorowa i wrócimy znów do Lwowa. Choć zastaniem same zgliszczają, jednak ziemia to ojczysta”.

Ale Truman nie puścił bani; nadzieje okazały się płonne. Nawet nadzieje na zgliszczają, z którymi godzono się, aby tylko wrócić na swoją ziemię. Polacy zresztą mieli pełne prawo przypuszczać, iż nie zastaną nic poza zgliszczającami w razie wojny. To bodajże Forrestal wygłosił przemówienie, z którego fragment pamiętam: „My zamienimy niebo i ziemię w ogniste piekło. Zrzucimy je atomowymi i wodorowymi bombami. Będziemy zabijać dzieci w kołyskach, starców przy modlitwie i robotników w polu. Tam gdzie dziś są miasta, zostaną tylko dymy i pożary wśród których błąkać się będą nasi ślepi wrogowie”. Tekst ten wielokrotnie przypominany Polakom przez radio i speakerów kroniki filmowej stał się, na zasadzie reakcji paradoksalnej, hymnem nadziei. Podobnie jak w szpitalach dla wariatów daje się ludziom cierpiącym na chroniczną bezsenność szklanekę piekielnie mocnej kawy przed snem, co czasami wywołuje reakcję, zwaną przez lekarzy paradoksalną. Ponieważ obietnice amerykańskiego męża stanu uznane zostały za tekst wrogi — oczywiście musiały spodobać się Polakom. Słyszałem wtedy zdania, że autor tekstu wychowany jest na biblii co widać po sposobie obrazowania; i przypuszczano, iż źródłem natchnienia było w tym wypadku objawienie Świętego Jana: „I zatrąbił piąty Anioł, i widziałem, że gwiazda spadła z nieba na ziemię, a dano jej klucz studni przepaści. 2. I otworzyła studnie przepaści; i wystąpił dym z owej studni, jakoby dym pieca wielkiego, i zaćmiło się słońce i powietrze od dymu studni owej...”. Natomiast zupełnie uszło uwagi ludzi porównujących tekst amerykańskiego męża stanu ze Świętym Janem, iż występuje tam również anioł prorokujący iż czasu już więcej nie

będzie; użycie wymarzonej bani załatwiłoby może zbyt wiele spraw jak na jeden raz.

Tak więc nie puszczono bani i nie wróciliśmy do Lwowa; jednak miłość Polaków do Amerykanów nie straciła nic na swej sile. Kiedy pracowałem jako kierowca, mieliśmy cztery zasadnicze typy samochodów: General Motor Corporation, Diamond, Studebaker i ZIS (Zawod Imienia Stalina). Arystokracja jeździła Diamondami; jednak ulubionym samochodem kierowców był GMC zwany przez nas „Dzemssem”. Dzems był wspaniałym samochodem; w lecie opuszczało się szybę, zwijało brezentowy dach i człowiek czuł się trochę tak jak Gary Cooper; trzeba przy tym dodać, że GMC wspaniale ryczał: był to górnozaworowy stukonny silnik i jeździło się tą maszyną w ten sposób, iż lewą nogę trzymało się w czasie jazdy wysuniętą nonszalanckim ruchem poza kabinę; to na zasadzie szczytu elegancji. Kiedy któryś z kierowców nawalał w pracy, spóźniał się lub nie wykonywał planu, sekretarz partii wzywał go do siebie mówiąc:

— Chcecie, żebym was zdjął z Dzemsza, nie? Wyłamięcie się z ramy, nie? Chcecie żebym was z Dzemsza przesadził na tego zasranego ZIS'a, tak? Chcecie jeździć na tym zasranym ZIS'ie żeby się z was koledzy śmieli, nie? To po to towarzysz Stalin zmienia przyrodę i buduje tamy na Wołdze, żebyście wy musieli jeździć takim pieprzonym wozem gdzie nie ma starteru i gdzie wyskakują biegi, nie? Poprawcie się...

I człowiek poprawiał się jak tylko umiał. Oczywiście szczytem elegancji był amerykański płaszcz wojskowy z podpinką: płaszcz taki kosztował w owych latach na ciuchach trzy i pół tysiąca złotych. Trzeba było zadowolić się amerykańską kurtką wojskową z pagonami; półtora koła. Kupiłem taką; na mojej lewej piersi wydrukowane miałem pięknie nazwisko poprzedniego właściciela: ANDERSON. Farba była tak piekielnie mocna, że nie dało się tego niczym zmyć; w obecności sekretarza partii i kie-

rownika rady zakładowej tarłem ANDERSONA benzyną i denaturatem; nic nie pomogło. W ten sposób stałem się najelegantszym człowiekiem na całą ulicę Sokółowską.

Pamiętamy wszyscy twarz generała Mac-Arthura: twarzą twarz starego sępa; w dodatku Mac-Arthur nosił okulary tak zwane „ciemki”. Karykaturzyści ze „Szpilek” rysowali go zawsze w ten sposób: zbrodnicza twarz ukryta za „ciemkami”, w jednej ręce bomba atomowa, drugą generał Douglas Mac-Arthur dusił koreańskiego patriotę. Wtedy to jacyś cwaniacy z prywatnej inicjatywy zaczęli produkować ciemki i kupowało się je chociaż kosztowały oczy z głowy. Po jakimś czasie okulary te przestano nazywać „ciemkami”; mówiło się po prostu „Mekarturki”. I jeśli sekretarz partii mówił: — Nie będziemy nosić tych mekarturek — to wtedy przedstawiało mu się zaświadczenie lekarskie, stwierdzające chroniczne zapalenie spojówek; po jakimś czasie wszyscy młodzi kierowcy zaczęli cierpieć na ową dolegliwość; producentów mekarturek nakryto i tak skończyła się sprawa.

Nie na długo; warszawscy chuligani bez trudu zorientowali się jakiego rodzaju moda męska obowiązuje w Ameryce, i już w parę tygodni później widzieliśmy młodych ludzi w szerokich samodziiałowych marynarkach; kolorowych, ręcznie malowanych krawatach; wąskich spodniach i butach na tak zwanej słoninie, czyli białej gumie. Jednak najważniejszym atrybutem rzeczonoego stylu była tak zwana plereza czyli specjalne uczesanie głowy polegające na tym, iż nad czołem piętrzy nam się fala włosów, które z tyłu głowy schodzą się razem na zasadzie kaczyczych skrzydeł. Według Wiecha plerezę dzielimy na trzy kategorie: plereza na cukier, plereza na białko i plereza na szklaną wodę; gdyż — jak powiada Wiech — na ludzki rozum włosy takie nie mają prawa trzymać się kupy. Natomiast dzięki użyciu cukru plereza trzyma się przez dobę; dzięki białku przez trzy dni; plereza utrwalona dzięki szklanej wodzie jest najtrwalsza i trzyma się

przez tydzień. I dalej, kontynuuje Wiech, element ujemny plerezy stanowi fakt, że w chwili bójki towarzyskiej wystarczy tylko rozpuścić plerezę przeciwnikowi i ten natychmiast „nie zdaje sobie sprawozdania”. Jeden z bohaterów Wiecha stojąc przed sądem tłumaczy się dlaczego pobił ciężko sześć osób i zamienił dostatnio urządzone mieszkanie w dymiące rumowisko. Młody człowiek powiada tak: „Usłyszałem tylko jak ktoś krzyknął: Bigosińczak, rozpuść mu plerezę. Jak mnie rozpuścił, to z miejsca widzę, że nic nie widzę”. Ludzi noszących plerezy i kolorowe krawaty nazywano bikiniarzami; to miało stanowić nazwę pogardliwą; jednak młodzi ludzie nie obrażali się.

Pisząc o stosunku Polaków do Amerykanów mógłbym bez trudu znaleźć cytaty naszych krytyków marksistowskich mówiących o nędznej i rozkładowej literaturze amerykańskiej; i skonfrontować je z tym co pisali w parę lat później kiedy zapoznali się już z tą literaturą. Odkryto wtedy że Faulkner nie jest zboczeńcem i sadystą, a wielkim chrześcijaninem i komentatorem Biblii; Hemingway przestał być podżegaczem wojennym a stał się ostatnim wielkim romantykiem; Steinbeck skończył z pornografią a stał się wielkim pisarzem obyczajowym; i tak dalej. Ale nie ma sensu; wołę pisać o tych wszystkich młodych robotnikach, którzy prawdopodobnie nie czytają nigdy sagi rodziny Sartorisów i którzy wiedzą, iż nie generał Rommel i nie marszałek Żukow byli najlepszymi dowódcami drugiej wojny ale prawdopodobnie oficer prowadzący wojnę na Pacyfiku; ale wszystko co o nim wiedzieli, to tylko to iż jest amerykańskim generałem i że walczy przeciw komunistom. Ich gest braterstwa jest żenujący w swojej śmieszności; ciemne okulary, brzydkie uczesanie, ohydne krawaty; ale pochodziło to z wiary, że ludzie gwiazdzystego sztandaru tak się ubierają, a więc i my ubierajmy się tak samo, nawet jeśli nam strzygą łeb przemocą na komisariacie i wywieszają nasze nazwisko na tablicy wśród nazwisk bumelantów i chuliganów.

Trzymajmy się wobec tego starych amerykańskich samochodów, które wiozły Amerykanów do zwycięstwa; ubierajmy się w stare amerykańskie ubrania; oglądajmy comics'y nie rozumiejąc ich treści; nasz gest braterstwa w stosunku do Amerykanów jest śmieszny i żałosny; i nie zostanie przez samych Amerykanów nigdy ani dostrzeżony, ani zrozumiany; jest to jednak jedyny gest na który nas stać. Nikt z tych młodych ludzi nie pojedzie nigdy do Ameryki; nikt z nich nie otrzyma stypendium z fundacji Forda; i nikt nigdy nie będzie pisał o kulturze amerykańskiej iż jest plebejska. Na to mogą liczyć tylko publicyści „Nowych Dróg” i „Trybuny Ludu”; ale dla tych wszystkich młodych nieboraków Ameryka nie jest nawet tym czym był Izrael dla ludzi prowadzonych przez Mojżesza; nie jest ziemią obiecaną. Ale być może dzieje się i tak, że z braku obietnicy kryje się największa nadzieja. *Commies* obiecali przecież wszystko: chleb, pracę, wolność, braterstwo; ale kto obiecuje wszystko, ten nie obiecuje naprawdę niczego.

Opowiadano mi, że w czasie blokady Kuby usiłowano zorganizować demonstracje przed Ambasadą Amerykańską; charakteru demonstracji nie trzeba tu wyjaśniać. Gliniarze ubrali się w hełmy i wzięli ze sobą bomby łożące i banany, znaleźli się jednak *out of job*. Owszem, przyszło kilku korespondentów zagranicznych aby sfotografować smutnych gliniarzy i rozradowanych ludzi. W pobliskiej knajpie tajniacy prowadzili rozpaczliwe pertraktacje z chuliganami błagając ich, aby wybili przynajmniej parę szyb i zaczęli ryczeć złowrogie teksty pod adresem Ameryki, obiecując im za to bezkarność kiedy będą potrącać ślepe staruszki i wyrzucać inwalidów z pociągu; jednak warszawscy chuligani byli twardzi i odrzucali wszystkie tak nęcące w normalnych warunkach propozycje. Anegdota ta oczywiście nie może być prawdziwa: nie jest przecież trudno ubrać gliniarzy ze szkoły policyjnej w ubrania cywilne i kazać im udawać oburzonych Polaków. Ale anegdoty rodzą się na wskutek istniejących

warunków i sympatii; tak więc, choć nie jest to prawdą, jest prawdziwym zmyśleniem.

Niewiele wtedy wiedziałem o literaturze amerykańskiej; Faulknera opowiadał mi własnymi słowami Piotr Guzy; Hemingway'a Edward Bernstein; o innych książkach dowiadywałem się w jedyny możliwy dla mnie sposób: upijając swych interlokutorów i płacąc za nich rachunek w knajpie. Wiele mnie to kosztowało; niektórzy z nich upijali się szybko i mieszały różnych autorów i różne sytuacje. Po wojnie wydano w Polsce tylko jedną książkę Hemingway'a „Mieć albo nie mieć” i „Drogę tytoniową” Caldwell. Pierwszy przełamał mur milczenia Marian Eile, drukując w „Przekroju” dwa opowiadania Hemingway'a w tłumaczeniu Miry Michałowskiej. A później drukowano go już bez przerwy i, jak słusznie zauważył Zygmunt Kałużyński, „Tryumf Hemingway'a zjednoczył naród polski”. Wtedy wszyscy młodzi startujący prozaicy zaczęli pisać jak Papa Hemingway; mnie nazywano Hemingwayem z Kuluszek. To, iż zacząłem pisać jeszcze wtedy kiedy Hemingway uznany był w Polsce za deprawatora i chwałcę bomby atomowej i że czytać go nie mogłem, ponieważ nie znałem wtedy angielskiego, a przestałem pisać właśnie wtedy kiedy Hemingway'a zaczęto drukować — uszło oczywiście uwadze naszych krytyków. O nich mówi Papa Hemingway mniej więcej tak: „Kiedy człowiekowi trzeba pomocy otrzymuje od nich zółć. Jestem pewien, że większość z nich pragnęłaby aby wcale nie było książek i aby mogli pisać tylko o sobie i o swoich poglądach. Ale być może Bóg lub Natura rzucą na nich pewnego dnia jakąś straszną chorobę przeciw której nie będzie ratunku, a której oni tylko ulegną; i wtedy będzie nareszcie koniec z nimi”. Cytat jest niedokładny; przeczytałem to zdanie przed wielu laty i nie pamiętam już w jakim piśmie i w jakim języku. Jednak myśl autora „Śniegów Kilimandżaro” jest chyba oddana wiernie. Przekleństwo rzucone przez starego amerykańskiego cwanika nie powinno dotyczyć jednak krytyków marksistów-

skich; skala ocen, którymi oni dysponują, jest nieograniczona. „Komu bije dzwon” uważano za paszkwil na wojnę cywilną; po roku pięćdziesiątym szóstym uznano za wspaniałe dzieło romantyzmu, Roberta Jordana za wspaniałego żołnierza i w ogóle wszystko poszło jak trzeba; przy czym najslabsza książka Hemingway’ a uznana została oczywiście za najlepszą. Po prostu przyjeżdża chłopak żeby wysadzać mosty, zabijać innych ludzi i zginąć jak mężczyzna. Wpieprza się bez długich namysłów w największe nieszczęście, jakie może spotkać naród: w wojnę cywilną. Nie jest przy tym ani komunistą, ani faszystą; chce zginąć jak mężczyzna. A jeśli ja nie chcę zginąć jak mężczyzna, to co? A jeśli ja chce umrzeć jako właściciel parceli na Grochowie otoczony tłumem dzieci i wnuków, to co? A może ja nie chcę latać z karabinem po polu i stać z gołą głową przed plutonem egzekucyjnym, to co? Niemniej tę właśnie książkę Hemingway’ a uznano za najlepszą; i w ten sposób załatwiono starego Papę. Ale nie można było przecież spodziewać się czego innego: Hemingway jest ostatnim romantykiem; Faulkner komentatorem Biblii i czymś w rodzaju współczesnego Dostojewskiego; a nie jest wykluczone, iż pewnego dnia dowiemy się iż Henry Miller jest po prostu uczniem Łysienki; Orson Welles uczniem Mikołaja Czerkasowa; a James Dean czerpał swą wściekłość i wstyd gdyż przyświecał mu czyn Pawki Morozowa.

W tym czasie Polacy rozpoczęli flirt z Ameryką. Pierwszy pojechał Putrament przywoząc stamtąd owoc swych myśli zatytułowany „Dwa łyki Ameryki”. Oto jego refleksje; Putrament patrzy na maszyny do gry hazardowej.

„Gapię się na te przybytki i skłonny jestem je podziwiać. Choć powstały z niskiej chęci jakiegoś spryciarza zarobienia paru dolarów na znudzonych, zabłąkanych prostakach — to przecież żerują one na pewnej istniejącej obiektywnie potrzebie ludzkiej i po swojemu, choćby niewybrednie, tę potrzebę zaspakajają.

A u nas — przy całym naszym gdakaniu na temat potrzeby wyrastania kulturalnego mas — ile możliwości rozrywki zostaje przed zwyczajnym, przeciętnym robotnikiem czy pracownikiem, gdy wychodzi wieczorem na miasto? Kina? Teatry? A jakże! Nie mówiąc już o programach — ileż one dają szans na dostanie się do środka, jeśli przyjdzie chętka nagle, jeśli nie zostanie zawnazaplanowana i uzgodniona z biurami sprzedaży biletów?”

W ostatecznej konkluzji Putrament dochodzi do wniosku, że jedyną dostępną rozrywką staje się konsumpcja alkoholu. Jest to wniosek słuszny: ale przecież polscy robotnicy mogą czytać książki o Pawce Korczaginie, lub książki samego Putramenta — choćby „Rozstaje”, rzecz o szpiegach amerykańskich i agenturze Gomułki. Przecież to zaledwie dwa lata temu Putrament zalecał w swej książce „Na literackim froncie” uczenie się od radzieckich mistrzów socrealizmu; chodzenie do kina i do teatru; ostrzegając ich jednocześnie przed rozkładowymi pisarzami amerykańskimi, jak wspomniany już powyżej Williams i jego sztuka „Tramwaj zwany pożądaniem” którą Putrament określił jako psychoanaliczną a która ma tyle wspólnego z psychoanalizą, co ja z kontem bankowym.

Idąc poprzez Wall-Street Putrament dziwi się, iż jest to ulica wąska i krótka, podobna do ulicy Chmielnej w Warszawie; Putrament zauważa, że skromność i nijakość tej ulicy będącej „sercem Ameryki” godne są naśladowania.

Widok i pobyt w gmachu ONZ nasuwają Putramentowi, w związku z panującą tam nudą, następującą refleksję: „Trzeba tak znakomitego polemisty jak nieboszczyk Wyszyński, aby w tych warunkach ryzykować dowcipy i polemiczne zjadliwości. Ten zresztą miał w dodatku zwiększony posłuch widowni dzięki roli, jaką na świecie odgrywa jego ojczyzna”. I istotnie; ONZ, organizacja mająca na celu pokój i szczęście ludzi całego świata, jest wymarzonym wprost miejscem dla nieboszczyka

Andreja Wyszyńskiego — prokuratora moskiewskich procesów; żądającego wyroku śmierci na podstawie zeznań bądź to sfałszowanych, bądź wydobytych drogą cierpień i tortur, o których prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy prawdy, a jeśli nawet dowiemy się, wyda nam się ona niemożliwa do uwierzenia. Oto jedyna refleksja jaką nasuwa się Putramentowi stojącemu przed gmachem organizacji mającej być nadzieją nieszczęśliwych.

Książka Putramenta stanowi pewnego rodzaju *curiosum*, ale nie mam już siły by dalej przepisywać cytaty. Najciekawszy jej rozdział poświęcony jest Czesławowi Miłoszowi. Putrament nauczył się od Wyszyńskiego jak trzeba budować donos; jest to klasyczna szkoła mówców której ojcem uznano Cicerona. Putrament zaczyna wysoko i szlachetnie: kiedy poznał Miłosza był olśniony poetyckim jego talentem i do rozpaczy doprowadzały go jego własne wiersze. Miłosz był dlań gwiazdą; jeszcze chwila a zdawało mi się iż usłyszę słowa Piotra Wierchowieńskiego skierowane do Mikołaja Stawrogina: „Tyś Bóg, tyś słońce, a ja — robak u Twoich stóp”.

Putrament czuł się niczym wobec Miłosza; uwielbiał go, ale Miłosz nie poświęcał mu zbyt wiele uwagi. Miłosz był nonszalancki, zarozumiały, pyszny; wreszcie doszło do rękoczynów. I w tym momencie głos rwie się Putramentowi; według wzorów klasycznych powinien właśnie teraz przejść do argumentów odwołujących się do powszechnego poczucia sprawiedliwości; zamiast tego przechodzi na paszkwil.

Przyznaje się, iż był przeciwny wyjazdowi Miłosza na Zachód: lecz tylko w obawie, iż Miłosz zmarnuje swój wielki talent poetycki, który Putrament tak bardzo ceni. Dlaczego jednak wyjazd na Zachód połączony jest z roztrwonieniem talentu o tym nie dowiemy się; dlaczego jeden pisarz ma prawo decydować o losie drugiego drogą administracyjną — tego nie dowiemy się także; dlaczego w ogóle powstają takie problemy, że człowiek musi błagać, aby go wypuszczono za granicę państwa, co jest

rzeczą najbardziej naturalną nawet w krajach Ameryki Łacińskiej; również i na to nie otrzymamy odpowiedzi. Miłosz uciekł.

Putrament wyjaśnia nam dlaczego: odwołany z placówki dyplomatycznej Miłosz nie chciał pogodzić się z tym, że przestano mu płacić w dewizach, a płacono w gotówce polskiej. Ale przecież Putrament wyjaśniał nam w swych szkicach „Na literackim froncie” że sukcesy gospodarcze państw Demokracji Ludowej gwarantują nam wysoki i wciąż postępujący wzrost stopy życiowej w Polsce, jak również nieuchronny spadek dolara i pauperyzację Zachodu. Skąd więc tego rodzaju postawienie sprawy: przecież złoty polski jest O.K. Jeśli więc Miłosz chciał być lepiej płacony powinien zostać według tej książki „Na literackim froncie” w Polsce; natomiast przyjmując tę samą tezę iż oportunizm materialny jest kluczem do charakteru Czesława Miłosza — według książki „Dwa łyki Ameryki” wyjechał właśnie na Zachód ponieważ to nie 1 zł jest O.K. tylko 1 dolar jest O.K. A może to nie chodzi o to co jest O.K. tu czy tam; tylko po prostu o to, że Putrament jest do de i tu i tam; i zawsze?

Ale, prorokuje Putrament, nic nie wyjdzie z kariery Miłosza na Zachodzie. Dlaczego? Wybrał zły rok. Putrament: „Rok 1948 też niezły. Tu można powołać się na rozgromienie Gomułki co dopiero otworzyło dezertero- wi oczy”. Putrament ma tu na myśli, iż Miłosz mógłby powołać się na rozgromienie Gomułki; i że to właśnie iż Gomułka poszedł siedzieć mogłoby stać się odskocznią w życiu i karierze Czesława Miłosza. Być może, że Miłosz wybrał zły rok, ale jeszcze gorzej wybrał Putrament moment, w którym opisuje rozgromienie Gomułki: książkę „Dwa łyki Ameryki” podpisano do druku 14. IV. 56 — druk ukończono tego miesiąca; w parę miesięcy później rozgromiony Gomułka miał okazję potrząsnąć dłonią swego towarzysza i członka Komitetu Centralnego — Jerzego Putramenta.

Wreszcie Putrament dochodzi do ostatecznych wniosków na temat Miłosza: Miłosz uciekł ponieważ obawiał się wojny, która — według Putramenta — była tuż, tuż (używając jego stylu) w latach 1950-1951. Putrament: „W tym czasie zostać w Polsce? Doczekać się tu przeraźliwych grzybów atomowych? Jeszcze raz przejść deptanie płaskiego i ubogiego kraju przez najpotworniejszą z wojen?” Ale o jakiej to wojnie i o jakim niebezpieczeństwie jest tu mowa? Przecież nic nam się stać nie mogło („Na literackim froncie”); przecież głos Stalina grzmiały jak dzwon zapewniał nas, że wojny nie będzie; sam Putrament opisując klęski Amerykanów na Korei zapewniał nas o ich bezsile i o ich niemocy. Więc co jest do cholery z tym Miłoszem?

Teraz następuje seria ciosów poniżej pasa: Miłosz używał w czasie wojny paszportu litewskiego, który zapewniał mu absolutne bezpieczeństwo osobiste. W owym czasie każdy miał mniej lub bardziej lipne dowody: jaka jest różnica między Kennkartą a paszportem litewskim to nie zostaje wyjaśnione. I czy człowiek o ogromnym talencie literackim — według słów samego Putramenta — nie miał prawa uczynienia wszystkiego, aby stać się kronikarzem czasów moru. Załóżmy, iż nie miał; no to po co go było zatrzymywać w Polsce na siłę, motywując to chęcią ratunku olbrzymiego talentu. Jeśli chciano go ratować po wojnie przez odebranie mu paszportu, czemuż nie wolno mu było ratować się podczas wojny przy pomocy paszportu. Niewiele się nauczył Putrament od Wyszynskiego. Jako były agent policji nie wierzę, aby Putrament był agentem NKWD o czym wspomina z humorem i właściwą sobie wezwą: to jest źle napisany donos.

I jeszcze jeden cios poniżej pasa: Putrament pisze, że po wybraniu wolności Amerykanie odmówili Miłoszu wizy wjazdowej. Nie trudno zgadnąć jak to się stało i Putrament powinien o tym wiedzieć najlepiej; ale ja to wyjaśnię na podstawie własnego doświadczenia. Kiedy wsadza się szpicla na jakąś robotę, puszcza się w ślad

za nim dezinformację: iż jest reakcjonistą, iż jest nieprzychylny w stosunku do reżymu; że marzy o powrocie kapitalizmu i tak dalej. W ten sposób zapewnia mu się dobre i bezpieczne działanie; ludzie biorą go za swego i mówią mu wszystko co myślą; a on już wie co z tym robić dalej. Jeśli na Zachód ucieka człowiek rangi Miłosza, puszcza się w ślad za nim dezinformację przeciwną: że działał jako agent bezpieczeństwa; że jest anty-amerykański; że za pieniądze i dobre życie składał donosy na kolegów i tak dalej. W tym celu robi się sfałszowane fotokopie dokumentów; ustne zeznania świadków i tego rodzaju historyjki. Sprawdzenie tego rodzaju dezinformacji trwa lata; ale niezawsze da się to naprawdę zbadać. Putrament rozczarował mnie jako donosiciel; nigdy nie czytałem jego prozy, ale myślałem, że właśnie donos jest dla niego tym samym co i dla mnie: gatunkiem który mu najbardziej leży.

Pisałem dużo o Putramencie i Miłoszu co pozornie nie ma wiele wspólnego z tytułem „I, Goofy the dog”. Ale wiem o co mi chodziło: jeśli Putrament kiedykolwiek zdecyduje się na pozostanie na Zachodzie — nie będzie miał tych trudności, jakie miał Miłosz i jakie miałem ja. Niewiele umie jako donosiciel; niemniej nie będzie mieć trudności finansowych przez parę dobrych lat. Ale potem będzie musiał umrzeć z głodu a stanie się to tego dnia, w którym będzie usiłował napisać jedną stronę prozy. Mam mu zresztą do zawdzięczenia i to dużo: siedząc w Berlińskim Klubie Dziennikarzy przeczytałem w „Izwiestiach” paszkwil na samego siebie; o tym, że jestem deprawatorem; o tym, że jestem szkodnikiem społecznym; i o tym, że nie powinno się ludzi takich jak ja — i w tym sensie. „Izwestia” są, jak wiadomo, gazetą rosyjską: ale autorem donosu był polski pisarz Jerzy Putrament. Działo się to w lipcu tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku; odłożywszy gazetę, po raz pierwszy pomyślałem, iż stanie się być może i tak, że nigdy nie wrócę już do Polski. I tak się właśnie stało.

I, Goofy the dog poszedłem do konsulatu amerykańskiego w Palermo kiedy zaczęli się kotłować w Wietnamie i poprosiłem o prawo wstąpienia do armii amerykańskiej i wysłanie mnie na wojnę. Wyjaśniono mi, że mogę pojechać tylko w jednym wypadku: jeśli dostanę wizę emigracyjną i wstąpię do armii amerykańskiej na terenie U.S.A. Prezydent Kennedy powiedział przecież w swym przemówieniu inauguracyjnym: Nie pytaj co Stany Zjednoczone Ameryki Północnej mogą uczynić dla ciebie. Spytaj samego siebie, co ty sam wraz z Ameryką możesz uczynić dla wszystkich ludzi świata.

I, Goofy the dog nie mogę uczynić niczego. Ale dla Ameryki może wiele uczynić Putrament i ludzie tacy jak on. Kiedy po wybraniu wolności dziennikarze amerykańscy pytali mnie, co moim zdaniem, Amerykanie mogliby uczynić aby zademonstrować w jakiś sposób Polakom swoje sympatie — nie umiałem odpowiedzieć. Wiem to dzisiaj: powinni dawać stypendia i wszelkie możliwe formy ludziom takim jak nasz Myśliciel. Niech jeżdżą tam i niech plużą na ten wielki i piękny kraj; a każde ich kłamstwo będzie rozumiane przeciwnie przez tych wszystkich, którzy będą ich czytać w Polsce. Niech piszą o waszej wspaniałej literaturze że jest śmieciem; niech piszą o waszych wspaniałych żołnierzach, że są zbrodniarzami; niech piszą o generale Pattonie, że był tchórzem a o waszych fabrykach dających waszym ludziom chleb, iż są piekłem pozbawiającym człowieka godności i inteligencji. Ale niech tylko to piszą; ja chciałem dać tylko swoją krew, ale i ta nie była dość dobra dla gwiazdzystego sztandaru. Ale nie pytajcie nas na Boga, co możemy uczynić. Nie mogę uczynić nic.

FELIKS DZIERŻYŃSKI I BOGEY

*Młdzieńcze co wahasz się jak żyć,
nie namyślając się wzór ci podam bliski
Pamiętaj i nie zapomnij o tym,
Żyj, jak żył towarzysz Dzierżyński.*

Włodzimierz Majakowski.

Oczywiście, że najlepiej byłoby żyć tak, jak żył Feliks Dzierżyński. W ogóle trzeba nie zapominać ani na chwilę, że nigdzie nie żyje się tak dobrze jak na koszt klasy robotniczej; niezawsze jest to jednak możliwe. Tę smutną prawdę człowiek rozumie dopiero wtedy, kiedy poprosiło się już o azyl polityczny i kiedy jedyny nasz majątek osobisty stanowi ceratowa teczka, w której naród amerykański umieścił swój dar dla uchodźców spoza żelaznej kurtyny: szczotkę do zębów, ręcznik i mydło. Można to sprzedać za pięćdziesiąt fenigów; ale trzeba mieć szczęście, aby znaleźć idiotę, który chciałby kupić.

Co jednak robić, jeśli chce się dalej pisać? Sprawa jest łatwa o ile jest się byłym komunistą, członkiem Komitetu Centralnego lub wysokim funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa; szpiegiem lub dyplomatą. Człowiek spoza żelaznej kurtyny, który szpiegował na rzecz Kremła, wrywał swoim braciom paznokcie, lub wprowadzał im kulę w tył głowy, zawsze znajdzie życzliwych opie-

kunków, ponieważ stanowi atut propagandowy i może stać się argumentem w walce przeciw komunizmowi; człowiek uczciwy, który nie był nigdy komunistą lub szpiegiem, jest tylko niepotrzebnym ciężarem dla ludzi Zachodu; wszyscy przecież wiedzą, że narody Europy Wschodniej nienawidzą *commies* i że takiego człowieka nie można wyzyskać propagandowo. Mówienie, że wieczorem jest ciemno a rankiem jasno, nie może być rewelacją dla ludzi Zachodu. Takiego człowieka czekają lata poniewierki, upokorzeń, wyczekiwania na wizę; lata pustki i rozpacz.

Nie jest też dobrze udawać rozczarowanego komunistę-pisarza. Był to dobry numer do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego, potem jednak Chruszczow załatwił wszystko odgórnie i dzisiaj czerwony intelektualista nie może już rozdzierać szat i skamleć, że nie wiedział o tym iż miliony ludzi zdręczono w obozach koncentracyjnych i więzieniach; nie może dziwić się publicznie, iż nie widział wciąż postępującej naprzód pauperyzacji swego kraju i narastającej rozpacz swoich braci i bliźnich, o których chciał pisać prawdę. Krótko mówiąc: nie może twierdzić, że nie widział i nie słyszał tego co widział i co słyszał każdy człowiek na ulicy, każdy robotnik i każdy przechodzień. Oczywiście, że od czerwonych myślicieli nie można wymagać zbyt wiele; ale teraz odpadło nawet i to. Natomiast szpiegdy i wysocy dygnitarze będą mile witani i nic im się nie stanie. Oczywiście do czasu. Książka Krywickiego „I was Stalin's agent” kończy się słowami: „Udało mi się jeszcze raz”. Autor ma tu na myśli zamach na własną osobę w którym uszedł cało; pół roku później znaleziono go martwego w hotelu, w Waszyngtonie. Z *commies* udaje się mało rzeczy; ale ta jedna udaje się zawsze.

Cóż jednak ma robić człowiek piszący, który nie był nigdy członkiem partii; który nie pisał hymnów na cześć policji politycznej i którego nie chciano drukować we własnym kraju zarzucając mu kontr-rewolucjonizm. Nie-

bardzo wiadomo. Spróbujmy się zastanowić co robić w chwilach głodu, kiedy żaden wydawca nie da nam zaliczki a wierzycciele czyhają na rogu ulicy, dzierząc w rękach bykowce.

1. Obłąd

Udawanie obłądki nie jest rzeczą prostą, ale można się tego nauczyć, jeśli tylko ma się dość odwagi i charakteru. Najłatwiej jest symulować manię prześladowczą; wymaga to jednak czasu. Kiedy widzimy, że zostało nam tylko pieniędzy na dwa miesiące życia — zaczynamy. Zgłaszamy się pewnego dnia do komisariatu policji z prośbą o wydanie nam pozwolenia na broń. Na pytanie urzędników w jakim celu potrzebny nam jest piętnastostrzałowy pistolet marki FN, odpowiadamy, że od tygodni jesteśmy śledzeni przez jakiegoś osobnika w skórzanym płaszczu, czarnych okularach i z laską w ręku; sugerujemy przy tym, że w lasce umieszczona jest szpada (*GILDA starring by Rita Hayworth and Glenn Ford*). Oczywiście, urzędnicy policji wyrzucają nas na zbity pysk. W parę dni później zgłaszamy się znów; znów opowiadamy to samo, z tą różnicą, że tym razem jesteśmy śledzeni przez zupełnie innego osobnika, który trzyma w ręku teczkę; sugerujemy, że w teczce rzeczony osobnik ma bombę zegarową którą chce włożyć do bagażnika naszego samochodu. („*A Touch of Evil*” directed by *Orson Welles*). Na pytanie urzędnika czy jesteśmy w posiadaniu samochodu, odpowiadamy iż nie; ale czasami bierzemy taksówkę i wtedy rzeczony osobnik może tam umieścić swoją bombę. Znów dostajemy kopa w tyłek; ale na komisariacie policji wiedzą już, że byliśmy dwa razy; może nawet trzy lub cztery, ale nie więcej.

Nie wolno nam z początku w żadnym wypadku iść do lekarza; jest się przecież wariatem, który nic nie wie

o nękającej go chorobie i który wierzy, iż jest prześladowany na tle politycznym. Na wszelkie rady przyjaciół sugerujących nam udanie się do psychiatry, odpowiadamy odmownie, lub nawet lekkimi atakami furii. W końcu zrywamy kontakt ze światem zewnętrznym; kupujemy proszki nasenne i idziemy do hotelu. Dzwonimy do naszego najlepszego przyjaciela w innym mieście i mówimy mu, że mamy dla niego stuprocentową możliwość dużego i pewnego zarobku; musi jednak zadzwonić jutro rano o godzinie dwunastej. Przyjaciel przyrzeka nam, że zadzwoni; pożeramy proszki nasenne, piszemy list pożegnalny do rodziny i wyjaśniamy iż na skutek prześladowań i braku pomocy decydujemy się na popełnienie samobójstwa; udzielamy błogosławieństwa dzieciom i młodszemu rodzeństwu; śpimy.

Następnego dnia przyjaciel nasz dzwoni, ale w hotelu nie mogą nas dobudzić. Po jakimś czasie zaniepokojony portier puka do naszych drzwi po czym wyłamuje je przemocą, a my budzimy się w szpitalu dla wariatów otoczeni gromadą psychiatrów i idiotów.

To jest jeden sposób. Najlepiej odbierać sobie życie w Monachium, gdyż transportują nas do szpitala w Haar gdzie nie jesteśmy sami; jest to szpital dla czterech tysięcy dwustu pacjentów. Według ustawodawstwa niemieckiego, każdy niedoszły samobójca musi pozostać w szpitalu pod kontrolą lekarską przez trzy miesiące. Trzy miesiące to nie jest dużo; ale możemy się odezwać i wymyśleć jakąś nową historyjkę, którą potem opiszemy i zarobimy w ten sposób parę groszy. Niezliczone ilości Juliuszów Cezarów, Chrystusów i synów z nieprawego łoża księcia Windsoru umilą nam czas. Kiedy byłem tam po raz ostatni mieszkałem w jednym pokoju z Cesarzem Abisynii; w następnym pokoju mieszkał ksiądz, którego naziści torturowali tak straszliwie, że stracił zmysły i kiedy go wreszcie po zakończeniu wojny wypuszczono z więzienia, nie był w stanie zrozumieć iż wojna skończyła się i że jest wolny: w dalszym ciągu oczekiwał wykonania

egzekucji. Ponieważ przypominałem mu z wyglądu znajomego SS-mana, pytał mnie każdego ranka:

— Czy będę już dzisiaj rozstrzelany?

Na co ja odpowiadałem uspakajająco:

— Nie ma się co śpieszyć, proszę księdza. Mamy do cholery i trochę roboty.

Innym moim sąsiadem był niejaki pan R. Pan R. siedział przez trzy lata w Oświęcimiu i symulował manię prześladowczą; ale wpadł na głupi pomysł twierdząc, że widma nie dają mu spać. Zawarliśmy przyjaźń i ja — tak zwany „wolny wariat” czyli wariat z prawem spacerów poza szpitalem — brałem samochód i jechałem do Monachium gdzie kupowałem mu psychedrynę i benzodrynę, aby trzymać go bez snu; chodziło o to, że Pan R. chciał wydostać od rządu niemieckiego odszkodowanie i odesłano go do szpitala psychiatrycznego, aby wypowiedzieli się na temat jego choroby lekarze. Potem Pan R. dostał pozwolenie na odbywanie spacerów pod moją opieką; brałem go do samochodu i wyjeżdżałem w las zostawiając go w wozie. Pan R. zasypiał natychmiast — ja szedłem do gospody na piwo. W gospodzie tej spotykali się wszyscy alkoholicy wyleczeni przez niemieckich psychiatrów. Aby, będąc alkoholikiem, otrzymać prawo spaceru poza szpitalem, trzeba wpierw połknąć pastylkę antabusu lub antikolu w obecności lekarza. Ale to nic; połykamy pastylkę, lekarz zagląda nam w dziób i możemy śmiało iść do gospody. Zamawiamy piwo i pijemy tylko mały łyk; po dwudziestu minutach przychodzi pierwsza reakcja; trochę nam szumi w głowie i stajemy się purpurowi jak maki pod Monte Cassino. Trzeba tę pierwszą reakcję przeczekać; następnie pijemy znów mały łyk piwa a druga reakcja jest już o wiele słabsza. A po godzinie pijemy już za trzech śpiewając z innymi wyleczonymi alkoholikami bawarskie piosenki, które może nie są najbardziej, ale do których można się przyzwyczać. Tak więc spędzałem dwie godziny w gospodzie a następnie

jechałem po pana R. i ładowałem w niego jedną psychodrynę, aby mógł znów wyć nocami.

Przy symulowaniu manii prześladowczej nie trzeba zapominać o tym, że bardzo może nam pomóc odmawianie pokarmów: chodzi o to, iż obawiamy się otrucia. Nie zwracajmy uwagi na łagodne perswazje lekarzy i na to, że pielęgniarz będzie próbował każdą łyżkę strawy, zanim nam włoży ją do dzioba. My musimy wyć, szarpać się i pluć; po paru dniach złączą nam dawać infuzję czyli duże ilości witamin dożylnie; musimy się tak szarpać, aby lekarze zmuszeni byli przywiązać nas pasami do łóża. Kiedy będziemy już czuć igłę w żyłę — wyjąc nie spuszcza my ani na chwilę oka z butelki w której zawarte są życiodajne witaminy. Potem popadamy w depresję; po paru dniach patrzymy na butelkę służącą do infuzji już nie z przerażeniem, lecz tylko z przygnębieniem. Po czym — po czternastu dniach — zaczynamy zreć i żre my tak długo i tak dużo, dopóki sędzia i lekarze nie zadecydują aby nas wypuścić.

Nie jest wskazane używanie narkotyków takich jak morfina, meskalina, lub śnieg: w wypadkach używania narkotyków musimy zostać w szpitalu dwa lata: tak jest w Niemczech. To jest wyjście; ale naprawdę należy się zastanowić. I nie wolno zapomnieć, że ludzie zaklasyfikowani przez psychiatrów jako maniacy depresyjni rzadko bywają nałogowcami. Tak mi oświadczyli psychiatrzy w Berlinie; ale sprawę tę trzeba w każdym bądź razie przekonsultować. Symulowanie alkoholizmu jest kosztowne i zabiera dużo czasu; najlepsze jest jednak samobójstwo. Jeśli nie mamy pieniędzy na proszki nasenne lub hotel, potrzebny jest nam tylko most skąd swobodnym wzbijamy się lotem.

W szpitalu jest trochę nudno, dlatego przypominam, że najlepszy jest szpital w Haar. Jest to pięknie położony kompleks budynków w lesie; jest tam poza tym pawilon siostr, które możemy odwiedzać, jeśli uzyskamy już prawo do odbywania samotnych spacerów. Trzeba to jednak

robić dyskretnie, gdyż siostrze za romans z wariatem grozi usunięcie dyscyplinarne z pracy. Jest tam również i cmentarz gdzie możemy się przespać w cieniu klonów, kiedy wracamy z gospody i chcemy wytrzeźwieć. Po trzech miesiącach jesteśmy wyleczeni, ale istnieje szansa, że zatrzymają nas dłużej: w wypadku jeśli nasze stany depresyjne będą się powtarzać.

Teraz trzeba się zastanowić jak zdobyć trochę grosza. I tu jest wiele sposobów: dla ludzi którzy odbywają kurację odwykową od środków nasennych, kupujemy w Monachium proszki; dla alkoholików koniak. Jednak trzeba to robić bardzo ostrożnie gdyż odwykowcy są poddawani bezustannym analizom moczu, mającym na celu stwierdzenie czy nie przyjmują barbituratów i alkoholu. Najlepszy jest handel benzodryną: to dla facetów którzy siedzieli w obozach koncentracyjnych i udają mary nocne w celu uzyskania odszkodowań od rządu NRF. Faceci ci nie śpią po nocach gdyż nawiedzają ich widma pieców krematoryjnych, SS-manów i drutów kolczastych. Jeśli nie możemy dostać psychedryny lub benzodryny, wystarczy czasem NESCA; wariat pożera pudełko i potem lata przez całą noc opowiada pielęgniarzom o swych koszmarach, a pielęgniarze odpowiadają z miłym uśmiechem:

— Jeszcze wszystko będzie dobrze. Niech pan spróbuje trochę pospać. Jutro pogada pan z doktorem.

Sprawa rozmów z lekarzami nie jest rzeczą trudną; lekarzom nie udało się jeszcze wyleczyć ani jednego wariata, natomiast sami wariują lub stają się morfinistami. Nie należy przesadzać w opowieściach dotyczących koszmarów swego życia. Niezawodne jest natomiast tak zwane trudne dzieciństwo; o tym możemy głądzić gdyż, jak wiadomo, nie ma człowieka który nie miałby koszmarnego dzieciństwa. Nie należy sugerować lekarzom iż przyczyną własnej depresji jest patologia rodzinna, a więc: ojciec alkoholik, matka nimfomanka, babka samobójczyni, dziadek sadysta i tak dalej. Teoria dziedziczności jest

sprawą niewyjaśnioną; na tym możemy się położyć jak dzieci. Ale możemy bredzić *skolko ugodno* na temat naszych przejść w krajach Demokracji Ludowej. Dobrą rzeczą jest sprawa szantażu ze strony policji politycznej; proponowano nam współpracę a myśmy się oparli. Kroki na schodach przyprowadzają o dreszcze. Szalejemy na widok munduru, nawet jeśli jest to mundur ochotnika straży pożarnej lub członka Gwardii Papieskiej. Truchlejemy jeśli ktoś śpiewa „Oczy czarne”. Ale płaczemy na widok czerwonego sztandaru: ponieważ opuściliśmy kraj Słońca Stalinowskiej Konstytucji i w jakiś sposób czujemy się renegatem. Nasze poczucie moralności i honoru mówi nam, że ziemia, na której urodził się człowiek, ważniejsza jest od wszystkiego co się na niej dzieje. I tu jest nasz problem: nostalgia za koszmarem. I na tym się położyć nie możemy; tu lekarze są jak dzieci.

W rozmowach z niemieckimi psychiatrami nieuchronnie wypływa problem okupacji. My opowiadamy, iż będąc dzieckiem bywaliśmy świadkami publicznych egzekucji. To jest bardzo ważne. Trzeba to opowiadać ze wszystkimi możliwymi detalami; to właśnie utkwiło nam w pamięci na zawsze i dlatego opowiadamy obszernie; inne sprawy z naszego dzieciństwa pamiętamy słabo i nie potrafimy skleić ich do kupy.

Lekarz: — Czy potrafi pan sobie przypomnieć kiedy pan dostał jakąś zabawkę której pan pragnął?

My: — Zabawkę?

Lekarz: — Tak. Jakąś zabawkę której pan pragnął jako dziecko.

My: (zbieramy myśli. Na naszej twarzy maluje się wyraz rozwścieczenia że nie potrafimy sobie przypomnieć. Wreszcie): — Dostałem od żony samochód jako prezent ślubny.

Lekarz: — Ale proszę sobie przypomnieć kiedy pan dostał zabawkę, której pan pragnął będąc dzieckiem. Kiedy to było?

My: — Kiedy to było?

Lekarz: — Tak, kiedy to było?

My: — To było w grudniu 43. Na Boże Narodzenie. Wraciałem do domu i na Twardej zatrzymali nas Niemcy...

Przerywamy.

Lekarz: — Proszę mówić. Proszę pamiętać, że jestem przede wszystkim lekarzem. Ja wiem, że to dla pana krepujące.

My: — Panie doktorze, rzeczywiście trudno mi mówić z panem o tych sprawach. Mam w Niemczech tyłu przyjaciół. Wiem, że głodem i terrorem można wszystko zrobić z każdym narodem. Jako katolik (protestant, Żyd, grecki-katolik, baptysta i td.) nie mam prawa myśleć, że jeden naród jest gorszy od drugiego lub lepszy. Istnieją warunki w których każdy naród zdolny jest do uczynienia każdej rzeczy z innym narodem.

Lekarz: — Proszę, niech pan się uspokoi. To rzecz bardzo ważna. A więc jak to było?

My: — Wraciałem do domu, a Niemcy zatrzymali nas. To było na Placu Grzybowskim. Ludzie stali i czekali; potem przyjechały dwie ciężarówki z zakładnikami. Ci ludzie mieli w ustach gips... nie, przepraszam, mieli usta zalepione plastrami. Takimi plastrami...

Rozglądamy się.

Lekarz: — Pan ma na myśli szerokie plastry, prawda?

My: — Tak. Więc oni mieli usta zaklejone tymi plastrami. Ustawiono ich pod ścianą a potem przejechano po nich karabinem maszynowym. I kiedy leżeli na ziemi, to podchodził do nich podoficer i strzelał tym którzy jeszcze żyli między oczy. Ale nie strzelał z pozycji stojącej, tylko przykucał i strzelał z boku, aby nie było rykoszetu. Wie pan, ten podoficer nie miał pistoletu Parabellum, tylko rewolwer. Wie pan jaka jest różnica między rewolwerem a pistoletem?

Lekarz: — Tak.

My: — I to mnie zdziwiło, bo przecież armia nie-

miecka nie miała rewolwerów, tylko pistolety takie jak P 38, Mauser, Parabellum. A ja pamiętam dokładnie, że to był rewolwer, bo jak mu się skończył bęben, to musiał go ładować po raz drugi — kula po kuli...

Lekarz: — Ale co pan wtedy dostał na Gwiazdkę? To było na Gwiazdkę, prawda?

Teraz nastaje chwila straszliwego milczenia i konsternacji. My myślimy o tym, że nie możemy sobie przypomnieć. I wreszcie mówimy, że pamiętaliśmy, ale w trakcie opowiadania zapomnieliśmy: to była Gwiazdka, dostaliśmy jakiś prezent, ale Bóg jedyny wie, co to było.

Szczegół z rewolwerem jest niesłychanie ważny: widok publicznej egzekucji zaćmił inne sprawy: my pamiętamy tylko, że podoficer niemiecki miał rewolwer a nie pistolet; minęło już dwadzieścia lat, a my tego nie potrafimy zapomnieć. Nie trzeba zbyt wielu szczegółów: wystarczy jeden, pozornie bez znaczenia, bo cóż w końcu za różnica czy się zabijało z samowzwoda czy z P 38; ale to jest właśnie to, co nas zastanawia i czego nie potrafimy zapomnieć. Nie to, że ci ludzie mieli zalepione, czy zagipsowane usta: przecież przez sześć lat bywaliśmy świadkami koszmaru i to nie mogło pozostawić śladu w naszej pamięci, ponieważ śmierć, rzecz najbardziej pewna na świecie, stała się w tamtych czasach oczywistością — w naszej pamięci pozostał szczegół bez specjalnego znaczenia: lecz jakże ważny dla idioty-psychiatry, siedzącego naprzeciw nas. Nie należy grać na wysokich tonach; egzekucje, piece krematoryjne, bomby atomowe — to wszystko do niczego. Chodzi o jeden mały szczegół który, utrwalony w naszej pamięci przez lata, urasta do rangi symbolu i w ostatecznym rozrachunku, stanowi rzecz najbardziej koszmarną. Oznacza to, że nasze odczuwanie zła i dobra jest poza zasięgiem naszej inteligencji; nikczemność przestaje nas dręczyć: dziwią nas tylko pewne drobne szczegóły których nie potrafimy zrozumieć. A więc sprawa nietypowego rewolweru; i pamięć o tym, że podoficer strzelał do konających, aby nie było ryko-

szetu. To nieważne, że pięć minut temu powiedzieliśmy, że strzelał im między oczy co jest absurdem gdyż jak można strzelać między oczy ofiary przykucnąwszy? Ale nasza opowieść nie może być zbyt precyzyjna: my jesteśmy wariatem i nie możemy zebrać do kupy zrozpaczonych myśli. Trzeba wystrzegać się opowieści precyzyjnych.

Jeśli po jakimś czasie lekarz zapyta nas, czy chcemy wrócić do żony, odpowiadamy, że nie, a na pytanie tego durnia czym motywujemy swoją decyzję, odpowiadamy mu, że doszliśmy do wniosku, iż chorego człowieka nie można kochać; tak więc, postanowiliśmy odejść, aby nie łamać życia kochanej kobiecie; i napisaliśmy już nawet do niej list, w którym przyznaliśmy się do niepopołnionych zdrad. Świadczy to, że żonę naszą kochamy ponad wszystko, ale świadczy również, że nasz stan depresji pozostał, choć przybrał formę łagodniejszą i możliwą przez nas samych do kontrolowania. To wszystko ma tylko wtedy sens jeśli rzeczywiście mamy żonę i chcemy urwać się od niej na jakiś czas; jeśli żony nie mamy, to trzeba powiedzieć doktorowi iż mamy przyjaciółkę, tak samo biedną jak my; i że nie chcemy łamać jej życia. Wiemy, że kocha się w niej rzeźnik z przeciwka, lub młody sportowiec z własnym samochodem a my wiemy, że nasza ukochana uwielbia szybką jazdę. My nie możemy jej dać nawet tego. I dlatego chcemy odejść.

Nędza jest niesłychanie ważną rzeczą; jest to przyczyna naszego samobójstwa. Wstyd: mamy już swoje trzydzieści parę lat a jedyny nasz majątek osobisty to maszyna do golenia, którą dostaliśmy po wybraniu azylu od narodu amerykańskiego. Jesteśmy tym, co nazywa się tak pięknie po angielsku *loser*, czyli przegrywacz. Pisarz może bez trudu wymyślić sytuację, w której przegrał życie: pracował przez rok dla wielkiego reżysera z Hollywood; od tego zależała jego przyszłość; reżyser stał się jego najbliższym przyjacielem; jednak żona reżysera-milionera zakochała się w nim i dostaliśmy kopa w tyłek. Parę ta-

kich sytuacji i wreszcie nędza i wstyd, który nas zadreżył, stały się powodem do desperackiego kroku: brak powodzenia, nędza, świadomość że jesteśmy na utrzymaniu żony — jeśli tak jest istotnie. Wtedy rozmowa pomiędzy lekarzem-idiotą a pacjentem-idiotą, wygląda w sposób następujący:

Lekarz: — Więc cóż było ostatecznym powodem pańskiej decyzji odebrania sobie życia?

My: — Mogę panu to powiedzieć. Ale to zajmie panu trzydzieści dwa lata. Tyle, ile ja żyję. Czy ma pan tyle czasu dla mnie?

Lekarz (łagodnie): — Proszę jednak odpowiedzieć co było, że tak powiem, ostatecznym bodźcem. To bardzo ważne.

My: — Jeśli chodzi o ludzi takich jak ja, to nic nie jest ważne, oprócz tego, aby nas (ludzi takich jak my) unikać. Ale spróbuję to panu powiedzieć. Kiedy umiera człowiek wolny, kończy się życie pełne niebezpieczeństw, pełne walki, pełne radości. Ale kiedy umiera nędzarz, kończy się tylko wstyd.

Mamy łyzy w oczach. Powyższe zdanie ukradliśmy z filmu „Spartakus”. Kirk Douglas postanowił zginąć razem ze swymi ludźmi ponieważ Krezus wykupił jego flotę, na której chciał z nimi zwiać; został tylko jeden statek; kapitan korsarzy namawia Spartakusa aby wziął precjoza, Jean Simmons i zaczął nowe życie; Douglas z oburzeniem odrzuca jego propozycję.

Kapitan korsarzy: — Dlaczego postanowiłeś zginąć, Spartakusie?

Kirk Douglas (po chwili zamyślenia, uśmiechając się z początku gorzko, następnie uśmiech zamienia się w wyraz wyniosłości): — Kiedy umiera człowiek wolny, kończy się życie etc. etc. Ale kiedy umiera niewolnik — kończy się tylko ból.

Ogólnie biorąc Niemcy nie są złym krajem na udawanie wariata, ale jeszcze lepiej jest udawać wariata w Izraelu. Po pierwsze: mamy znajomych lekarzy, którzy

sami są wariatami, i którzy zrobią dla nas wszystko co w ich mocy; po drugie ilość chorób psychicznych wśród emigrantów z Europy jest duża na wskutek cierpień które ludzie ci przeszli z powodu różnych uszczęśliwaczy ludzkości jak Hitler, Stalin i nasz Towarzysz Tomasz. Trudne dzieciństwo zostaje; koszmar okupacji zostaje; natomiast musimy zmienić wersje co do prześladowań ze strony policji politycznej. Duża ilość członków aparatu Bezpieczeństwa rekrutowała się spośród Żydów; ludzie nie wiedzą jednak, że działa się to na skutek szantażu ze strony NKWD, które w wielu wypadkach zmuszało ich do wstąpienia w szeregi aparatu bezpieczeństwa. Genialny Stalin umiał utrwalić rzecz najbardziej hańbiącą Polaków — antysemityzm. Był on mądrzejszy w swoich planach od Hitlera; wiedział, co musi czuć przeciętny Polak na widok człowieka rasy semickiej, siedzącego naprzeciw niego i ubranego w mundur Urzędu Bezpieczeństwa: oto Żydzi którzy przeszli tak straszne prześladowania w czasie wojny — prześladują teraz Polaków; Genialny Ziutek rozumiał, że cierpienie uszlachetnia, ale tylko w powieściach takich jak „Ania z Zielonego Wzgórza”. Dziwne, że żaden z publicystów polskich nie wziął w obronę tych ludzi, których prosto z więzienia NKWD posłano do więzień UB, aby stali się stróżami braci swoich.

W Izraelu życie wariata jest usłane różami. Piękny kraj, słońce, gaje pomarańczowe gdzie można płasać i zreć witaminy; w niektórych domach wariatów wprowadzono terapię pracy. Wariaci pracują na budowie, lub przy pracach związanych z budową dróg. Dostają za darmo wikt i opierunek, a zarobione pieniądze odkładają na lepszą przyszłość, co pozwoli im po opuszczeniu szpitala rozpocząć nowego życia, lub powrót do ulubionego nałogu. To drugie wydaje mi się zjawiskiem bardziej typowym: jako empiryk operuję tu własnym doświadczeniem.

Zostaje tylko sprawa prześladowań ze strony poli-

tycznej policji. Zachowujemy trudne dzieciństwo: publiczne egzekucje, szczególnie z rewolwerem i przykucniętym podoficerem; ale zmieniamy zupełnie sprawę szantażu ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. Przedstawiamy to tak, że proponowano nam współpracę z UB w charakterze informatora; my jednak oparliśmy się, ale teraz boimy się wszystkiego: kroków na schodach, nocnych telefonów, mundurów Gwardii Papieskiej i tak dalej.

Lekarz: — Proszę, niech pan mówi jak to było.

My milczymy.

Lekarz: — Proszę mówić. Proszę pamiętać, że jestem przede wszystkim lekarzem.

My milczymy.

Lekarz: — Czy ten oficer był...

Przerywamy.

My: — Tak. Panie doktorze, rzeczywiście trudno mówić mi o tych sprawach. Mam w Izraelu wielu przyjaciół. Wiem, że terrorem i głodem można wszystko zrobić z ludźmi. Istnieją warunki w których każdy człowiek zdolny jest do uczynienia każdej rzeczy w stosunku do innego człowieka. Jako katolik (protestant, baptysta, grecki katolik i tak dalej) wiem, że wszyscy ludzie...

I znów zyskujemy pewien czas aby się odezwać i aby wymyśleć jakąś książkę czy też opowiadanie. Po jakimś czasie możemy poprosić, aby skierowano nas do pracy na budowie i przez parę miesięcy możemy uzbierać trochę grosza aby potem napisać coś, co nam sprawia przyjemność. Jest jednak rzeczą szalenie ważną, aby wybrać sobie odpowiedniego hyzia. Najłatwiejsza do symulowania jest mania prześladowcza; ale raz jeszcze powtarzam, że nie należy zapominać o odmawianiu przyjmowania pokarmów przez parę dni w szpitalu, pod pozorem, że doszliśmy do wniosku, że lekarze są w zмовie z Gestapo, UB, czy też Mafią Casa Nostra aby nas wykończyć. Głodu nie będziemy odczuwać, gdyż uchroni nas od tego infuzja. Nie jest złą rzeczą udawanie że słyszymy głosy rozkazujące nam rozmaite rzeczy, jak np. zamordowanie

teściowej, popełnienie samobójstwa i tak dalej. Ale jeśli znaleźliśmy się tylko w przejściowych tarapatkach finansowych — wystarczy najzupełniej nieudane samobójstwo. Przez trzy miesiące można wymyśleć kupę ciekawych rzeczy.

2. Rozczarowanie komunizmem

Ta sprawa jest zupełnie do niczego i nie może nam zapewnić wystarczających dochodów. *Commies* stworzyli świat fantastyczny i przeciętny człowiek nie ma ochoty ani możliwości, aby myśleć o takich rzeczach jak obozy Kołomy, Łubianka i nocne śledztwa. Opowiadano mi, że więźniowie obozów dalekiej Północy planując ucieczkę zabierali niekiedy świeżo przybyłego więźnia, aby karmić się w drodze jego mięsem. Wiem, że to prawda; lecz mimo to, trudno mi w to uwierzyć. Czytając niedawno „Zmartwychwstanie” natrafiłem na podobną historię o więźniu który próbował ucieczki z Sybiru, wiadomo było, że namówił swego przyjaciela do wspólnej ucieczki, po czym zabił go i włókł trupa przez setki kilometrów żywiąc się jego mięsem. Ale te sprawy nikogo nie interesują: a poza tym w imię czego wymagać od ludzi aby w nie wierzyli.

Kiedy opowiadałem ludziom jak żyje się w Polsce, słuchano mnie z uprzejmym zdudzeniem. Potem przestałem mówić; a potem minął mój gniew. W imię czego miałbym żądać od ludzi wiary w to, że więźniowie pożerają się nawzajem; w imię czego miałbym żądać od ludzi wiary w to, że gest braterstwa zamienia się w gest samozniszczenia; w imię czego miałbym żądać od ludzi wiary w to, że pracując jak bydlę zarabiałem na jedzenie gorsze od tego, jakie dostaje się w więzieniu w Jaffie? Niewiele wiem o moralności; jest to zdaje się pojęcie dość elastyczne, ale to wiem, że nie można żądać aby ludzie w takie rzeczy wierzyli.

My, Polacy w ogóle niewiele mamy szans. Każda książka rosyjska, choćby najszabsza, zawsze będzie miała tysiącokrotnie większe powodzenie od dobrej polskiej. Książka Hersey'a jest słabizną w porównaniu do tego co napisał Adolf Rudnicki; uważam nawet to porównanie za ubliżające dla Rudnickiego. Książki Urisa „Mila 18” nie można w ogóle z niczym porównać gdyż jest tak głupia. „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza” jest książką słabą, ale o olbrzymim powodzeniu komercyjnym: „Inny Świat” Grudzińskiego jest książką wstrząsającą, ale nie przypuszczam, aby jej powodzenie komercyjne dało się porównać z Iwanem Denisowiczem. „Ciemność w Południe” książka dziś już klasyczna, jest literacko słaba i pełna idiotyzmów świadczących o tym, że autor pojęcia nawet nie ma jak wygląda więzienie — bohater powieści ogląda ze swej celi prowadzonego na śmierć przyjaciela: jak wiadomo „kapisz” jest możliwy do użycia, ale tylko od strony korytarza. Inny bohater opowieści ma papier i ołówek i rysuje Rubaszowowi mapę ZSSR w czasie spacerów na podwórzu — w więzieniu nie wolno mieć ani papieru, ani ołówka czyli tak zwanych „ksywek”. Jeszcze inny nosi zegarek z dewizką („sikor”) — i tak dalej. Wszystkie trzy postacie: Rubaszow, Iwanow i Gletkin są postaciami papierowymi, do czego nawet sam Koestler przyznaje się w swej autobiografii, mówiąc, iż jego bohaterowie to nie żywi ludzie ale kukły wypowiadające myśli. Kiedy czyta się dziś tę książkę nie można oprzeć się wrażeniu, iż jest to tylko sentymentalny wykład totalitaryzmu; i sprawy nie ratują ani cytaty z Biblii, ani cytaty z Machiavellego. Ale są to wszystko książki napisane przez Rosjan lub ludzi stamtąd; powodzenie tych książek jest zrozumiałe; jeśli chciałbym dowiedzieć się czegoś o Ameryce, wolałbym porozmawiać przez godzinę z przeciętnie inteligentnym Amerykaninem od cztero godzinnej rozmowy z najmądrzejszym człowiekiem w Porto-Rico. Nie warto się tą sprawą więcej zajmować; tu grosza nie zarobimy.

3. *Sutenerstwo*

Sutenerstwo jest zawodem niesłychanie trudnym i wymagającym wzorowo opanowanego aktorstwa, silnych nerwów i szybkich decyzji. Trzeba poza tym dysponować szeroką skalą uczuć: od skrajnego okrucieństwa do jaśniejszej wręcz łagodności. Aby zostać sutenerem, nie wiele nam jednak pomoże szkoła Reinhardta, Kazana czy Stanisławskiego, jeśli nie opanujemy rzemiosła aktorskiego sami, usilną pracą woli i charakteru. Opowiadano mi, że aktor amerykański Burt Lancaster kazał się zamykać swemu lokajowi na długie godziny w pokoju, gdzie było tylko lustro i krzesło; mówił mu przy tym, aby otworzył mu drzwi dopiero o z góry oznaczonej godzinie i aby nie zważał na walenie w drzwi kiedy zrozpaczony Lancaster nie będzie mógł wytrzymać samotności. Nie wiem czy historia ta jest zmyślona, czy prawdziwa; ale musimy postępować podobnie.

Wbrew temu co się powszechnie mniema i czego nauczyliśmy się z filmów i książek, trudniej jest odebrać zawodową prostytutkę innemu sutenerowi niż zrobić prostytutkę z dziewczyny szlachetnej i młodej. Z każdej kobiety można zrobić prostytutkę jeśli się użyje tego rodzaju argumentów jak ukończenie studiów muzycznych czy lekarskich, kupno małego domku poza miastem i rozpoczęcie nowego życia połączonego z odrodzeniem moralnym. Natomiast poderwanie prostytutki innemu sutenerowi jest trudne z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszy — prostytutka kocha swego pasterza i poprzez codzienny stosunek z nim oczyszcza się jakby moralnie i fizycznie; drugi — możemy dostać nożem od przyjaciół rzeczonoego pasterza przy czym policja nie ujmie się za nami, ponieważ każda policja świata jest zblatowana przez sutenerów i ich wychowance.

Zakładamy jednak, że widzimy ładną prostytutkę. Ona siedzi w lokalu; my przychodzimy i patrzymy na nią głodnym wzrokiem. Pierwszego wieczora nie mówimy

nic; wypijamy piwo i wychodzimy. W drzwiach zatrzymujemy się przez chwilę i znów patrzymy na nią: patrzymy na nią z nienawiścią; już otwieramy usta, aby coś powiedzieć, ale nagle odwracamy się gwałtownie i wychodzimy. Idziemy następnie do naszej narzeczonej i długo przekonywujemy ją, że Schiller jest lepszy od Goethego. Lub odwrotnie, to i tak bez znaczenia.

Następnego dnia idziemy do kina na film z Humphrey Bogartem. Najlepiej obejrzyć film „Casablanka”, piekielną szmirę gdzie Bogart jest genialny. I od niego musimy się uczyć jak trzeba grać. Należy zwrócić uwagę na następującą scenę: Ingrid Bergmann, była kochanka Bogarta, przychodzi do niego, aby prosić go o pomoc dla męża, któremu grozi aresztowanie przez Gestapo; i tylko Bogart może go uratować. Dlaczego tak się dzieje, że w całej Casablance tylko jeden Bogart może uratować tego szmondaka, nie wiem; ale to nieważne.

Bogart siedzi i pije whisky z olbrzymiej szklanki którą trzyma w łapie. Jest północ: przed Bogartem popielniczka wypełniona stu pięćdziesięcioma niedopałkami. Na pianinie gra Murzyn: ulubioną piosenkę Bogarta i Bergmann. Słyszać kroki; wchodzi Ingrid Bergmann. Staje przed Bogartem. Na twarzy Bogarta nie drga ani jeden muskuł.

Bergmann: — Musisz mu pomóc. Ten człowiek walczy o najważniejsze sprawy świata.

Bogart: — Przykro mi. Jedyłą sprawą która mnie interesuje jestem ja sam.

Bergmann: — Jeśli mu nie pomożesz, ten człowiek zginie tutaj.

Bogart: — Ja też tutaj umrę. (Chwila milczenia, po czym dodaje uspakajająco): — Tu jest bardzo miły cmentarz.

Bergmann: — Słuchaj. Kiedy go spotkałam, byłam młodą dziewczyną. Ten człowiek powiedział mi, co w życiu jest piękne a...

Bogart (przerywa): — Kiedy byłam młoda, spotka-

łam męczyznę który... i tak dalej... i tak dalej. Piękna historia. Mnóstwo takich w życiu słyszałem.

Bergmann wyjmuje pistolet. Bogart wybucha szatańskim śmiechem. Ale nie wypuszcza szklanki z whisky z ręki.

Bogart: — Strzelaj. Oddasz mi tylko przysługę.

Ta scena jest kapitalna. Bogart mówi powoli, nie śpiesząc się; twarz jego jest przy tym zmęczona i wykrzywiona.

Na pytanie dziennikarzy o czym myśli wtedy, kiedy twarz jego przybiera wyraz zrezygnowania i zmęczenia, Bogart odpowiedział, że nigdy w ogóle nie myśli o niczym, a dziwaczną ekspresję twarzy uzyskuje dzięki prostemu trickowi: otóż prawy but zakłada na lewą nogę i odwrotnie; jest rzeczą oczywistą, że w tej sytuacji człowiek nie może mieć twarzy tak pogodnej jak Ziutek Słoneczko przedstawiony na obrazie pod tytułem „Poranek naszej ojczyzny”, gdzie widzimy naszego Tatę stojącego na tle wschodzącego słońca; widzimy tam również druty elektryczne, wieże wiertnicze, samoloty i zniwiarki. Ale nie w tym rzecz.

Najważniejszą sprawą jest nauczenie się dialogu. Bogart był tym człowiekiem w filmie, który wszystko przewrócił do góry nogami. Do czasu Bogarta wszyscy aktorzy starali się wyszczezać swoją kwestię gładko i poprawnie; pierwszy Bogart w „Skamieniałym lesie” pokazał jak powinno mówić się dialog. Bogart mówił źle patrząc w bok i zacinając się. Długie zdania wyszczeniwał prędko, krótkie rozciągał do granic maksymalnych. Stwarzało to wrażenie, że szuka słów, że mówienie przychodzi mu z trudem i męczy go, a do tego mówił bardzo niewyraźnie. Brando, aktor ze szkoły Kazana, mówi w tenże sam sposób: męczy się, zacina, jednak Brando nie ma w sobie prawdy Bogarta. Być może dlatego, że brak mu rezygnacji i spokoju jakie miał Bogart. Wszyscy inni — Newman, Cliff, Dean są dziećmi Bogarta, ale nie jest chyba faktem przypadkowym, że Bogart święci tryumfy w dzie-

się lat po swojej śmierci, kiedy miliony widzów obejrzały już tłumy jego dzieci, z których żadne nie miało w sobie rozpacz i zimnej determinacji ojca.

Tak więc, nie zapominając ani chwili o Bogarcie wchodzimy następnego dnia do knajpy gdzie siedzi nasza jedyna. Jesteśmy ubrani źle i niechlujnie; nie myśleliśmy przecież o sobie: myśleliśmy o niej. To dlatego jesteśmy źle ogoleni; mamy źle zawiązany krawat i oczy podkrążone po bezsennie spędzonej nocy. To dlatego bruzdy na naszej twarzy pogłębiły się i dlatego ręce nasze drżą lekko, kiedy zapalamy papierosa stojąc szeroko rozkraczeni na progu knajpy; pamiętamy, że nikt nie jest tak czarujący jak człowiek, który wie iż jest niezgrabny i nie potrafi nad tym zapanować.

Podchodzimy do niej.

My: — Ile?

Ona: — Sto.

Patrzymy na nią z osłupieniem: jesteśmy przecież nędzarzem i za tę sumę moglibyśmy żyć przez tydzień. Po mału osłupienie nasze przechodzi w rozpacz: nie mamy przecież tyle forsy. A potem patrzymy na nią z nienawiścią: przecież każdy może ją mieć; każdy kto ma tę sumę, ale nie my. A potem ta nienawiść kieruje się przeciw naszej własnej osobie: mamy już przeszło trzydziestkę. Inni ludzie w tym wieku mają domy, samochody i konta bankowe; my nie mamy nic. Przegraliśmy życie; przegraliśmy przyszłość; a teraz przegraliśmy tę noc. Gasimy papierosa i wychodzimy.

Ona (za nami): Osiemdziesiąt.

Odwracamy się gwałtownie. Ale na naszej twarzy nie ma już nienawiści i rozpacz: jest tylko zimna świadomość klęski. I tak przez krótki ułamek sekundy; a potem znów myślimy o tych wszystkich młodych ludziach jeżdżących Jaguarami, uwodzących nieletnie i nudzących się w Portofino. Patrzymy na postrzępione rękawy naszego płaszcza i znów na naszej twarzy widać wściekłość.

My: — Nie potrzebuję litości.

Wychodzimy. Idziemy do narzeczonej i opowiadamy jej, że Schiller jest lepszy od autora „Fausta” lub odwrotnie; co jest bez znaczenia. Przychodzimy do naszej knajpy następnego dnia i w milczeniu pokazujemy jej żadaną sumę; i idziemy z nią na górę. Potem mówimy do niej wyciągnąwszy z kieszeni list uprzednio zaadresowany na jakieś zupełnie obce nazwisko:

My: — Jeśli nie wrócę jutro do ciebie, wyślij ten list.

Ona: — Dlaczego.

My: — Rąbnąłem dzisiaj jednego gościa. Chciałem cię mieć.

W dalszym ciągu dialogu wyjaśniamy jej, że idąc za głosem serca i czując w sobie tak zwany huragan zmysłów, a nie dysponując odpowiednimi środkami, przyłożyliśmy jakiemuś nieznanemu panu sztangę do głowy w celu zyskania niezbędnych kapitałów. Popełniliśmy zbrodnię aby ją posiadać; oddajemy jej także medalik kupiony dwie godziny temu u Żydów, a który jest naszą jedyną pamiątką z dzieciństwa; wyjaśniamy również, że jeśli nie wrócimy do jutra — medalik należy przesłać naszej matce, gdyż człowiek który zabił niegodzien jest nosić medalika czy krzyża.

William Faulkner powiedział kiedyś na zapytanie dziennikarzy — jaki jest najlepszy zawód dla człowieka piszącego — iż najlepszym zawodem jest zostać tak zwanym „panem”, czyli kierownikiem burdelu. Motywacja Faulknera jest prosta: dobre jedzenie, dobre stosunki z policją, łobuzy z przeciwka są pełni szacunku i nazywają cię „panem”, ranki wolne od pracy a wieczorem, wesoła zabawa. Ale w Europie nie ma nawet co marzyć o takiej posiadzie. Jednak sutenerstwo potraktowane poważnie, jako czas przejściowy konieczny na uzbieranie odpowiedniej sumy pieniędzy, aby wspólnie z ukochaną utworzyć gdzieś mały hotel, odrodzić się moralnie, nie jest zawodem złym. Sutenerzy mający po kilka kobiet nie

sypiają z nimi: jest rzeczą wiadomą, że sutener traci kontrolę nad prostytutką, z którą się prześpi. Ale o tym nawet nie ma co marzyć. Z chwilą jednak kiedy będziemy mieli jedną, musimy wymóc od niej przysięgę, że nie będzie ze swymi klientami uprawiać pewnego rodzaju rozkoszy: to jest to święte, co ma zachować dla ciebie. Na przykład, aby nigdy nie zdejmowała biustonosza. To są rzeczy delikatne i tu każdy musi pomyśleć za siebie: jestem w końcu pisarzem-moralistą a nie doktorem Kinsey'em. Ale to jest niezbędne; musicie się upierać, aby zachowała, coś świętego i tylko dla was; i prać ją po pysku przy każdej okazji urządzając sceny zazdrości. Ona będzie szczęśliwa i wy też. Ale kiedy po raz pierwszy przyniesie ci pieniądze, podrzyj je i wyrzuć przez okno, gdzie będzie stał już twój kolega, który jutro poskleja je i wytłumaczy w banku, iż dziecko wyjęło mu portfel z kieszeni i podarło banknoty. Następnie trzeba usiłować popełnić samobójstwo: w tym celu bierzemy żyłkę i usiłujemy podciąć sobie żyły powyżej łokcia (nigdy nie powyżej przegubu) gdzie żyły otoczone są grubą powierzchnią tłuszczu i mięśni o czym my nie wiemy, ponieważ działamy w afekcie. I tak będą nam płynąć dni wśród róż i wina.

4. *Cicha przystań życiowa*

O tym aby człowiekowi ktoś pomógł, kiedy jest w nieszczęściu nie może być nawet mowy. Ja sam zwracałem się o pomoc do polskich organizacji dwa razy w moim życiu: po raz pierwszy kiedy byłem w Izraelu i kiedy nie mając pozwolenia na pracę zdychałem z głodu; po raz drugi w analogicznej sytuacji. Za każdym razem odmówiono mi; muszę jednak przyznać, że grzecznie. Jeśli zawiedzie nas dom dla wariatów — w sensie cichej przystani życiowej i sutenerstwo — w sensie zdobycia pieniędzy aby odrodzić się moralnie i napisać nowelę na

temat wiosny uczuć młodej kobiety — zawsze znajdziemy szereg przytulisk zwanych więzieniami.

W więzieniu w Monachium nie jest źle, zwłaszcza jeśli ktoś pragnie nawiązania kontaktu z mową ojczystą, tak niezbędną dla człowieka piszącego: co trzeci więzień jest Polakiem. Panowie ci prowadzą tu nieskomplikowany tryb życia: śpią na dworcu a w dzień zbierają się w Domu Towarowym w Centrum miasta i tam składają się na butelkę wódki Pusckin (reklamują ją jako wódkę dla twardych mężczyzn: jest to dwóch facetów z kielichami w rękach; koło nich siedzi niedźwiedź patrzący na nich z życzliwością). Po czym rodacy nasi idą na dworzec aby się nieco przespać; tam zostają aresztowani i skazani na osiem dni więzienia za włóczęgostwo. W więzieniu dokonują niezbędnych ablucji, których nie są w stanie dokonać na wolności, z tej prostej przyczyny iż nie posiadają ani miejsca zamieszkania, ani dowodów osobistych. Przed kilkoma laty istniał w Monachium hotel Bunkier gdzie można było przespać się za jedną markę; dziś jest to jednak niemożliwe. Na dworcu sypiają również Włosi — nieudani sutenerzy i oszuści matrymonialni; tak więc w więzieniu monachijskim słyszymy trzy języki: niemiecki, polski i włoski.

W więzieniu tym karmią jednak marnie. Wszystkie filmy, w których widzimy ludzi latających po celi po przekątnej są nieprawdziwe: w więzieniu trzeba dużo leżeć gdyż każdy zbędny ruch powoduje głód. Jest o tyle źle, że nie można pisać; trzeba wszystko obmyśleć z góry; sytuację po sytuacji, dialog po dialogu i nie wolno niczego napisać: regulamin więzienny zabrania wykonywania pracy zarobkowej.

Wbrew temu czego tak bardzo pragną pedagodzy i reżyserzy filmowi, strażnicy więzienni nie lubią więźniów grzecznych i usłużnych: lubią „ciężkich chłopców” jak to się tam nazywa: cwaniaków i bezczelnych skurwysynów. Jeśli kończy ci się wyrok i nie masz ani grosza a chcesz jeszcze trochę posiedzieć, aby zebrać zrozpaczone

myśli, sposób jest prosty: zrzucasz ze ściany krzyż i dzwonisz na strażnika a wtedy wpięprzają ci dodatkową szóstkę za profanację uczuć religijnych: Bawaria, miejsce pierwszych tryumfów Adolfa Hitlera jest krajem katolickim.

Nie daj Boże, żeby ci przyszedł do głowy głupi pomysł i abyś zameldował się do więziennego szpitala: nie wolno palić i nuda cholerna. Jeśli jednak rzeczywiście czujesz się kiepsko i musisz poleżeć, to zbieraj trochę chleba i zamelduj się w niedzielę rano, że chcesz iść na mszę; w czasie nabożeństwa istnieje szansa wymiany koryta z facetami siedzącymi pod celą; możesz dostać trochę papierosów za wędlinę czy chleb od tych fetniaków, którzy nie palą a którym przysługuje prawo kupna tytoniu dwa razy w miesiącu. Najlepiej odpalać towar w czasie podniesienia. W więzieniu nie wolno czytać „Jerry Cottona”, ale na izbie chorych mają do cholery i trochę zeszytów z Jerry Cottonem; trzeba je wymieniać w czasie kazania. I tak gdy ksiądz mówi:

— Dla tej przyczyny zwołałem was, abym się z wami ujrzał i rozmówił; albowiem dla nadziei ludu Izraelskiego tym łańcuchem jestem opasany...

Ty musisz wyszczezać ponad głowę wachmaistra: — Mam Jerry Cottona. O tym jak nakrył Jacka Buldoga i skosił go Coltem-Cobrą...

Wtedy odszczekują ci: — Całuj nas w dupę z twoim Cottonem. My chcemy ten kawałek jak Jerry rznął tę Malajkę.

Wtedy ty do nich: — Tę co chodziła pod Jackiem Diamondem?

A oni do ciebie: — Nie. Tę co chodziła pod braćmi Ryan z San Francisco...

A ksiądz: — A będąc niezgodnymi między sobą, rozeszli się, gdy Paweł rzekł to jedno słowo: Iż dobrze Duch Święty powiedział przez Izaajasza proroka do ojców naszych...

Chodzi oto, aby dobrze zsynchronizować się z głosem

duszpasterza. Zresztą kościół jest zradiofonizowany, ale więziowie z izby chorych siedzą osobno i są oddzieleni od ciebie wachmaistrami. Po paru niedzielach nabierzesz takiej wprawy, że mógłbyś opowiadać im podczas mszy świętej całą historię Mike Hammer'a i nikt by cię przy tym nie nakrył. Wskazaną dla ciebie rzeczą jest znajomość Pisma Świętego a przynajmniej Nowego Testamentu, tak, abyś wiedział mniej więcej kiedy ksiądz uderza w patetyczne struny; i wtedy możesz załatwić co chcesz.

I trzeba zawsze mieć kraj gdzie czekają na ciebie: to wtedy kiedy będziesz krótki z forszą. Wyroki nieduże ale pewne; przekraczasz granicę i jesteś jak w domu. Nie trzeba za to robić afer w Paryżu, bo to jest jedyne miasto gdzie możesz się przefartować kiedy jesteś krótki; ale tu dają łomot i spalisz się; a pamiętaj, że kto nie dostał w mordę od francuskiego policjanta, ten w ogóle nie wie co to jest być bitym. Jeśli znajdziesz się w więzieniu w Jaffie to też nie rzucaj się za bardzo; dostaniesz taki łomot, że nabierzesz wreszcie pewności, że Izraelczykom nic się nie stanie i dadzą sobie jakoś radę. W Palermo jak cię będą drutować i zdejmą ci medalik z szyi — przyklęknij i ucałuj: dostaniesz papierosy od strażników, a jeśli będziesz miły, to pozwolą ci nawet napić się piwa w czasie śledztwa. I w ogóle bądź miły i twardy.

Jeśli już siedzisz pod celą razem z innymi niewinnikami to nie wpadaj w rozpacz i nie łkaj, ponieważ nie zostaniesz przez nich zaakceptowany dramatycznie i towarzysko; a nigdzie nie przydaje się tak bardzo wyrobienie dramatyczne jak właśnie w tego rodzaju przytulisku. Bierz udział w ich rozmowach; ale nie bądź nachalny. W żadnym wypadku nie zabieraj głosu w sprawach winy; nie zapominaj, że w historii więziennictwa całego świata nie było jeszcze ani jednego winnego więźnia. Nie wtrącaj się w cudze rozmowy, nawet jeśli czyjś bełkot wyda ci się oczywistą bzdurą. Kiedy siedziałem w Stadelheimie dwóch niewinników prowadziło ze sobą od miesięcy bezustanny spór: chodziło o to gdzie pójdą po otrzyma-

niu wolności; mając oczywiście na myśli taką restaurację gdzie upiją się najszybciej i najtaniej. Problem nie był łatwy: więzienia w Stadelheim zwalniają o piątej rano; o tej porze wszystkie knajpy są zamknięte.

Jeden z nich proponował, aby wprost z kryminału udać się na Schwabing i tam od razu przystąpić do dzieła. Drugi obstawał za wypadem na Dworzec Główny; jest to droga nieco dalsza, ale za to na Dworcu jest taniej i będzie można więcej wypić; a poza tym odpadnie kłopot z ponownym aresztowaniem, gdyż policjanci w Monachium zaczynają „razie” właśnie od Dworca Głównego; tak że nie będzie w ogóle problemu. Drugi więzień, widać nieco bardziej zaawansowany w alkoholizmie, obstawał jednak twardo, aby udać się wprost na Schwabing i tam zacząć pić. Wreszcie obaj panowie znaleźli wyjście kompromisowe: udadzą się na rynek gdzie w wielkiej piwiarni, której nazwy już nie pamiętam, przystąpią do dzieła. Uzgodniono najdrobniejsze szczegóły: zwolnieni zostaną o piątej; pierwszy tramwaj dorwą o piątej piętnaście; jazda zajmie im pół godziny a pozostałe piętnaście minut — piwiarnie otwierali o szóstej — umiłą sobie rozmowę. Najbliższej niedzieli zapytałem obu panów dlaczego ich nie zwolniono; okazało się, że mieli do odsiedzenia jeszcze po sześć lat.

W więzieniu istnieje pewna hierarchia ważności rozmów. Tematem numer jeden jest, rzecz jasna, niewinność każdego z więźniów i bolesna omyłka organów wymiaru sprawiedliwości. Tematem numer dwa jest nikczemność i przewrotność kobiet; dalej sport, najważniejsze decyzje życiowe, wspomnienia z wojny; głupota aktualnego kanclerza czy też prezydenta; zagadnienie istnienia Boga i lamenty nad złym wyżywieniem; przy czym ten ostatni problem staje się problemem numer dwa — to znaczy przed przewrotnością kobiet — w piątek, kiedy to człowiekowi dają kawałek ryby z jakąś piekielną mazią. W sobotę jest już normalne koryto i pierwotna hierarchia rozmów zostaje przywrócona.

Wdzięcznym tematem jest snucie wspomnień dotyczących pobytu w innych więzieniach. Na ogół, więźniowie niemieccy zgadzają się jednomyślnie, iż najmiłym więzieniem w NRF jest więzienie w Stuttgarcie. Jest ono nowoczesne, radiofonizowane i z bieżącą wodą; dodatkowy element dumy stanowi fakt, iż więzienie w Stuttgarcie wyposażone jest w radarowy system alarmowy i nie istnieje nawet jedna szansa na sto, aby uzyskać wolność na własną rękę. Więźniowie włoscy nie mają na ten temat jednomyślnej opinii, ponieważ Sycylijczycy nie lubią Włochów z Północy; ale wydaje się, że więzienie w Palermo nie jest złe; więzienia amerykańskie karmią najlepiej; jednak więźniowie kapryszą, twierdząc iż reżym jest zbyt surowy.

Jeśli siedzisz pod celą, bądź towarzyski, ale nie staraj się zdobyć pozycji dominującej i nie bądź w żadnym wypadku *duszą obszczestwa*, gdyż niepotrzebnie wzbudzisz zazdrość innych więźniów z natury mrukliwych i małomównych. Nie gładź bez przerwy o sobie; pamiętaj, że ci wszyscy włamywacze i sutenerzy też dostali się tutaj przez omyłkę i chcą o tym mówić. Dobrze jest jeśli widziałeś dużo filmów i umiesz je odgrywać. Jeśli masz dobrą pamięć to odgrywaj „Przeminęło z wiatrem”, „Waterloo Bridge” i „Casablanca”; nie odgrywaj natomiast filmów gangsterskich i policyjnych gdyż są to prawie bez wyjątku filmy idiotyczne, z wyjątkiem „The Asphalt Jungle” — ale niech Bóg broni aby ci przyszła ochota odegrać „Rififi”. Pamiętaj o tym, że zrobienie dobrego i prawdziwego filmu szpiegowskiego lub policyjnego jest niemożliwe, ponieważ aby być dobrym szpiclem, trzeba umieć zgubić się wśród innych ludzi; a nie może tego dokonać człowiek taki jak Gary Cooper czy Sean Connery. Trzymaj się dramatu obyczajowego i filmów awanturniczych; więźniowie lubią Eddie Constantina: jego filmy odgrywać najłatwiej ponieważ mało różnią się między sobą.

Jeśli chcesz zabłysnąć erudycją i odcytaniem, to opo-

wiadaj przede wszystkim Mickey Spillane'a. Jest on mało znany więźniom niemieckim i będziesz miał na tym polu sukcesy. Natomiast wystrzegaj się kompilacji; jeśli nakryją cię na tym, stracisz na zawsze ich zaufanie i nie dostaniesz nigdy peta.

W więzieniu w Stadelheim istniał oddział nazywany przez więźniów „Porsche Abteilung”. Siedzieli tam generalni dyrektorowie i prezesi rozmaitych banków i zakładów: musieli odcierpieć swoje, gdyż policja złapała ich z kurwami w stanie nietrzeźwym za kierownicą. „Porsche” jak wiemy jest bardzo popularnym samochodem sportowym; i tak powstała nazwa tego oddziału. Faceci z „Porsche Abteilung” trzymają się z daleka i wyniośle; stanowią oni przedmiot drwin i nienawiści ze strony innych więźniów-nędzarzy. Musisz w więzieniu zapomnieć, że Bóg jest zawsze po stronie silniejszych batalionów; pamiętaj, że bogaty człowiek nie pomoże ci nigdzie i nigdy, wychodząc z założenia, że jałmużna demoralizuje. Jednak pamiętaj, iż to nie biedni ludzie wymyślili powyższe zdanie; i nie wierz w to, co powiedział Fryderyk Wielki. Jeśli będziesz miał ochotę dać w mordę komuś z „Porsche Abteilung”, aby zyskać sympatię towarzyszy swego cierpienia i trzy dni karceru, to powiedz raczej tak, jak powiedział ów szwedzki król do Boga: Panie, jeśli nie chcesz nam pomóc, to popatrz sobie przynajmniej jak my, Szwedzi, potrafimy się bić.

Kiedy jesteś w karcerze oddajesz normalną kurtkę; zamiast niej zakładają ci czerwoną abyś był trefny w czasie gęsiówki i aby nie podchodzili do ciebie inni więźniowie. Ale nic się nie bój; jeśli byłeś równy pod celą, to więźniowie zaczną się młócić między sobą a wtedy strażnicy skoczą aby ich rozdzielić a jeden z więźniów odpali ci paczkę machorki; jeśli ją znajdą przy tobie przy powrocie do karceru, to musisz powiedzieć iż znalazłeś ją na ziemi. Trzy dni to nie jest długo; jednak nie staraj się umilać sobie czasu onanizmem, bo rozklekoczesz się nerwowo. Myśl o swojej książce: spokojnie, scena po sce-

nie i opowiadaj ją sobie od początku do końca a potem zaczynaj na nowo. To rada którą dał mi Igor Neverly; ale jest to rada najlepsza. Nie myśl o swojej żonie i nie myśl w ogóle o kobietach, kiedy jesteś w karczerze; staraj się myśleć o krajobrazach dzieciństwa; o żabach które otwierałeś żyłką i o tym, jak rąbnałeś swojej babce-staruszce złotą, ślubną obrączkę gdy babka twoja leżała na katafalku a ty powiedziałeś rodzinie, że chcesz zostać sam z drogimi zwłokami i wtedy zamieniłeś osiemnastkę na tombak. Nie śpiewaj; potem będziesz czuł się zmęczony a kiedy będziesz zbyt zmęczony, nie uśniesz. Staraj się wyobrazić sobie, iż żyjesz gdzieś poza czasem i przestrzenią; staraj się nie zwracać uwagi na bicie zegara. Pamiętaj o tym co Szatow powiedział do Stawrogina: Jesteśmy jak dwie osoby, które spotkały się gdzieś w nieskończoności, poza czasem i przestrzenią.

Myśl raczej nie o terażniejszości i nie o jutrze; ale o sprawach przeszłych i przebrzmiałych; o rzeczach wesołych i przyprawiających cię o łagodny śmiech i lekką zadumę. Ja na przykład myślałem o wkroczeniu sowieckich sokołów w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym; byłem wtedy w Częstochowie i mieszkałem przy ulicy Sobieskiego osiemdziesiąt cztery. Rosjanie weszli; rozbito cysternę ze spirytusem i potem ludzie leżeli w błocie pijąc spirytus zmieszany z rozdeptanym śniegiem. Ale to rzeczy ogólnie znane; tak działo się w czasie każdej wojny i w każdym mieście. Ale pod moimi oknami Rosjanie szli dwa tygodnie; była to droga wiodąca na Warszawę. Oni jednak nie pytali nawet o Warszawę; od czasu do czasu jeden z nich, który wchodził do domu prosząc o trochę kipiateru, pytał: — Gdzie droga na Berlin — i nie pytał nawet o kilometry, tylko o kierunek; z tyłu zostawił Ukrainę, góry Uralu i góry Kaukazu; złotą Moskwę i Kamienny Leningrad; a teraz szedł do Berlina nie pytając nawet o kilometry a tylko o kierunek.

Szli przez szereg nocy i dni śpiewając jedną i tę samą

pieśń: o bohaterze Czapajewie który hulał po Uralu; nocami gwałcili, a wtedy ci którzy trzymali za ręce szarpającego się męża tej kobiety, mówili do niego uspakajająco i ze zdziwieniem: — *Ty czewo bezpakoisz sia? Razoczek żonku pierieiebiom i dastateczno.* — A ci idący na ulicy wciąż śpiewali o Czapajewie i o tym, że dostali list pierwszego maja od swej matki, która pyta czy nie zabito go jeszcze. Mieli dużo dobrych pieśni; o tym, że gniew ich jest święty i pieni się jak fala; o tym, aby nie rozpaczały ich matki i życzyły im dobrej drogi kiedy idą pod gwiazdami zwycięstwa; i o tym, że piją za Ojczyznę i Stalina; a potem naleją po jeszcze jednym. I dopiero dzisiaj wiem, że Rosję można zrozumieć także poprzez śpiew; kłamią ich nędzne książki i głupie gazety; ale melodie prowadzące do zwycięstwa są prawdziwe i w nich jest siła narodu; i prawda, że każdego żołnierza można pokonać; ale nie żołnierza rosyjskiego.

Kładli się spać na śniegu w bramie naszego domu; nie chcieli wejść do środka i zasypiali natychmiast, a rano budzili się i otrząsali jak psy po wodzie; gotowali swoją kaszę z kawałkiem słoniny i szli na Berlin. Brali nasze zegarki i nasze obrączki; brali nasze kobiety, ale nie chcieli naszej gościny i naszego dachu nad głową. Pamiętam jak gwałcili jakąś kobietę na podwórku a potem któraś z naszych kobiet, chcąc uchronić się od tego losu, podeszła do zapinającego rozporek sierżanta i podała mu kielich wódki, mówiąc: — *Wasze zdarowie, kamandir.* Sierżant wyjął z jej rąk butelkę i rzucił ją o ścianę; i wtedy zrozumiałem że żadna pogarda nie jest tak straszna jak pogarda człowieka rosyjskiego. Oni rozdeptali szkło i dołączyli do tamtych, idących na Berlin i śpiewających o Czapajewie.

A potem przeszły oddziały bojowe i weszły wojska NKWD i my wszyscy poszliśmy patrzeć, jak będą rozwałać rodziny własowców mieszkające o parę domów dalej. Ci z NKWD zajechali na podwórko Willisem i sierżant krzyknął nie wyłączając motoru i nie wychodząc

z maszyny: — Wychodźcie, bracia! — i oni wyszli; ustawili się pod murem a sierżant przejechał po nich karabinem maszynowym; odjechali nie sprawdzwszy nawet czy w piwnicy domu starał się ktoś ukryć, my wszyscy, którzy rzuciliśmy się aby ukraść co się tylko da, zobaczyliśmy, że nikt z nich nawet nie próbował ukryć się; wszyscy leżeli martwi i przyprószeni śniegiem. Więc kiedy jesteś w karcu myśl o tym i pamiętaj, że jeśli przyjdą tu kiedyś, to nie próbuj nawet uciekać. Pamiętaj, że prawdziwy człowiek nigdy nie ucieka naprawdę; ale przed nimi nie ucieka nikt. Nie ciesz się z tego, że masz paszport uciekiniera i że wolno ci mieszkać w Szwajcarii, Francji czy we Włoszech; na końcu tak czy owak będziesz sam; ale jeszcze przedtem będziesz sam przez całą drogę i nikt nigdy nie uwierzy ci w to, co mógłbyś powiedzieć i co chciałbyś powiedzieć. Ale może lepiej nie myśl o tym w karcu; możesz zacząć o tym myśleć kiedy znów będziesz w celi wraz z innymi ludźmi, którzy wierzą jeszcze w to, że za sześć lat pójda do tej samej knajpy i będą pić to samo piwo; i nie śmieją się z ich wiary. Być może, iż jest święta.

5. Uczciwa praca

Uczciwej i dobrej pracy nigdy więc nie dostaniemy. O szpiegostwie nie ma nawet co marzyć; Polacy nie nadają się do tego. Kiedy po wybraniu wolności pytano mnie czy wiem gdzie są wojskowe lotniska w Polsce, powiedziałem, że o niektórych wiem. Mój rozmówca ożywił się.

- Więc gdzie?
- W Warszawie na Boernerowie — powiedziałem.
- I gdzie jeszcze?
- Koło Legnicy.
- Wie pan o jeszcze innych?
- Zdaje się, że jedno jest w okolicach Gdyni —

powiedziałem. — Pomiędzy Gdynią a Gdańskiem. Nie jestem pewien. Ale gdzieś tam powinno być.

— Pan widział te lotniska? — zapytał mój rozmówca.

— Nie — powiedziałem. — Nie widziałem ich nigdy.

— To skąd pan o nich wie?

— Z Radia „Wolna Europa” — powiedziałem. I tak skończyła się moja kariera szpiega.

O tym, żeby zostać szpiegiem nie można nawet marzyć, ku mojemu najszczerzszemu ubolewaniu. Mam o to osobistą pretensję do Jerzego Putramenta, który w swej mistrzowskiej powieści „Arka Przymierza” sportretował kongenialnie Polaka-szpiega będącego na usługach jakiegoś tam wywiadu; moje pretensje rozciągają się również na Tadeusza Konwickiego i Jarosława Iwaszkiewicza. Jak pamiętamy bowiem z lektury ich książek, Polacy wybierający wolność w Zachodniej Europie, są kuszeni przez oficerów CIA, którzy wręczają im sympatyczny atrament, pistolety z tłumikami, trucizny i dynamit — ale Polacy dumnie odrzucają propozycję amerykańskich oficerów i skruszeni wracają na łono ojczyzny. Także w filmie według scenariusza Tadeusza Konwickiego, pod tytułem „Kariera”, widzimy Jana Świderskiego który, zostaje amerykańskim szpiegiem; w filmie „Pościg” widzimy amerykańskiego szpiega, którego oficerowie CIA wysłali do Polski aby wytruł czy też wykastrował ogiery; w filmie Wandy Jakubowskiej, którego tytułu już nie pamiętam, występuje również szpieg; w drugim filmie Wandy Jakubowskiej pt. „Żołnierz Zwycięstwa” występuje aż dwóch szpiegów angielskich. Jeden szpieg nazywa się Władysław Gomułka; drugi szpieg — Marian Spychalski. Na podstawie tych lektur i obrazów, człowiek ma prawo przypuszczać, że zostanie natychmiast zaangażowany przez Amerykanów, aby truć ogiery, kastrować kurczaki i przecinać druty telefoniczne; ale czeka nas straszne rozczarowanie — zamiast dynamitu i pistoletu z tłu-

mikiem, dostajemy po prostu kopniaka w tyłek i na próżno powołujemy się na to, iż przeczytaliśmy powyższe książki i obejrzeliliśmy wyżej wspomniane filmy i że na tej podstawie pełni ochoty i nadziei pragniemy rozpocząć karierę. Nasza argumentacja nie trafi do przekonania udzielających nam azylu oficerów.

Pisarzy pragnących poświęcić się pisaniu powieści szpiegowskich należy ostrzec przed tego rodzaju twórczością. Jest rzeczą niesłychanie trudną przerzucenie szpiega do kraju poza żelazną kurtyną. Osobnik taki jest albo oficerem amerykańskim którego wyszkolenie trwało Bóg wie ile lat i kosztowało Bóg wie ile pieniędzy; albo kanałią której nie można zaufać i która pracuje dla forsy; tak, iż zawsze związane jest ryzyko iż będzie pracować dla tego, kto da więcej. Na zasadzie prostego myślenia. Techniczne przerzucenie takiego osobnika przez granicę jest przy współczesnym systemie alarmowym, rzeczą bardzo trudną; można go wysłać w misji handlowej czy też jako *attaché culturel*; ale nie jest to łatwe.

Natomiast Rosjanie i Polacy mogą przerzucać na Zachód tysiące szpiegów rocznie i nie jest to związane z żadnym ryzykiem: po prostu przyjeżdżają tutaj i proszą o azyl polityczny, argumentując swą decyzję na zasadzie pieśni, tak niegdyś popularnej w Polsce: „Truman, Truman puść ta bania, bo jest nie do wytrzymania”. Zostają tutaj i przez szereg lat siedzą cicho pracując w swoich zawodach; i dopiero po jakimś czasie rozpoczynają działalność na rzecz swych mocodawców. Nie są to przypadkowe kanale, którym nie można zaufać; lecz ludzie partyjni i fanatycy, którzy wiedzą dobrze iż droga ich jest w rzeczy samej krótka i skończy się ilością dwudziestu czterech tysięcy wolt; jednak nie odstrasza ich to i robią swoje. Widzieliśmy, w melodeklamacjach napisanych przez Leona Kruczkowskiego, jak małżeństwu Rosenberg strzygą główki, aby lepiej przylegały elektrody; a zniecierpliwiony prezydent Eisenhower czeka na telefon, który podłączony jest do ich celi; chodzi o to, aby Rosenber-

gowie zasypali innych szpiegów; ale oni tylko całują się i mówią o Stalinie, aż do momentu kiedy kat łączy się z Western Electric i potem puszcza prąd przez ich ciała; Eisenhower rozumie wtedy klęskę swego narodu, swej polityki i głupotę oficerów amerykańskiego wywiadu.

Jeżeli już poprosiliśmy o azyl, to trzeba wystrzegać się bredzenia, pamiętając, że nasi przyjaciele z dzieciństwa, lat szkolnych i młodości, którzy prysnęli uprzednio — zasypali nas gruntownie i powiedzieli o nas wszystko co najgorsze; tak, że przesłuchujący nas oficer CIA wie o nas to, czego my sobie nawet nie jesteśmy w stanie przypomnieć. Nie należy również wpaść na głupi pomysł i opowiadać Amerykanom o rzeczach nieprawdopodobnych, licząc na to, że znajdziemy — przynajmniej przez jakiś czas — cichą przystań życiową. Możemy wpaść pod rozhukane konie; ale jeszcze przedtem dostaniemy tak po mordzie, że nawet w grobie zachowamy pozycję zasadniczą.

Nie dostaniemy więc żadnej uczciwej pracy jeśli jesteśmy człowiekiem piszącym a nie należeliśmy do partii i nie byliśmy wychowankami Światły, Monata i Fejgina. Chętnie zostałbym amerykańskim szpiegiem, aby załatwić paru *commies*, chociaż wiem dobrze, że szybko by się do mnie dorwali. Ale jak powiedziałem: nic z tego, ponieważ nikt nas nie potrzebuje. Nie wiemy przecież w gruncie rzeczy absolutnie nic o kraju w którym żyliśmy; wiedza o nieszczęściu jest wiedzą jałową. I cóż można powiedzieć więcej o Polsce poza tym, iż przestała istnieć w dniu w którym speaker Radia Moskiewskiego, powiedział: **DZISIAJ, SIEDEMNASTEGO STYCZNIA TYSIĄC DZIEWIĘCSET CZTERDZIESTEGO PIĄTEGO ROKU NASZE PEŁNE CHWAŁY WOJSKA OSWOBODZIŁY MIASTO WARSZAWĘ. WIECZNA SŁAWA BOHATEROM ARMII CZERWONEJ POLEGŁYM W DZIELE OSWOBODZENIA OJCZYZNY. ŚMIERĆ NIEMIECKIM NAJEŹDŹCOM.**

STALIN.

MAM DRZWI DO SZAFY DWUDRZWIOWEJ, OSZKLONE

Wbrew temu co się czyta, okres wolności słowa, trwający tak krótko w Polsce, nie zaczyna się z chwilą przyścia do władzy Władysława Gomułki; lecz właśnie w tym okresie kończy się zaszantażowany pojęciem „racji stanu” użyty przez tegoż Władysława Gomułkę, z którym wiązano nadzieję. Gomułka nie potrzebował używać metafor i przenośni, aby podbudować swoją tezę: czołgi sowieckie na ulicach Budapesztu i piętnaście — jeśli wierzyć danym oficjalnych — tysięcy zabitych Węgrów stanowiło wystarczająco silne ostrzeżenie.

Wywieszono wtedy na ulicach Warszawy flagi węgierskie i tysiące ludzi zgłaszało się, aby oddać swoją krew, którą następnie transportowano samolotem do walczącego miasta; grano hymn węgierski; „Po Prostu” drukowało na pierwszej stronie węgierski poemat pod tytułem „Powietrza”; lamentowano i pito; w ten sposób narodowe poczucie tragizmu zostało zaspokojone.

Nie łatwo jest dzisiaj pisać i mówić o październiku; okazuje się nagle, że nikt nie wierzył. Nie myślę, aby warto rozwodzić się na ten temat; nie pamiętam jednak aby w historii świata znany był fakt iż tyran rozdziera pewnego dnia szaty, po czym oświadcza, że od jutra postara się być lepszym. W starych numerach „Po Prostu”

w artykule naczelnego redaktora czytamy, iż „polski październik” nastąpił w rezultacie rewolucyjnego wrzenia mas robotniczych i chłopskich; i ich zdrowego instynktu i wyrobienia politycznego, nakazującego im wysunięcie żądań praworządności i demokratyzacji w stosunku do kierownictwa partii i narodu. Nie wiem w jakim stopniu można brać na serio dumne oświadczenie robotników Żerania: „nie przepuścimy”. O tym czy trzy tysiące ludzi uzbrojonych w ręczne karabiny ze sztykami jest w stanie powstrzymać armię sowiecką najlepiej spytać wojskowych. W każdym razie partia rozegrała swój taktyczny manewr bezbłędnie z punktu widowiska i sceny teatralnej; dano ludziom poczucie iż dokonali czegoś, co stanowi istotny punkt zwrotny w dziejach narodu.

Trudno jest natomiast ocenić całą sprawę z punktu widzenia humorysty. Nie wiem czego, i na jakiej podstawie, ludzie spodziewali się po październiku; i czy upoważniało ich do tego jedenastoletnie doświadczenie i bliskość granicy sowieckiej. Być może iż działo się to na zasadzie wiary w jednego człowieka: we Władysława Gomułkę. Być może, iż wierzono, że człowiek który cierpiał i był więźniem swych współwyznawców rządzić będzie nami nie zapominając o tym, co sam przeżył i przecierpiał. Są to jednak przesłanki etyczne, stanowiące treść wspomnianej już przeze mnie książki, pt. „Ania z zielonego wzgórza”; jeśli by się jednak oprzeć na materiałach statystycznych i na tym co mówią policjanci i dyrektorzy więzień, mający wieloletnie doświadczenie — nic nie wiadomo, aby cierpienie uszlachetniało. Drugim zabawnym elementem w tej całej hecy jest uczucie rozczarowania w stosunku do Gomułki; tak, jakby rzeczywiście ten człowiek miał szansę zmienienia czegokolwiek na lepsze w bliskiej przyszłości. Sam Władysław Gomułka, wkrótce po dojściu do władzy, oświadczył w jednym ze swych przemówień, iż niemożliwe jest szybkie podniesienie stopy życiowej gdyż po prostu nie ma czym płacić. Mówił przy tym o kolosalnych zadłużeniach Polski;

o katastrofalnym stanie gospodarki narodowej; nie zapominając dodać, że Związek Radziecki wspaniałomyślnie zrezygnował z części swych roszczeń w stosunku do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nie słuchano jednak wystarczająco uważnie jego słów; kiedy jechał do Moskwy tłumy zebrane na dworach ryczały radośnie na jego widok, błagając go jednocześnie aby zabrał ze sobą na wszelki wypadek suchy prowiant i dając mu dobrą radę, która w owym czasie stała się hasłem narodowym: „Wiesiek, trzymaj się”. I zupełnie nie pamiętano, iż człowiek ten jest komunistą, prawdopodobnie najbardziej zaciekłym i twardym i nieustępliwym. Ta cała historia świetnie nadaje się dla pisarzy moralistów: naród gnębiony i bity w tyłek przez lat jedenaście, na skutek cierpień i bolesnych doświadczeń wierzy w to, iż nagle stanie się inaczej za sprawą jednego samotnego człowieka; jednak z punktu widzenia literatury policyjnej, w której duchu zostałem wychowany i która mnie interesuje, ta sprawa nie nadaje się na nic.

Pisarze i myśliciele głosili po jakimś czasie legendę, iż są zniechęceni przez Gomułkę. Przykro mi, ale nie jest niestety aż tak dobrze. Obawiam się, iż jest to legenda wymyślona przez nich samych. Gomułkę uznano za szpiega i nikczemnika; pluto na niego; urządzano masówki w czasie których potępiano go publicznie, zarzucając mu ponad wszelką wątpliwość działanie na rzecz wywiadów francuskiego, angielskiego i amerykańskiego; nie dano mu nawet tego, co stanowi przywilej najpodlejszego kryminalisty: stanięcia przed sądem i powiedzenia prawdy o sobie ludziom i sędziom. Pisarzom piszącym o szpiegach Gomułki i nieszczęściach wynikających z „wychylenia gomułkowskiego” dawano nagrody państwowe; kosztem olbrzymich środków finansowych i wielu lat pracy i przemyśleń nakręcono wspomniany już film pod tytułem „Generał Zwycięstwa”; sztychowano z niego i drwiono, i nie było nawet ani jednego Szymona Cyrenejczyka który by mu pomógł. Po czym — według określe-

nia Putramenta — rozgromiony Gomułka powrócił. I nic się nie stało: ci sami ludzie którzy na niego pluli dalej kręcą filmy i piszą książki; nikt nie został skrócony o głowę; nikt nie podzielił losu Borysa Pilniaka, Izaaka Babla i Gorkiego, którego siedem śmierci opisał Gustaw Herling-Grudziński. Nienawiść jest uczuciem, na które w zasadzie trzeba porządnie zasłużyć jeśli ma się do czynienia z prawdziwym człowiekiem, niezależnie od tego czy jest on komunistą, czy nie. Ale legenda jest dobra: głowa państwa nienawidzi nas. Chciałbym, aby tak było w istocie; jestem jednak zbyt stary, aby wmówić sobie iż uczucie pogardy jest tym samym co uczucie nienawiści. Jak powiadają: każdy może zabić, ale tylko król potrafi darować życie. Tak więc otrzymano podarunek królewski; ale podarunek ten jest podarunkiem człowieka pogardzającego, a nie człowieka nienawidzącego. Przykro mi.

Ja sam w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym nie miałem już nic do roboty. W roku pięćdziesiątym szóstym wydano zbiór moich opowiadań pod tytułem „Pierwszy krok w chmurach”; ale był to krok równie i ostatni. W literaturze interesowała mnie poza donosem policyjnym jedyna tylko sprawa: miłość kobiety do mężczyzny i ich klęska. Nie wiem dlaczego tak się stało: ja sam kochałem się w życiu tylko jeden raz; było to jedenaście lat temu i potem nigdy już nie kochałem nikogo ani przez minutę; mimo, iż bezustannie starałem się stworzyć sobie złudzenia. Wszyscy którzy mnie znają i pamiętają wiedzą, iż literatura przestała interesować mnie naprawdę z chwilą, kiedy rozstałem się z Hanią. Ale Hania nie zostawiła mnie samego: dostałem wtedy przydział na mieszkanie i mając wybór między Starym Miastem i Ochotą, wybrałem Ochotę, ponieważ w domu w którym mieściło się gniazdo mego przyszłego szczęścia rodzinnego, mieścił się również żłóbek dla dzieci; a Hania miała dzieci. Tak więc Hania odeszła, a ja zostałem z dziećmi. Wracałem o piątej rano z knajpy zalany łzami; ale już o siódmej chór świeżych głosów dziecięcych, w sile trzy-

stu osób, budził mnie pieśnią której część tylko pamiętam:

*„Witaj, w codziennym trudzie.
W radosnym zgiełku, w naszych hut płomieniach.
Kraju, radosnych ludzi.
Narodów czynem wznosim dom z marzenia.
Wśród stepów, lasów, bujnych łąk,
Z południa po polarny krąg.
Legł ukochany mój, niepokonany mój,
Narodów stu ojczysty kraj...”*

I dalej w tym stylu. Budziłem się i znów zalewałem łzami; o godzinie ósmej przychodzili do mnie pierwsi goście: koledzy wracający z „Zieleniaka” gdzie zazwyczaj trafiali po godzinie piątej rano, kiedy zamykano już „Kamerę nocną”. Na „Zieleniaku” można było pić na zasadzie *over-time*. Niektórzy z przyjaciół mej młodości przychodzili aby otworzyć przede mną serca, inni, aby zaciągnąć pożyczkę umożliwiającą im dalsze kontynuowanie pijaństwa. Ja siedziałem w pościeli i płakałem; inni pili dyskutując o polityce. Kiedyś Tadeusz Kubiak przyprowadził ze sobą jakiegoś karła, którego kupił na prezent dla swego syna; i poprosił abym przechował u siebie karła do następnej gwiazdki; było to zdaje się w lutym; chodziło o to, aby dzieci Tadzia Kubiaka otrzymały niespodziankę w Wigilię; ale na szczęście karła odkupił od Kubiaka kolega Janicki i odszedł z nim w sobie tylko wiadomym kierunku. Na dole dzieci śpiewały; ja płakałem, a koledzy chodzili do restauracji „Esplanada” mieszczącej się o dwie ulice dalej i przynosili wódkę. Od czasu do czasu przychodził Adam Pawlikowski z jakąś kobietą, która była skłonna dać mu tak zwane szczęście i wyrzucał mnie z mego własnego domu na czas trwania romansu; odchodziłem więc żegnany przekleństwami sąsiadów i chórem dziecięcym. A pewnego dnia kolega Pawlikowski oświadczył mi, iż wstępuje w trwałe związ-

ki małżeńskie; i tak skończyła się historia mego gniazda rodzinnego przy ulicy Częstochowskiej. Otworzyłem wtedy serce przed Poldkiem Tyrmandem oświadczwszy mu, że nie mogę żyć bez Hani. Tyrmand wysłuchał mnie, po czym ze złowieszczym uśmiechem, powiedział:

— Wobec tego została ci tylko zimna stal. Ale spróbuj wyjechać z Warszawy. Jedź gdzieś, gdzie jej nie będzie i spróbuj pisać.

— Ale i tak nic się nie uda — powiedziałem.

Na co Tyrmand znów ze złowieszczym uśmiechem:

— To jest to, czego ci właśnie brakuje. Naucz się pracować z myślą że nie może się udać. Tylko wtedy udaje się coś od czasu do czasu i naprawdę.

I rzeczywiście: nie udało się. Pojechałem do Kazimierza i zabrałem się do pisania opowiadania pod tytułem „Cmentarze”; opowiadanie to zacząłem dwa lata temu.

Siedziałem w Kazimierzu i myślałem o swoim domu przy ulicy Częstochowskiej. Nie czytałem jeszcze wtedy wspaniałego eseju Hostowca pt. „Wronia i Sienna”; ale nasz dom niewiele różnił się od domu, w którym mieszkał Hostowiec. I tam odbywały się straszliwe sceny zadości w których uczestniczyła cała ulica; i tam odbywały się libacje obficie zakrapiane alkoholem; i jak każda szanująca się warszawska ulica mieliśmy swego Złego — był nim niejaki „Lolek-Partyzant”. Lolek-Partyzant był człowiekiem o sile niedźwiedzia. W czasie wojny na skutek niezwykłych perypetii dostał się jakoś do Jugosławii, gdzie walczył w partyzantce Tity. Wrócił do Polski w randze jugosłowiańskiego oficera i obwieszony medalami; po jakimś czasie kiedy Rosjanie zaczęli cholerować się z jugosłowianami, Lolka-Partyzanta poproszono do najbliższego komisariatu i tam kazano mu nie tylko oddać wszystkie medale, które otrzymał za waleczność, ale także podpisać list do swego byłego dowódcy, oświadczający że nie zamierza utrzymywać z nim żadnych stosunków i że uważa go za zdrajcę ruchu robotniczego. Od te-

go czasu Lolek-Partyzant zaczął pić; zarabiał przy tym na pijaństwo w sposób całkiem prosty — brał żelazny łom szedł na róg do znajomego garbusa, który miał kiosk z gazetami i prosił go o postawienie ćwiartki wódki. Garbus odmawiał; Lolek przewracał kiosk wraz z garbusem i teraz proponował garbusowi podniesienie kiosku ale już nie za ćwiartkę, lecz za pół litra. Ponieważ do podniesienia kiosku potrzeba było trzech silnych ludzi; garbus zgadzał się i Lolek-Partyzant podłożywszy żelazny drąg stawiał kiosk wraz z garbusem i zainkasowawszy pieniądze, szedł na wódkę.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego garbus nie zgadzał się na pierwszą propozycję Lolka: na ćwiartkę, lecz twardo obstawał przy swoim iż nie da nic, co w rezultacie kosztowało go dwa razy tyle. Był to niewątpliwie człowiek z tragedii antycznej i chodziło mu o element cierpienia — *catharsis*, który ratowałby jego klęskę od śmieszności. Drugim takim człowiekiem, tj. bohaterem w skali tragedii antycznej, jest Bill, barman z „La Bohème”. Bill był amerykańskim żołnierzem i będąc stałym klientem „La Bohème” robił tam najwięcej awantur w których zawsze zwyciężał. Właściciel „La Bohème”, genialny Tony, wpadł na pomysł zaiste szatański: kiedy Bill odsłużył swoje, zaproponował mu posadę barmana, na co Bill zgodził się, gdyż w międzyczasie ożenił się był ze śliczną paryżanką. Ale będąc barmanem, nie może bić gości; wręcz przeciwnie: musi ich uspokajać i rozdzielać i nawet nie wolno mu kopnąć gościa w piszczel. Często kiedy siedzę w „La Bohème” i widzę bójkę i wkraczającego w krąg walczących Billa, myślę, patrząc na jego twarz, co musi dziać się w duszy tego człowieka; myślę o jego piekielnym pragnieniu przyłączenia się do walczących. Jest to najbardziej tragiczny człowiek którego znam.

Na ulicy Częstochowskiej moim bankierem, opiekunem moralnym i doradcą był stróż mający trzech synów. Byli to chłopcy mili i spokojni. Natomiast osobą strasz-

liwą była ich matka mająca stałe kłótnie i zatargi z sąsiadami; synowie musieli regulować te sprawy i dlatego nigdy nie siedziało ich trzech przy stole; jeden z nich bywał zwykle gościem Wymiarów Sprawiedliwości. Dzieci kochały swoją matkę; i gdy matka wpadała z rozwianym włosem i oczami miotającymi błyskawice, krzycząc: „Tadek, niech teraz zapłacze matka Kwiatkowszczków!”... Tadek wstawał od stołu i biorąc od najstarszego brata pamiątkowy nóż sprężynowy wylatywał na ulicę. Tadek był najmłodszym synem w rodzinie i jako taki najczęściej musiał regulować waśnie rodowe przy ulicy Częstochowskiej. Kiedyś wraz z moim stróżem i jego rodziną poszliśmy na sprawę sądową Tadeka. Prokurator ciskał gromy a Tadek wykonywał uspakajające gesty w stronę matki krzycząc od czasu do czasu przejmującym szepem:

— Mama nie pęka! Ja go zaraz rozłożę!

Wszystko to są sytuacje z Wiecha. Jest wielkim nieporozumieniem, iż Wiecha uważa się za felietonistę; w rzeczywistości jest to największy nowelista i pisarz obyczajowy. Jego niektóre opowiadania są genialne; o tych dwóch złodziejach, którzy pokłócili się przy podziale zysków; o „Aniele dobroci” czyli najspokojniejszym sublokatorze przy ulicy Rybaki; o amerykańskim Tatersalu konnej jazdy figurowej przy ulicy Dzikiej, pod fachowym kierownictwem pana Heńka Szpagata; i o panu Mońku Alfabcie — największym Donzuanie przy ulicy Twardej. Pisząc powyższe zdaję sobie sprawę, iż nie wyjawiam nieznanych dotąd spraw natomiast jest jedna rzecz której — mimo że sam jestem warszawiakiem urodzonym na Powiślu — nie rozumiem: czy Warszawa mówi tak jak pisze Wiech; czy też Wiech pisze tak jak mówi Warszawa. Pamiętam, że wszyscy nasi kierowcy z Metrobudowy, WSS, MHD i niektórzy warszawiacy z Pagedu kupowali „Ekspress Wieczorny” tylko po to, aby dowiedzieć się o aktualnych kłopotach Gieni, szwagra Piekutowszcza i Walerego Wątróbki. Wiech przestał być

wielkim pisarzem obyczajowym i stał się felietonistą; ale stało się to już po wojnie kiedy sam Wiech powiedział: „To nie ja zmieniłem Piekutowszcza. Piekutowszcza zmieniła historia”. I rzeczywiście: po wojnie szwagier Piekutowszcza przestał być „wychowawcą monopolowym” a stał się zwolennikiem kefiru; z racjonalisty stał się pozytywistą; z cwaniaka — dialektykiem. Przestał posługiwać się rozumem; miast tego zdobył wiedzę o tym, jak należy myśleć o różnych sprawach. I tak umarł najzabawniejszy człowiek Warszawy.

Przez długie lata szukałem pisarza, który zastąpiłby mi Wiecha z okresu Nalewek, Smoczej i Dzikiej. Znalazłem go wreszcie: jest nim Damon Runyon. I on także stworzył galerię postaci podobnie jak u Wiecha i mówiących osobliwym żargonem przedmieść Nowego Yorku. Jest tam Harry-Koń, człowiek który tak długo grał na wyścigach aż sam upodobił się do konia; Hiszpański John — przestępca; Wielki Rzeźnik — rozpruwacz kas. Kiedy mieszkałem w pewnym hotelu w Tel-Awivie, niektórych jego mieszkańców nazwano już Hiszpańskim Johnem, Wielkim Rzeźnikiem i Harry-Koniem. Został tylko jeden wakat — dla mnie. Tak więc, z powodu mego rzucającego się nachalnie w oczy semickiego wyglądu nazwano mnie „Little Isadore”. W ten sposób byliśmy wszyscy w komplecie. Wszystkie te postacie, tak jak bohaterowie Wiecha, mają podobne kłopoty, podobne radości i smutki. Kiedy Harry-Koń, Hiszpański John i mały Izidor przychodzą do Wielkiego Rzeźnika z propozycją aby im otworzył kasę, ten odmawia: jest właśnie szczęśliwym ojcem sześciomiesięcznego dzieciaka a żona jego poszła do teściowej i nie wróci na noc. Po długich naradach postanawiają wziąć dziecko ze sobą; tak więc kiedy Wielki Rzeźnik boruje kasę pancerną, jego kumple zabawiają dzieciaka dając mu do zabawy piły i świdry; Mały Izidor przez pomyłkę dał mu nawet — miast butelki ze smoczkiem — butelkę z nitrogliceryną. I tam również jak u Wiecha znajdujemy tę samą sytuację: lu-

dzi przedmieścia siedzących przed domami na krzesłach i gapiących się na siebie. „U nas, na Targówku to przyjęte” — powiada jeden z bohaterów Wiecha. Damon Runyon: „*In fact, everybody in the neighbourhood is sitting out on the front stoops over there, including women and children, because sitting out on the front stoops is quite a custom in this section*”. Broń — rzecz jak wiadomo niezwykle delikatna — zwana jest przez Polaków „gnat”, „spluwa”, „kopyto”, „rozdzielacz” i tak dalej. Amerykanie występujący w opowieściach Runyon’a ujmują rzecz jeszcze bardziej delikatniej, ale o wiele precyzyjniej: „wielki wyrównywacz”. Deportowani z Ameryki sycylijscy gangsterzy, dziś już starsi panowie, do których barmeni i knajpiarze mówią *commandatore*, powiedzieli mi, że nazwa „wielki wyrównywacz” datuje się od czasu działalności osobnika zwanego Baby Face Nelson który cierpiał szalenie z powodu swego niskiego wzrostu i dziecięcej twarzy i który doszedł do wniosku, że tylko trzymany w rękę Cobra 38 czyni go równym w stosunku do partnera rozprawy czy też interlokutora.

Wszyscy trzej synowie mego dozorczy byli tak zwanymi „mistrzami bata” podczas gdy ja niegdyś byłem „mistrzem kierownicy” i to zapewne zbliżyło nas w jakiś sposób intelektualnie. Paweł Hostowiec w swym eseju o Wroniej i Siennej pisze również o przedstawicielach świata podziemnego, działających w tamtych okolicach; także i po wojnie ta właśnie część Warszawy była najbardziej bandycka, bardziej bandycka od przodującego w tej dziedzinie Marymontu i Woli. Działo się to z prostego powodu: jak wiemy część ulicy Towarowej zajmuje Warszawa Główna Towarowa, czyli po prostu towarowy dworzec rozładunkowy; okolice ulicy Towarowej — w latach do roku pięćdziesiątego — pełne były jeszcze prywatnych stajen, których właściciele pracowali na tak zwanej „szesnastej i siedemnastej obwodowej” oraz „pierwszej i drugiej węglowej” wykonując prace przewozowe i rozładunkowe dla takich firm jak Państwo-

we Przedsiębiorstwo Budowlane lub Metrobudowa. Aby użyć tu najbardziej określonego i wyświechtanego określenia: było to gniazdo korupcji.

Teraz trzeba opisać jak to odbywało się naprawdę. Każda z firm transportowych miała na „szesnastej i siedemnastej obwodowej” czy też na „węglowej” swego ekspedytora, który czuwał, aby wagon z towarem przeznaczonym dla jego firmy został wyładowany w przeciągu sześciu godzin, gdyż taki był limit ustalony przez Polskie Koleje Państwowe; jeśli wyładunek trwał dłużej, dana firma musiała płacić Kolei odszkodowanie. W owych latach nie mieliśmy jeszcze wystarczającej bazy transportowej; trzeba było angażować prywatnych przewoźników, którzy podstawiali swego konia i furmana. Jak jednak rozładować „w limicie” wagon o zawartości trzydziestu ton, jeśli na platformę konną nie można załadować więcej jak cztery lub pięć ton a punkt rozładunku mieści się przypośmy na Bielanach? Proste: do ekspedytora danej firmy przychodzi prywatny przedsiębiorca i częstuje go paczką „Giewontów”. Ekspedytor — mąż zaufania danej firmy — w milczeniu sięga po papierosa; spod pudełka wyciąga stu złotowy banknot. Obaj panowie rozchodzą się w milczeniu. Ekspedytor idzie z kolei do kierownika szesnastej lub siedemnastej obwodowej i częstuje go paczką „Giewontów”; przedstawiciel PKP sięga po papierosa i wyciąga spod paczki banknot pięćdziesięciozłotowy, na którego brzegu napisany jest numer wagonu, który zamiast sześciu godzin musi postać piętnaście. Następnie przedstawiciel PKP w liście przewozowym stawia stempel i podpis stwierdzający, że wagon należący do węzła kolejowego X numer Y został dnia takiego a takiego „rozładowany w limicie”. Wieczorami, w którejś z prywatnych stajen w okolicach Wrocławia i Siennej, urządzano libację w której brali udział: prywatny przedsiębiorca, mąż zaufania danej firmy czyli ekspedytor, przedstawiciel PKP i tajniacy z milicji. Po czym szło się na Złotą pod trzydziesty siódmy gdzie mie-

szkały trzy prostytutki i tam kontynuowano pijaństwo łącząc je jednocześnie z uciechami cielesnymi.

Znam te sprawy dobrze, ponieważ przez krótki czas byłem ekspedytorem firmy „Metrobudowa”; zarabiałem wtedy dziennie po tysiąc, lub tysiąc pięćset złotych; moje oficjalne wynagrodzenie nie przekraczało siedmiuset złotych przy pracy dwunasto, czternastogodzinnej. Nie ma dziś na świecie człowieka, który byłby w stanie obliczyć straty poniesione przez Polskie Koleje Państwowe; są to, przypuszczam, sumy miliardowe, wynikające z faktu przestoju wagonów. Jest to skutek planowania odgórnego. Potem, niestety odwołano mnie ze stanowiska ekspedytora, a wkrótce zburzono także ostatni prywatny burdel przy ulicy Złotej: na tym miejscu rozciągają się dziś obszary należące do Pałacu Kultury i Sztuki.

Myślałem o tym wszystkim siedząc w Kazimierzu i pisząc swoje opowiadanie „Cmentarze”. Do czasu Hani wszystko było dla mnie proste, ponieważ interesowałem się tylko sprawą mężczyzny i kobiety; to było dla mnie ważne i tragiczne. Ale potem nagle wszystko zaczęło być dla mnie groteskowe; zrozumiałem, że nie można napisać prawdziwego opowiadania o totalizmie, które byłoby tragiczne; i do dziś nie wierzę w możliwość takiej literatury. Człowiek wkraczający w bramy niemieckiego obozu koncentracyjnego wiedział, iż istnieją tylko dwie możliwości wydostania się stamtąd. Pierwsza droga prowadzi przez komin krematorium obozowego; druga, to ewentualne wkroczenie wojsk alianckich czy też sowieckich sokołów. Ale od początku do końca osoby dramatu pozostają te same: kat pozostaje katem: ofiara ofiarą; dozorca niewolników do końca swej kariery nie wypuści bata z ręki. Człowiek wkraczający w bramy sowieckiego więzienia nie wie nic. Być może zostanie jutro rozstrzelany; być może odsiedzi dziesiątka i odczytają mu następny wyrok opiewający na lat piętnaście; ale być może stanie się i tak, że partia w międzyczasie zmieni taktykę i ofiara stanie się z kolei katem a jego dotychczasowy

oprawca będzie pełzał przed nim na kolanach, błagając go o paczkę *sierawo*, dopóki nie zostanie skierowany na oddział dla *dachadiagów*. Elementy tragedii zostały tu zachwiane; wyrok śmierci może zamienić się z mandat władzy, ofiara w kata; miejsce męczarni miejscem odwetu. I brakuje tu elementu *catharsis*: nie może go stanowić świstek z NKWD, stwierdzający, iż człowiek którego zabito strzałem w tył głowy przed dwudziestu laty, został zabity na podstawie fałszywych oskarżeń i fałszywych zeznań.

W książce Herlinga-Grudzińskiego czytamy o aktorze, który grając w jakimś filmie historycznym rolę bojarę przesadził w szlachetności i dostał dziesiątaka ponieważ szarżę aktorską wypaczył ideologiczną linię filmu. Po jakimś czasie do obozu, w którym siedzi nieszczęsny aktor, przychodzi tenże właśnie film: aktor — wyniszczony głodem widmo — ma możliwość oglądania samego siebie w sytuacji jakże odmiennej od obecnej. Siedzi bowiem za carskim stołem i wznosząc ciężkie od wina puchary obzera się bażantami. Jeśli nawet historia ta nie jest prawdziwa jest ona prawdziwym zmyśleniem. Absolutna bezradność pisarzy piszących o totalizmie polega na tym, iż prawdy przez nich napisanych nikt nie jest w stanie przyjąć.

W filmie Orsona Welles'a „The Trial” widzimy bohatera Józefa K., błakającego się po Pałacu Sprawiedliwości. Pałac ten stanowi zlepek rozmaitych stylów architektonicznych: jest tam kawałek baroku, kawałek budownictwa współczesnego, kawałek gotyku; po czym idący przez zakurzone korytarze Józef K. znajduje się ni stąd ni zowąd w poczekalni dworca Gare St-Lazare. Jako całość Pałac Sprawiedliwości jest idiotyzmem; dziwię się, że żaden z krytyków filmowych nie zwrócił uwagi na ten właśnie element filmu, stanowiący w zasadzie klucz do tego w jaki sposób Orson Welles chciał pokazać Kafkę. Jest to fantastyczna brednia którą ludzie uważają za Pałac Sprawiedliwości; nie mająca sensu, stylu i jasności:

księga praw, do której zagląda raz Józef, jest zbiorem pornograficznych fotografii.

Wtedy, w Kazimierzu, pomyślałem sobie: a cóż by się stało, gdyby napisać opowiadanie oparte tylko i wyłącznie na autentycznych faktach i zdarzeniach, posługując się fragmentami przemówień i po prostu — jak w opowiadaniu jednowątkowym — przeprowadzić bohatera przez to wszystko. Czy uda się tego rodzaju opowiadanie; i czy ludzie którzy sami przez tyle lat widzą to wszystko, uwierzą po prostu w fakty, które z chwilą w której zamienione zostaną w opowiadanie siłą rzeczy staną się fikcją; czy ci ludzie uwierzą w to? Rażno zabrałem się do dzieła; pojechałem przede wszystkim do Warszawy i zacząłem czytać „Nowe Drogi”.

Chciałem przy okazji odszukać Edwarda Bernsteina; wszedłem do bursy w której niegdyś mieszkał i idąc korytarzem usłyszałem dźwięki gitary i następującą pieśń:

*„List mi przysłałaś pewnego ranka,
Z bukietem białych róż.
A w tym liście, mi napisałaś,
Że masz mnie w dupie już...”*

Zafascynowany dramatyzmem i prostotą pieśni zapukałem do drzwi i wszedłszy zobaczyłem dwóch moich kolegów, aktorów ze szkoły teatralnej. Jeden z nich siedział na łóżku trzymając gitarę; drugi z twarzą pełną posępnej zadumy zamarł na środku pokoju w pozie umierającego łabędzia. Zapytałem o co chodzi.

— Robimy przeżycie — powiedział człowiek z gitarą. — Na egzaminach dają nam dowolny temat, ale trzeba scenę zagrać aktorsko. W tym wypadku treść pieśni stanowi scenariusz. A teraz zobacz.

Usiadłem na łóżku obok gitarzysty; gitarzysta wstał i wyszedłszy na korytarz począł pukać do drzwi. Umierający łabędź położył się w międzyczasie na łóżku i nie reagował na pukanie. Dopiero kiedy tamten zaczął walić

pięścią w drzwi, łabędź poderwał się i chwilę patrzył przed siebie nieprzytomnie. Następnie zaczął szukać nocnych pantofli; szukał ich przez chwilę, wreszcie — nie zapominając o tym że jest człowiekiem zaspanym — podszedł do drzwi na bosaka i otworzył je. Gitarzysta podał mu coś; to był ów list z wiązką róż. Twarz zaspanego rozjaśniła się; otrzymał róże od ukochanej więc sytuacja jest jasna: ona go kocha, ona go pożąda, ona mu rankiem przysłała róże. Teraz trzeba dać napiwek listonoszowi; zakochany przeszukuje kieszenie portfela, ale bezskutecznie ponieważ z rozpaczy wszystko przepił ostatniej nocy. Sadza listonosza na honorowym miejscu przy stole i idzie do sąsiadów pożyczyć pieniądze; z sąsiadami nie rozmawiał już wiele lat na skutek jakiejś waśni; ale wszystko to okazuje się błahe wobec dowodów uczucia ukochanej kobiety. Pożycza wreszcie dziesięć złotych, daje je listonoszowi i listonosz wychodzi. Teraz oczywiście trzeba załatwić sprawę róż; bierze więc wazon ale ponieważ wciąż jest zaspany, potyka się o dywan i z wazonu zostaje kupa skorup. Znow — tym razem z różami w ręku idzie do sąsiadów — i tłumacząc im coś pełnym szczęścia bełkotem, pożycza od nich ohydny kryształowy puchar; puchar ten jest jednak pamiątką pana domu, którą otrzymał jeszcze w czasach „Strzelca” jako wyborowy żołnierz, czy coś takiego; pertraktacje trwają długo, ale ponieważ były piłsudczyk jest człowiekiem romantycznym, pożycza mu wreszcie wazon i szczęśliwy kochanek wsadza tam róże. Jest podniecony; siada na fotelu i zapalając papierosa patrzy na leżący przed nim nieotwarty list; ale jest zupełnie pewien, że list ten zawiera słodkie i pełne upojenia słowa. Popada nawet w zadumę; myśli o tych wszystkich nocach, które przełaził pod oknem ukochanej; o jej mężu który nie chciał dać jej rozwodu; o tych wszystkich chorobach które w kręgach wojskowych zwą się „grypą z komplikacjami” a które leczy się za pomocą antybiotyków i sulfamidów. Chorób tych oczywiście nabawił się po pijanemu kiedy rozpacz pchała go w obje-

cia cór Koryntu. I tak siedzi patrząc na list i odwlekając chwilę otwarcia. Wreszcie niedopałek papierosa parzy go w palce i tym samym doprowadza do przytomności; gasi niedopałek i stanowczym ruchem otwiera list, w którym zawarte są owe fatalne słowa. Odwraca twarz do tyłu; rękę zaciska na kolecach róży. Koniec.

— Gramy według Stanisławskiego — wyjaśnili. — Wszystko jest w tej scenie: miłość, nadzieja, rozpacz. Ale na egzaminie zmienimy słowa „I mam cię w dupie już” na „że ze mną zrywasz już”. To oczywiście nie jest to samo, ale cóż można zrobić. A teraz zagramy tę samą scenę według Strassberga i Kazana. Mietek, zaczynaj!

Tym razem gitarzysta położył się na łóżku a tamten zaczął pukać. Gitarzysta nie reaguje na pukanie; paląc papierosa patrzy w sufit i wybija takt bosą nogą o poręcz łóżka. Po jakimś czasie tamten zaczyna walić pięścią.

Gitarzysta: — Przynosisz mi forse?

Listonosz: — Nie, róże.

Gitarzysta: — Powiedzieli ci, że wykorkowałem? Zostaw róże u ciecia.

Listonosz: — Mietek, zmiłuj się, w Stanach nie ma cieci.

Gitarzysta: — Połóż je pod drzwiami.

Listonosz: — Musisz podpisać.

Gitarzysta wstaje i podpisuje; róże rzuca na stół i zaczyna sobie robić śniadanie, nie patrząc przy tym ani na leżące róże, ani na list. Ale z twarzy jego widzimy, że jest człowiekiem przegranym; pijąc kawę poczyną obrywać listki róż, po czym — kiedy róże wyglądają już jak żywe trupy z Bergen-Belsen — otwiera list. Wtedy z twarzy jego znika przygnębienie; zaczyna się śmiać. Następnie bierze szkielety pozostały po różach i patrzy na nie w zadumie.

Gitarzysta: — To był mój błąd. Mogłem je posłać Heli. Hela ma znajomego zegarmistrza w Paryżu, u którego mógłbym kiedyś zanocować kiedy tam będę. — Zamyśla się przez chwilę; po czym mówi: — Zupełnie za-

pomniałem, że Hela jest moją żoną od dwóch lat, teraz wyjechała na wczasy a te róże dostałem od kobiety, z którą nawiązałem romans tydzień temu.

Następnie zapytano mnie która z koncepcji odpowiada mi bardziej; powiedziałem, że nie widzę żadnej różnicy w tej całej sprawie i w ogóle nie wydaje mi się to prawdopodobne; kobiety, które zrywają, nie inwestują lekkomyślnie pieniędzy w bukiety róż. W najlepszym wypadku możemy liczyć, iż kobieta która wychodzi akurat za mąż za bogatego ogrodnika podwarszawskiego, napisze nam list, iż postanowiła odejść od nas aby nie łamać nam życia; ale i to wyjście wydaje mi się mało prawdopodobne. Adolf Rudnicki napisał, że łatwość kobiet stała się piekłem nas wszystkich; nie widziałem w tym co prawda powodu dla osobistej udręki, ale poradziłem im, aby przeczytali Rudnickiego. Kiedy wreszcie spytałem o Edwarda, okazało się, że wyrzucono go już ze szkoły przed dwoma laty i nikt nie wiedział gdzie przebywa obecnie.

Znów wróciłem do Kazimierza; pamiętam, iż idąc o świcie Krakowskim Przedmieściem w kierunku Alej zobaczyłem przed pomnikiem jakiegoś człowieka rzucającego pękiem kluczy w gołębie siedzące na pomniku tego co wstrzymał słońce a poruszył ziemię. Ten sposób polowania nie był mi dotąd znany; podszedłem tam i zobaczyłem, iż samotnym myśliwym jest Paweł Minkiewicz. Przez chwilę obserwowałem jego działalność, po czym zapytałem:

— Pawle, czego chcesz od tych nieszczęsnych ptaków.

Paweł wyjaśnił mi, że znalazł się w katastrofalnej sytuacji materialnej i jeśli nie upoluje ptaka, to nie będzie jeść dziś obiadu. Wzruszony losem samotnego myśliwego zaproponowałem mu wspólne spożycie śniadania w bufecie Dworca Warszawa-Główna; myśliwy zgodził się. Pamiętam ich wszystkich — Mietka, Zdziśka Maklakiewicza, Miskę Stanielewicza, Poldka Tyrmanda i tego akto-

ra, który wchodząc do prywatnych sklepów na Chmielnej podchodził do właściciela zakładu i tragicznie przyciskając do serca prawicę, mówił:

— Daj stówe. Artycha ginie!

Trudno mi teraz myśleć o nich; nie wiem, czy umiałbym mówić z nimi dzisiaj tak, jak mówiliśmy z sobą kiedyś. Najstraszniejszą rzeczą jest u mnie zupełny brak tęsknoty za Polską, i kiedy obecnie pytam siebie: czym jest dla mnie Polska? — nie umiem odpowiedzieć sobie na to pytanie inaczej jak, że jest to dziesięciu czy piętnastu ludzi, z którymi łączyła mnie przyjaźń. Niewiele umiałbym napisać o moich równieśnikach bawiących się w pisanie; oni całe życie uważali mnie za kabotyńca; ja zaś z kolei nie bardzo wiedziałem o czym mam z nimi mówić gdyż interesowały nas inne sprawy i dzieliły różne doświadczenia. Ale przez te całe lata myślałem, że właśnie tych kilku czy też kilkunastu ludzi stanowi dla mnie Polskę; ale i to okazało się złudzeniem. Kiedy ogłosiłem w „Kulturze” pierwszy odcinek swych denuncjacji, spotkałem jednego z mych najlepszych przyjaciół i najinteligentniejszych ludzi, który, po przeczytaniu pierwszego odcinka, powiedział mi:

— To jest całkiem zabawne. Tylko to jest Polska à la James Bond. Takiej Polski nie ma.

Człowiek ten nie był nigdy ani komunistą, ani sympatykiem komunizmu; nie był nigdy oportunistą i przez całe życie borykał się z przeszkodami których mu nie szczędzono, zarzucając mu raz gusty drobno-mieszczańskie, raz pornografię; kiedy indziej surrealizm a kiedy indziej profanowanie zdobyczy klasy robotniczej. Cóż mogę na to odpowiedzieć? Nic, poza jednym: to ja wymyśliłem nędzę w Polsce, to ja wymyśliłem sprawy policji politycznej; to ja wymyśliłem skrytobójcze i jawne mordy; to ja wymyśliłem fakt, że przez dwa lata byłem szantażowany przez policję; to ja wymyśliłem likwidację „Po Prostu”; i te wszystkie rzeczy o których wspominałem; a uczyniłem to tylko dlatego, aby redaktorowi

Jerzemu Giedroyciowi umilić przyjemne spędzanie wieczorów. Ale myśląc, że Polska to dla mnie tych kilkunastu ludzi, myślałem jak idiota; nie przewidziałem atrofii. I nie przewidziałem tego, ja, pilny czytelnik Dostojewskiego, że nędza jest rzeczą wstydliwą; być może nawet najbardziej wstydliwą.

Ci wszyscy chłopcy z którymi ja zaczynałem, wiedzieli, że jest fatalnie, ale czekali przez lata aby móc napisać jeden wiersz, jedno opowiadanie; aby móc namalować jeden surrealistyczny obraz czy też wystawić rzeźbę niepodobną do niczego. Ale byli to wszystko ludzie, którzy wbrew faktom i wbrew wszystkiemu co działo się dookoła, usiłowali zachować wiarę, że nadejdzie chwila, w której wolno będzie powiedzieć: nie. My, łysiejący już, i nie piękni, i nie dwudziestoletni, mieliśmy tych parę kroków w słońcu; jedni z nas zrobili to gorzej, drudzy lepiej; nie powstały w tym czasie dzieła o wielkiej wartości, ale być może przydadzą się one przyszłym kronikarzom jako dowody nędzy i nieudolności i jako dowody niemocy człowieka żyjącego w koszmarze nie znajdującego w sobie siły, aby to wyznać. Ale jak powiedziałem: byli to ludzie, którzy wierzyli, że wolno im będzie powiedzieć tylko to jedno najważniejsze w życiu każdego człowieka słowo: nie.

Kiedy dzisiaj spotykam ludzi pięknych, dwudziestoletnich i rozmawiam z nimi, przeraża mnie jedno: wszyscy oni wiedzą, że w Polsce jest źle; wszyscy nie mają złudzeń co do tego, że Polska jest krajem okupowanym; natomiast nikogo z nich to specjalnie nie interesuje. Jedną z najładniejszych dziewczyn, jaką ostatnio spotkałem chce zostać inżynierem od mózgow elektronowych; inny piękny, dwudziestoletni, studiuje archeologię śródziemnomorską; jeszcze inny jest inżynierem-metalowcem. Żaden z nich nie chciał być ani pisarzem, ani malarzem, ani rzeźbiarzem; żaden z nich nie czeka już na dzień, w którym wolno będzie mu powiedzieć: nie. Jeśli urywa się na Zachód malarz, pisarz, czy reżyser czekają go lata

udręki, i dorywczych prac; noce spędzone w brudnych hotelach; kobiety które płacą; i właściwie nie znam wypadku — poza Miłozsem — aby proces deklasacji społecznej nie towarzyszył zawsze artyście uciekającemu spoza Żelaznej Kurtyny. Ci nowi piękni, dwudziestoletni nie będą już mieć tych problemów: po wybraniu azylu dalej będą lekarzami, inżynierami, czy Bóg wie zresztą czym. Nie grozi im ani nędza, ani głód, ani tęsknota za krajem, który zostawili, i który nie sprawiał im cierpienia. I to są ci nowi piękni, dwudziestoletni.

Ale wtedy, w Kazimierzu nie myślałem jeszcze, że nastąpi czas atrofii. Jak powiedziałem: nie było Hani a ja wziąłem się za nie swoje rzeczy. Napisałem opowiadanie „Cmentarze”; opowiadanie dziecinne i nieudane; ale postanowiłem zbudować je na faktach autentycznych, gdyż jeszcze wtedy nie wiedziałem, że w prozie liczy się nie fakt, a tylko prawdziwe zmyślenie. Fakty te w prozie okazały się niemożliwe do wykorzystania; historia z psem „Sambą” jest autentyczna; przemówienie, którego słucha bohater opowiadania, jest przemówieniem Romana Werfla, przepisany z „Nowych Dróg”; historia którą opowiada wysoki oficer policji politycznej — o majorze i sabotażystce — jest historią usłyszaną przez mnie od pułkownika Jacka Różańskiego; historia rzeźbiarza, który rzeźbi posągi Wielkiego Nauczyciela przeznaczone do prywatnej strzelnicy, jest historią prawdziwą i znaną całej Warszawie; historia z dzieckiem które mieszka w na pół zrujnowanym domu i które wychodząca do pracy matka przykuwa łańcuchem do łóżka aby nie spadło ze zdewastowanych schodów, jest pokazana w filmie dokumentalnym zrobionym bodajże przez reżysera Jerzego Bossaka; historia o dziewczynie która specjalnie zaszła w ciążę z gruźlikiem-komunistą aby w ten sposób dać mu siłę do życia, i który odchodzi kiedy dowiaduje się, iż ojciec dziewczyny jest politycznie niepewny, zdarzyła się w rodzinie moich przyjaciół; sam fakt zastraszenia pijanego bohatera przez policję insynuującą mu wypowiedzi

antypaństwowe jest historią znaną mi najlepiej, gdyż w ten prosty sposób Policja werbowała nowych informatów — ale wszystkie te fakty razem nie zdały się na nic. I przypuszczam, że nawet gdyby na tych samych faktach zbudował opowiadanie pisarz lepszy ode mnie — i wtedy również nie uwierzono by w to, co się codziennie widziało, słyszało i o czym mówiło się szeptem. Słaba książka Koestlera „Ciemność w południe”, którą pozwolę nazwać sobie sentymentalnym wykładem totalizmu, roi się od bredni o czym już pisałem. Niemniej jest to zmyślenie prawdziwe: Rubaszow rozmawia ze swoim pierwszym sędzią — Iwanowem, który jest jego przyjacielem z lat Rewolucji Październikowej: Iwanow nawet zbyt się nie wysila aby przekonać Rubaszowa, iż zostanie skrócony o głowę dla dobra partii. Iwanow powiada: „Co roku miliony ludzi giną z głodu, na skutek chorób, na skutek powodzi i klęsk żywiołowych — dlaczego nie mielibyśmy zabić ileś tam tysięcy ludzi, jeśli przyjmemy iż podejmujemy eksperyment mający na celu uszczęśliwienie ludzkości”. Skoro argumentacja Iwanowa nie zdaje się na wiele, miejsce Iwanowa zajmuje Gletkin — młodszy komunista, dziecko Rubaszowa, ale porozumienie ojca z dzieckiem okazuje się niemożliwe. Jeżeli ta powieść posiada jakąkolwiek wartość, to polega ona na konflikcie Rubaszow-Gletkin; ale tylko dlatego, iż jest to wątek literacko-tradycyjny; to jest po prostu zagadnienie tych niepotrzebnych, którzy muszą odejść. Pisząc o „Dzikich Palmach” Hostowiec zauważa, że gdyby tę książkę traktować jako dokument życia amerykańskiego człowieka, czytelnik musiałby dojść do wniosku, że pieniądź jest najrzadszą i najtrudniejszą rzeczą do zdobycia w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w najbogatszym kraju na świecie; niemniej jest to książka stanowiąca zmyślenie prawdziwe. W innej książce Faulknera człowiek stoi tyłem do zachodzącego słońca a jego rozmówca mówi cały czas do jego cienia padającego w przeciwną stronę; w jeszcze innej książce tego samego autora,

bohater walczy samotnie z krokodylami tylko po to, aby wyżywić kobietę która rodziła na jego oczach i do której nie ma nawet ochoty zbliżyć się; po czym — uratowawszy dwoje ludzi — dostaje dodatkowe dziesięć lat więzienia gdyż jego nieobecność w więzieniu przeciągnęła się a w regulaminie więziennym nie są przewidziane powody, które pozwalają więźniowi na oddalanie się od miejsca swego cierpienia. Jeszcze inny bohater tej samej opowieści zostaje skazany na dziewiędziesiąt dziewięć lat więzienia tylko dlatego, iż bał się konfrontacji z histeryzującą kobietą. I to jest to, co możemy nazwać zmyśleniem prawdziwym.

W tym czasie wielu ludzi mówiło, iż tylko jeden człowiek byłby w stanie pokazać koszmar naszych czasów. Nie wierzę w to; Fiodor Michajłowicz Dostojewski był wizjonerem i wszystko to już dawno opisał w ósmym rozdziale „Biesów” pod tytułem „Iwan Carewicz”. Nie mogę oprzeć się pokusie, aby zacytować to co mówi do Mikołaja Stawrogina Piotr Stiepanowicz Wierchowieński wyjaśniając Stawroginowi program Szigalewa, który jest teoretykiem grupy rewolucjonistów, zorganizowanej przez Wierchowieńskiego.

Piotr Wierchowieński: „Tam u niego w zeszycie — sama prawda. Tam — szpiegostwo. U niego każdy członek społeczeństwa pilnuje drugiego i ma obowiązek denuncjować go. Każdy należy do wszystkich i wszyscy do każdego. Wszyscy są niewolnikami równymi w niewolnictwie. W wyjątkowych wypadkach — oszczerstwo i zabójstwo. Lecz zawsze równość. Zaczyna się od znizienia poziomu wykształcenia, wiedzy, talentów. Wysoki poziom wiedzy i talentów dobry jest tylko dla uzdolnionych. Nie trzeba ludzi uzdolnionych. Bardziej uzdolnieni zawsze zdobywali władzę i byli tyranami. Nie mogli nie być tyranami. Więcej deprawowali niż przynosili korzyści. Tam, w dziele Szigalewa, wypędza się ich i skazuje na śmierć. Cyconowi odcina się język, Kopernikowi wykłuwa się oczy, Szekspira zarzuca się kamieniami. Oto

jest Szigalewszczyzna. Niewolnicy muszą być równi. Nie było nigdy ani wolności ani równości bez despotyzmu, lecz w stadzie musi być równość. I to jest Szigalewszczyzna. Cha, cha, cha. Pan się dziwi. Jestem zwolennikiem szigalewszczyzny”.

I dalej: „Od dziś hasłem kuli ziemskiej będzie: potrzebne jest tylko to, co jest niezbędne. Potrzebne są jednak i dreszcze, a o tym pomyślimy my, władcy. Całkowite posłuszeństwo, całkowite zabicie jednostki, lecz raz na trzydzieści lat Szigalew puszcza dreszcze a wtedy jedni zaczynają pożerać drugich; tylko do pewnych granic, byle nie nudził się tłum; nuda jest uczuciem arystokratycznym. W szigalewszczyźnie nie będzie pragnień. Pragnienia i cierpienia — dla nas; dla niewolników — szigalewszczyzna”.

Po roku pięćdziesiątym szóstym ulubionymi autorami w Polsce stali się tacy pisarze jak Jonesco i Beckett, nie mówiąc już o Kafce czy Gombrowiczu. Nikt nie chciał już literatury tragicznej; to mogło skończyć się niedobrze dla piszących, gdyż obierając sobie jeden z najbardziej niemoralnych zawodów jakim jest pisarstwo, człowiek zobowiązany jest chociażby w minimalnym stopniu orientować się czy żyje w piekle, czy też w krainie uśmiechu. Wobec tego rzucono się na Gombrowicza; „Ferdydurke” stała się tym, czym dla Dostojewskiego w czasie jego katongi była Biblia: jedyną książką którą wolno czytać było więźniom politycznym. Tak więc powiedziano: upupiono nas. O tym, że miliony ludzi zginęły w obozach i więzieniach dowiedziano się dopiero od Chruszczowa; przedtem wszystko było O.K. Inżynierowie dusz ludzkich nie wiedzieli tego co wiedział każdy człowiek na ulicy; każdy robotnik i każdy nie należący do nowej klasy uprzywilejowanych. Ucieczka w śmieszność i w groteskę stała się jedyną możliwością uniknięcia śmieszności: lepiej być błaznem grającym przed pełną salą niż Hamletem przemawiającym do pustych krzesel.

W jednym z opowiadań, drukowanych w tym okresie, spotykamy następującą sytuację: koniec świata, zostało tylko dwóch mężczyzn, którzy przez cały czas dręczą się wzajemnie; wreszcie jeden z nich wiesza się z obawy, iż drugi go zadenukuje; nie interesuje go to, że nie istnieje już ani świat, ani więzienia, ani policja polityczna.

Również literatura rosyjska przemycana na Zachód ratuje się śmiechem. W książce Terca, pisarza radzieckiego, którego czeka teraz przykry okres abstynencji, spotykamy następującą scenę: młody człowiek, przesłuchiwany jest przez sędziego śledczego, powiada: „Rozmawiajcie ze mną grzeczniej. Jestem tylko oskarżony a nie skazany”. Sędzia podprowadza go do okna skąd rozciąga się widok na olbrzymi plac i przechodzących ludzi. „Ci tam w dole, są oskarżeni — powiada sędzia. — Ale ty jesteś już skazany”.

W innym opowiadaniu innego radzieckiego pisarza, piszącego pod pseudonimem Arżak, występuje chłopak, który twierdzi, że potrafi zapładniać kobiety w ten sposób, iż będą rodziły synów: zostaje on zbadany przez radzieckich uczonych i potraktowany poważnie. Ale skąd bierze się ten śmiech u ludzi stamtąd; przypuszczam, że wytłumaczenie jest proste. Nikt nie jest w stanie uwierzyć w prawdę: w ludożerstwo, w nieludzkie męczarnie które ci ludzie przeszli. Być może iż wynika to z pogardy do siebie samego: widzieliśmy to wszystko przez tyle lat, a nie mogliśmy niczego uczynić; patrzyliśmy na golgotę naszych braci a mimo to spaliliśmy po nocach i nasze organizmy działały normalnie; wiedzieliśmy, że ludzie pracujący w obozach Północy odmrażają ręce i nogi a mimo to staliśmy godzinami w kolejce, aby kupić sobie ciepłe buty czy płaszcz. Nie wolno nam rozdzierać szat; ale możemy śmiać się z naszej własnej niemocy. Nie stworzymy jednak nigdy literatury tragicznej, gdyż nikt i nigdy nie uwierzy nam w to, co przeszliśmy. Doświadczenie jest nieprzekazywalne; ludzi Paryża czy też ludzi Mediolanu marzących o komunizmie moglibyśmy przekonać o

ędzy tego przedsięwzięcia tylko wtedy gdyby na ulicach Paryża czy Mediolanu pojawiły się sowieckie czołgi. Lecz dopóki to nie nastąpi, śmiejmy się. Nasze życie pozostaje we władzy głupców którzy mogą nas zabić; ale którzy jednocześnie nie są pewni swej własnej przyszłości.

Profesor Jan Kott mówił kiedyś do swoich studentów, że w naszej współczesnej literaturze na próżno szukaliśmy sporów dotyczących literatury i jej bohaterów; takich sporów jakie bezustannie znajdujemy w książkach Dostojewskiego, Tołstoja, Czechowa i Gorkiego. Istotnie, we wszystkich książkach wydanych i napisanych po wojnie nie znajdziemy ani jednej sceny w której bohaterowie zaczęliby się wyklócać o wartość innej książki, czy ubrania; wartości pieniądza nigdy nie zrozumieją ludzie, którzy te książki czytać będą za ileś tam lat. Ucieczka w świat groteski i śmiechu ma również i inny powód poza najważniejszym — niewiarą w to czego było się świadkiem i niewiarą w to, iż inni ludzie będą w stanie dać wiarę naszemu życiu. Powód ten jest prosty: jest nim absolutna nieznajomość życia narodu; nieznajomość warunków, w jakich ten naród żyje i nieumiejętność wykorzystania faktografii nawet przy zrozumieniu moralnego aspektu zagadnienia. Jeśli w którejś z tych książek bohater powie: „Żyje nam się ciężko” to na tym już sprawa się kończy, a my nigdy nie dowiemy się ile mu było potrzeba do życia, ile zarabiał i ile chciałby zarabiać. Nie dowiemy się ceny biletu do kina ponieważ pisarze mają własne pokazy i własne projekcje i nie potrzebują stać godzinami w ogonku aby zdobyć bilet; nie dowiemy się ile kosztowało ubranie i ile dostawał chłop za krowę lub świnie. Ta mała rzecz wydaje mi się w pewnym sensie charakterystyczna; czytając Faulknera, Steinbecka lub innych współczesnych Amerykanów możemy mniej więcej wyobrazić sobie jak byli ubrani ludzie, co jedli i ile im brakowało. Obrazu tego nie odtworzymy sobie czytając współczesnych Polaków i Rosjan: przedtem było wszystko dobrze; teraz jest fatalnie; ale to już napraw-

dę wszystko. Zarówno w książkach autorów socrealistycznych jak i w książkach przemyconych do nas stamtąd pieniądz stanowi tabu.

We współczesnej literaturze nie istnieje również sprawa pieniędzy. We wszystkich książkach, które uznać możemy za wybitne, nie znajdujemy ani jednej sceny, w której chodziłoby o pieniądze i o zagadnienie wartości pieniądza; nie znajdujemy tego nawet w formie najprymitywniejszej, na przykład jako targu o cenę ubrania, czy przy płaceniu rachunku w restauracji; nie dowiemy się ile kosztowała prostytutka, ile kosztował używany czy nowy samochód, i ile kosztowało urządzenie mieszkania. W książkach Balzaka i Dostojewskiego, u Czechowa i u współczesnych pisarzy amerykańskich bohaterowie wyrrywają sobie ruble, franki i dolary; w polskiej literaturze współczesnej bohaterowie wchodzą do lokalu i płacą; kupują ubrania i płacą; ale nigdy nie pytają o cenę też o rację lub brak racji danego bohatera. Literatura, ważny czynnik propagandowy, demaskuje się w sposób prosty i niemożliwy widocznie do przewidzenia; bohaterów jednego produkcyjniaka nie obchodzą bohaterowie drugiego i to jest chyba jedyna ich ludzka cecha. W książkach współczesnych nie znajdziemy tego co znajdujemy chociażby u Dostojewskiego, który rozprawiał się z Turgieniewem, na swój własny sposób parodiując nawet jego styl; pisząc w sposób zalecony i zachwalany przez niepomyślną partię nie mieli nawet aż tak prostego pomysłu, aby zamaskować swoją nędzę i aby starać się nadać swoim książkom trwałe ślad.

Teraz dopiero zdaję sobie jasno sprawę z tego, że wzięłem się do nieswoich spraw w „Cmentarzach”; byłem jednak ciekaw, czy możliwe jest napisanie opowiadania opartego tylko i wyłącznie na autentycznych faktach. W chwili kiedy piszę te słowa mam trzydzieści dwa lata; założyłem sobie, że jeśli nie napiszę do czterdziestki porządnej książki, to wezmę się za coś innego. Mam siedemnaście zawodów i każdej chwili mogę pracować jako

betoniarz, szofer czy też spawacz; tak więc mam jeszcze osiem lat próby. Napisałem do tego czasu kilkadziesiąt opowiadań; z tych kilkudziesięciu czytać mogę tylko cztery; nie lubię jednak ani jednego. Lubię myśleć o tym co napiszę; wtedy wszystko wydaje mi się O.K. Potem kiedy piszę, jest już gorzej; najgorsze kiedy człowiek czyta to, co już napisał i opublikował: wtedy widzi się tylko zmarnowany pomysł i wtedy dopiero wie się jak by to trzeba było napisać. Artur Sandauer odradzał mi wielokrotnie drukowanie niektórych moich opowiadań, czytanych przez niego w rękopisie; nie myślę, aby to było właściwe. Człowiek nie potrafi ocenić swoich błędów tak długo jak opowiadanie leży w szufladzie biurka; trzeba je opublikować i zacząć wstydzić się za nie; to jest jedyna możliwość nauczenia się czegokolwiek na przyszłość. Jeśli taka możliwość w ogóle istnieje.

Pamiętam swoją pierwszą wizytę u Sandauera; poszedłem pożyczyć pieniądze. Sandauer zaczął mi czytać wiersze Białoszewskiego: ja siedziałem i nic nie rozumiałem. Wreszcie Sandauer przerwał czytanie.

— Rozumie pan?

— Nie — powiedziałem.

— Proszę słuchać — rzekł Sandauer i zaczął czytać dalej. Ja siedziałem i w dalszym ciągu nic nie rozumiałem.

— Rozumie pan?

— Nie — powiedziałem.

— Nic?

— Zupełnie nic.

— Proszę posłuchać — rzekł Sandauer i znów począł czytać. Ja patrzyłem w niego, ale mimo nadludzkich wysiłków woli nie wiedziałem o co chodzi.

— Rozumie pan?

— Nie — powiedziałem.

— Nic?

— Zupełnie nic.

— Jak to jest możliwe?

— Nie wiem — powiedziałem.

Po paru seansach Sandauer uznał mnie za idiotę i wyrzucił z domu. Było to w tym czasie, kiedy postanowił rozgromić literaturę polską nie stosując taryfy ulgowej. O ile pamiętam, na pierwszy ogień poszedł Adolf Rudnicki; Sandauer czytał mi swój rękopis i wynotowane tam zdania z prozy Adolfa, gdzie Adolf nie dość precyzyjnie wyraża się po polsku. Zdziwiło mnie, że człowieka o takiej inteligencji cieszą te potknięcia; krytyk ma prawo do rozpacy ale nie ma prawa do tego co nazywa się *Schadenfreude*. Działo się to w najgorszym okresie, kiedy przeszła przez Polskę fala antysemityzmu. Rudnicki nie ukrywał nigdy iż jest człowiekiem religii żydowskiej. Używam tego określenia świadomie, gdyż nie umiem napisać o człowieku urodzonym w Polsce po prostu: polski Żyd. Gdybym chciał myśleć tymi kategoriami, to musiałbym dojść do wniosku, że nie istnieje na świecie United States of America i że ludzie tam urodzeni nie są Amerykanami, lecz Żydami, Portugalczykami i Polakami. Być może iż jest to rozumowanie prymitywne, jednak proste myślenie jest jedynym, które mnie interese.

— Do czego pan zmierza? — przerwał mi Sandauer.

— Nie wiem — powiedziałem. — Ale liczę, że przy okazji pan mi to wyjaśni.

Wyjaśnił mi: było to wtedy kiedy dostałem nagrodę wydawców i właśnie wtedy Sandauer pierwszy zaczął mnie flekować; zrobił to rzeczywiście bez taryfy ulgowej. W tym czasie nie drukowano mnie już; moje dwie nowe książki zostały odrzucone przez wydawców, a wszyscy krytycy marksistowsky uznali mnie za zbroczeniaca i degenerata.

Skończyłem więc „Cmentarze” i zaniósłem je do wydawnictwa. Odpowiedziano mi odmownie. Zapytałem: dlaczego?

Powiedziano mi: — Takiej Polski nie ma.

Zapytałem: — Czy mam uważać odmowę wydawnictwa za ostateczną?

Powiedziano mi: — Tak.

Rozmawiałem potem z jednym z najinteligentniejszych krytyków młodego pokolenia który pracował w tymże wydawnictwie.

— Wzięłeś się za nieswoje sprawy — powiedział. — Polityka to nie dla ciebie. Trzymaj się tego, o czym jedynie potrafisz pisać: on i ona. Nie staraj się przy tym myśleć; w twoim wypadku to doprawdy zbyt ciężkie.

Poszedłem do innego wydawnictwa gdzie miałem opublikować swoją pierwszą krótką powieść, a właściwie długie opowiadanie, pod tytułem: „Następny do raju”. Odmówiono mi: takiej Polski nie ma. Ale zaproponowano mi wydanie tej książki jeśli zmienię jedno zdanie: „Zamieniliście Polskę w tak wielki obóz koncentracyjny, że nie potrzeba nawet drutów kolczastych i psów, gdyż i tak nie ma gdzie uciec”. Powiedziałem, że nie wykreślę ani jednego zdania. Powiedziano mi, że książka jest zła.

Pojechałem następnie do Wrocławia gdzie kręcono film według tejże książki: rękopis jej dostarczyłem reżyserowi Czesławowi Petelskiemu który przyrzekł mi, że zrobi film tak, jak to jest w tej opowieści. Obejrzałem trochę zdjęć i zapoznawszy się ze zmianami, które Petelski porobił, zażądałem zmiany tytułu i usunięcia mojego nazwiska z napisów tytułowych filmu. Zmiany te zostały poczynione na żądanie pułkownika i profesora Aleksandra Forda, który w owym czasie był kierownikiem artystycznym tego właśnie zespołu produkcyjnego, w którym pracowano nad „Następnym do Raju”.

Znałem w moim życiu wielu cwanych ludzi: znałem sprzedających cukier jako morfinę; znałem sprzedawców perskich dywanów, które wyprodukowano dwie godziny temu przy ulicy Ben-Jehuda w Tel-Avivie; w czasie okupacji znałem faceta, który wyładował się brylantami sprzedając Żydom mąkę i mówiąc im, iż jest to trucizna

która ma uchronić ich od cierpień, kiedy nie będzie już wyjścia; znałem ludzi żyjących z szantażu; i znałem całe przedsiębiorstwo lotnicze spryskujące pola potasami, które używało samolotów tak starych i tak kiepskich, że żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie chciało ubezpieczać ani lotników, ani maszyn; ale na całej swej drodze nie spotkałem człowieka tak bezbłędnie cwanego jak Ford.

Myślę, że mogę o nim to śmiało napisać, gdyż wiem ilu ludzi, ile pomysłów i ile filmów zmarnował ten człowiek, będący najbardziej chytrym i cwanim oportunistą a udający człowieka najbardziej rozgoryczonego i rozwścieczonego głupotą władz. „Ósmy dzień” był kiepskim opowiadaniem, ale można było z tego zrobić dobry film. Tylko, że filmy trzeba umieć robić. Ford, który Warszawę zna tylko z okna swego auta, umieścił akcję filmu na Starym Mieście; Agnieszka pęta się po cukierkowych ulicach; tam z kolei stoją statyści ubrani w koszulki gimnastyczne i udają lumpen-proletariuszy którzy zaczepiają dziewczynę. W tym opowiadaniu, które mi się niestety nie udało a którego pomysł lubiłem, chodziło mi o jedną sprawę: dziewczyna która widzi brud i ohydę wszystkiego, pragnie dla siebie i dla kochanego chłopaka jednej tylko rzeczy: pięknego początku ich miłości. Ford zrobił film na temat, że ludzie się nie mają gdzie rznąć, co oczywiście nie jest prawdą; rznąć można się wszędzie.

Tak więc Ford zrobił film o tym, że po prostu nie ma gdzie; tylko że on sam po prostu nie wiedział jak. Usunął przy tym starannie wszystkie drastyczne sceny; film miał mu przynieść nagrodę w Cannes, uznanie krytyki marksistowskiej i lekką krytykę ze strony władz partyjnych. Z filmu wyszło gówno; na nieszczęście Forda, ale na szczęście dla mnie. Zresztą to też nieprawda, bo w rezultacie musiałem ożenić się z pierwszą naiwną.

Znajomy krytyk filmowy zapytał mnie co sądzę o tym filmie; nie widziałem jeszcze wtedy całości, ale znałem scenariusz napisany przez Forda i powiedziałem mu,

że to chała. W dwa dni później chłopiec ten napisał w swej gazecie to co mu powiedziałem, przytaczając wier-
nie moje słowa. W kilka dni później zjawił się u mnie
jeden z pracowników Forda, kierownik produkcji Stra-
szewski.

— Mam z tobą nieprzyjemną sprawę do obgadania
— powiedział.

— Nigdy nie miałem innych spraw w życiu — po-
owiedziałem. — Zaczynaj.

— Chodzi o to, co napisał Bohdan Węsierski w
„Ekspresie Wieczornym”. Że „Ósmy dzień” to chała.

— Bardzo prosto możecie to zmienić. Przekręćcie
jeszcze raz ten cały film od początku do końca.

— Ford poda do wiadomości prasowej, że nigdy nie
widziałeś tego filmu, że zjawiałeś się pijany na planie,
i że usiłować zerznąć pierwszą naiwną.

— To będzie pierwszy wypadek, kiedy Ford powie
prawdę — powiedziałem. — Ale poczekaj chwileczkę.

Poszedłem do szatni i telefonicznie zapytałem znajo-
mego adwokata jak mam postąpić i czy zachodzi wypa-
dek szantażu. Zapytał mnie czy mam świadków, powied-
ziałem mu, że tak, na co mi odparł, iż jest do mojej
dyspozycji. Stojący przy mnie kolega powiedział mi, abym
tego nie robił jeśli chcę jeszcze kiedykolwiek pracować
dla filmu, wyjechać na Zachód czy też coś w tym rodza-
ju. Stchórzyłem; napisałem do „Ekspresu Wieczornego”
otwarty list, w którym powiedziałem, że Węsierski nie
zrozumiał moich słów i że bardzo przepraszam twórcę
polskiego romantyzmu filmowego i czołowego naszego
reżysera, za wyrządzoną mu mimowolnie krzywdę.

I „Ósmy dzień” i „Następny do raj” są opowiada-
niami napisanymi przeze mnie dziesięć lat temu; nie mo-
gę ich dzisiaj czytać ani nawet o nich słyszeć. Ale z „Na-
stępnego” można było zrobić dobry film — wypadki sa-
mochodowe, bicie po pysku, eksplozję, bohaterce filmu
robią się na tyłku odciski gdyż tak ją tam bez przerwy

wszyscy rzną: dobry film dla młodzieżowego widza. Ale Ford zniszczył starannie wszystko co tam było zabawne i dziecinne. Nie widziałem nigdy tego filmu; czytałem tylko recenzje o nim Zygmunta Kałużyńskiego i Krzysztofa Teodora Toeplitza w której Toeplitz pisze, iż jest to taka Polska, jak ją widzi mały Mareczek.

Przy realizacji tego cholernego „Ósmego dnia” pomiędzy mną a pierwszą naiwną zawiązały się tak zwane nieuchwytnie nici sympatii. Pamiętam, że w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy jechaliśmy z Warszawy do Kazimierza jej samochodem; jest to najbardziej pijany dzień w Polsce gdyż wtedy — jak to się mówi — żeni się wieś. Z Warszawy do Kazimierza jechałem samochodem BMW, którym można było śmiało jechać sto sześćdziesiąt, parę godzin. Drogi pełne były pijanych chłopów, pijanych furmanów, pijanych cyklistów i ludzi ganiających się z cepami, nożami, widłami i innymi tego rodzaju akcesoriami zabaw ludowych, których nie uwzględniła Maria Dąbrowska w swoim opowiadaniu „Na wsi wesele”; opowiadanie to uważane było przez pewien czas za szczyt realizmu, czy też pozytywizmu, czy też romantyzmu: w każdym razie za szczyt. Kiedy dojeżdżałem do Kazimierza lał się ze mnie pot; to niełatwo jechać czymś osobowym samochodem przez pijany kraj. Jeśli chodzi o ciężarówkę, to mieliśmy własny system sprowadzania ze środka drogi pijanych chłopów wraz z ich furmankami; robiło się mianowicie ze starej dętki bykowiec przeplatając misternie gumę z drutem i jeśli pijany chłop nie zjeżdżał na dźwięk klaksonu — pomocnik zeskakiwał, przykładał chłopu bykowiec i sprowadzał konia na bok drogi trzymając go za uzdę; tymczasem człowiek przeciskał się jakoś ciężarówką. Tym razem jednak nie miałem bykowca, lecz tylko pierwszą naiwną; przed samym Kazimierzem musiałem zatrzymać wóz; dwóch pijanych ludzi goniąc trzeciego wpadło na maskę prowadzonego przeze mnie samochodu i na moich oczach wbiło mu parę noży; po czym pojechałem dalej.

— Za trzy dni pobiją się znowu — powiedziałem do niej. — To będzie tym razem na jego pogrzebie.

— Na czym?

— Na pogrzebie tego faceta którego przed chwilą zabili.

— Kogo zabili?

— Zabili człowieka na masce twojego samochodu — powiedziałem.

Uśmiechnęła się; nie wierzyła. Widziała i nie wierzyła; i to jest ta moja pretensja, którą miałem niegdyś do *commies*, że zmarnowali mi tak świetny interes; że codziennie mogłem oglądać rozpacz, okrucieństwo, zdziwienie; i wierzyłem, że można o tym pisać i że to jest prawda. Kiedy dzisiaj chcę zobaczyć coś mrożącego krew w żyłach, to muszę iść albo do kina, albo na catch, albo na zebranie którejś z organizacji kombatanckiej. W filmie „The Third Man” Orson Welles powiada, tłumacząc się ze swych zbrodni: „Czasy Borgiów czy też ich rządy trwały trzydzieści lat. W tym czasie powstała taka ilość dzieł sztuki, że trudno jest to nawet skatalogować. Szwajcarzy mają za sobą pięćset lat pokoju, demokracji i wolności. I co udało im się wyprodukować? Zegar z kukułką. *Good-bye*”. Być może za lat dwieście ktoś wzruszy się przyjemnie pomyślawszy o dziejach Stalina; dzisiaj nikt nie ma na to ani ochoty, ani siły. I nie ma zresztą potrzeby, aby zawsze od ludzi wymagać wiary w ohydę, zbrodnię i występki.

Czasami zdarzają się *curiosa*. W wybitnym filmie Polańskiego „Nóż w wodzie” widzimy faceta który jedzie na *week-end* swoim samochodem, ma przy tym swój własny yacht, ładną żonę; widać że jest ładowany; jest przy tym młody, przystojny i inteligentny. W Polsce wszystko już wiemy o takim facecie: kogoż stać na yacht, samochód, wycieczki; nie mówiąc już o tym, że ładna żona też stanowi problem kiedy człowiek się goli i ma zamydłone oczy i kiedy w mieszkaniu siedzi kolega z wojska, który chce ją nam poderwać właśnie wtedy, kie-

dy my słabo widzimy co się dzieje. Jest to w każdym bądź razie określona postać dramatu: cwaniak, zimny; yachtu i samochodu nie przysłali mu kuzyni ze Stanów, ale doszedł do tego drogą własnych kombinacji, o których myśląc widz polski doznaje uczuć zazdrości i pogardy w stosunku do samego siebie. Ten sam film oglądany przez widza niemieckiego był odbierany w sposób zupełnie inny: młody, dobrze wyglądający dziennikarz, posiadający samochód i yacht nie jest przedmiotem nienawiści, lecz uznania: widocznie wykombinował to wszystko własną głową, własnymi zdolnościami; widocznie zawdzięcza to własnej inteligencji i wyobraźni. Uczucia niechęci budzi natomiast chłopiec stojący na drodze; jest to niszczyciel nie posiadający ani programu własnego buntu, ani powodów po temu, aby niszczyć człowieka który zabiera go z drogi, daje mu jeść i stwarza mu propozycje przyjemnego spędzenia czasu, czym jest niewątpliwie pobyt na yachcie. Świetność tego filmu polega na tym, iż jest to właściwie obraz rykowiska: dwaj samce naporzają się przez cały czas podczas gdy łania spokojnie skubie trawkę. Nie umiem zacytować tego po polsku gdyż widziałem ten film w niemieckiej wersji. Żona bohatera mówi w pewnym momencie do młodego buntownika, myśląc o swoim mężu: „On był taki jakim ty jesteś, a ty będziesz taki jakim on jest”. I rzeczywiście: ten piękny, dwudziestoletni też kiedyś dojdzie do własnego samochodu, do własnej motorówki i do lodówki, i do telewizora i być może do kamery wąskotaśmowej. Jest to ostatnia i żałosna próba buntu; ponieważ nie możemy żyć jak ludzie wolni, starajmy się naśladować formy ich życia.

Innym zabawnym filmem — nie tej klasy co film Polańskiego — był film radziecki „Lecą żurawie”. W pewnym momencie jeden z bohaterów tego filmu, grający na fortepianie w czasie jakiejś prywatnej libacji, z trzaskiem zamyka wieko, mówiąc: „Gdyby nie ta cholerna wojna, siedziałbym teraz w sali konserwatorium i grał Czajkowskiego”. Oczywiście, że każdy normalny

człowiek woli grać Czajkowskiego niż latać z karabinem po polu, gdzie w dodatku można zostać skaleczonym z broni palnej; ale inaczej rzecz się dzieje, kiedy wojnę prowadzi się z rozkazu Ojca Narodów. Sytuacja, w której nieudolny reżyser tego filmu usiłował skompromitować swego bohatera, oglądana przez ludzi Zachodu, zyskuje mu sympatię i współczucie. Oba przeze mnie wspomniane filmy i reakcje publiczności stanowią przedmiot eseju dla Hostowca; cóż jednak z tego? Hostowiec kocha tylko Annę Magnani i chodzi tylko na jej filmy siedząc z zamkniętymi oczami w czasie tych wszystkich scen, kiedy Magnani nie jest w kadrze; zupełnie jak ja na filmach z Orson Wellesem.

Tak więc w roku pięćdziesiątym siódmym moje sprawy zostały załatwione; zatrzymano mi dwie książki i zmarnowano mi dwa filmy. Skończyła się również sprawa „Po Prostu”; ja sam stałem się przedmiotem drwin i denuncjacji niezawsze dobrze napisanych. Szkoda mi mimo wszystko „Po Prostu”; kiedy dzisiaj czytam te pozółkłe numery zastanawiam się nad jedną rzeczą: styl reportaży, artykułów i rozpraw staje się z biegiem roku pięćdziesiątego siódmego coraz gorszy. „Po Prostu” miało w swoim czasie dobrze postawiony dział reportażu terenowego. Czytając to dzisiaj, odnoszę wrażenie, że piszący oczekiwali końca z godziny na godzinę. „Po Prostu” czytane dzisiaj stanowi kronikę i to dość przerażającą. O „Po Prostu” napisał w swej książce Witold Jedlicki. Pisał on również o tragedii wynikającej z faktu zamknięcia Klubu Krzywego Koła. Byłem tam i ja parę razy, jednak na te tematy, o których chciałbym rozmawiać z ludźmi, mógłbym rozmawiać najchętniej w cztery oczy, i to tylko wtedy, kiedy miałbym pewność, że to ja pierwszy przed swym interlokutorem dobiegnę na komisariat i powiem o czym mówiliśmy ze sobą. Nie należy zapominać, że wierzy się zazwyczaj pierwszemu. Ale „Po Prostu” i Klub Krzywego Koła są już legendą.

W ostatnich miesiącach mego pobytu w Polsce za-

cząłem pracować w piśmie „Europa”; pismo to nie uka-
zało się nigdy. Zapowiadało się dobrze; naczelnym był
Jerzy Andrzejewski i Jerzy był wtedy w świetnej formie.
Innymi moimi kolegami redakcyjnymi byli: Julek Żuław-
ski, Zygmunt Mycielski, Janusz Minkiewicz, Henryk
Krzczkowski; ja tam byłem facetem od filmu. Zrobiliś-
my pierwszy numer; numer był chyba dobry; ale w KC
wyjaśniono nam, że partia nie widzi potrzeby wydawa-
nia na obecnym etapie pisma tego rodzaju jak „Europa”.
Pamiętam jak siedzieliśmy wszyscy pijąc kawę; nastrój
był kiepski, wreszcie niezawodny kolega Krzczkowski
wstał nagle i powiedział:

— Panowie, nie dajmy się zwariować.

To zdanie wypowiedziane przez Henryka stało się
hasłem mego życia i chyba już nim pozostanie. Pod ko-
niec roku pięćdziesiątego siódmego wszystkie kanale
znów podniosły głowę; znów zaczęto pisać o socrealiz-
mie; rozegnano więc studentów domagających się na-
stępnych numerów „Po Prostu”: słowa Gomułki o racji
stanu użyte zostały przez cenzorów; i tak skończyła się
moja kariera pracownika pisma „Europa”. I tak skoń-
czył się ten rok euforii. Zbiegło się to z czterdziestą roc-
nicą Wielkiej Rewolucji Październikowej. Pamiętam jak
Janek Rojewski powiedział: „No cóż, czterdzieści lat mi-
nęło jak z knuta trzasnął”.

Ja sam dorabiałem jeszcze trochę w filmie; moje
wspomnienia dotyczące pracy w filmie nie są najlepsze.
Zacząłem to w roku pięćdziesiątym czwartym; pojecha-
łem wtedy do Łodzi gdzie studenci Wyższej Szkoły Fil-
mowej robili film pod tytułem „Koniec Nocy”; ja byłem
tam za jednego ze scenarzystów; a było nas wielu. Pozna-
łem wtedy człowieka-szatana: potrafił on lewym profilem
twarzy zagrać faceta przygadującego dziewczynę —
dziewczyną był prawy profil jego twarzy. Potrafił —
jak powiadają — zagrać ni mniej ni więcej ale po prostu
klamkę. W filmie „Koniec Nocy” grał małą epizodycz-

ną rolę; nie będąc sam aktorem a tylko studentem wydziału reżyserii — kładł jak chciał wszystkich studentów Szkoły Aktorskiej, którzy grali w tym filmie. Nie grał: po prostu był. Kiedy wchodził „w kadr” wiedziało się, iż coś się zaczyna. Był to chłopiec szczupły i nerwowy; kiedyś w czasie rozmowy ze mną, chwycił ze stołu butelkę i rzucił ją we mnie. Na moje pytanie: dlaczego to zrobił? — odpowiedział mi, że po prostu chciał zbadać mój refleks. Do dziś nie wiem po co mu to było potrzebne; on sam nie udzielił mi na ten temat żadnych wyjaśnień, gdyż w międzyczasie „zapuścił sępie spojrzenie swoich źrenic”, jak to genialnie formułuje Żeromski, w duszę nowej ofiary. Spotkałem go po latach, było to w Monachium. Zagrał mi wtedy dla zabawy chińskiego detektywa który ma nakryć *in flagranti* jakąś parę, wchodzi na drzewo i obserwując przez lornetkę tak zwany huragan zmysłów ulega pokusie za którą Bóg tak dotkliwie skarcił Onana; spada z drzewa i łamie nogę. Chińskim detektywem był Roman Polański.

Pierwszy jego film nie wydawał mi się odkrywczy; ja sam wciąż jeszcze wierzyłem, że tylko tragizm może przekazać doświadczenie; Polański zaczął od czegoś, co wtedy wydawało mi się groteską a co dzisiaj nazwę znów z maniackim uporem: prawdziwym zmyśleniem. Ci dwaj ludzie z szafą idący przez miasto; przychodzący znikąd i odchodzący do nikąd nie wydawali mi się wtedy postaciami prawdziwymi. Dziś wiem, że każdy człowiek taszczy przez jakieś miasto swoją szafę, o której wartości wie tylko on jeden. Na pierwszy długi metraż Polańskiego „Nóż w wodzie” poszedłem z jak największymi uprzedzeniami; jednak gdyby mnie spytano który z polskich filmów uważam za najwybitniejszy, powiedziałbym, iż właśnie ten. Po raz pierwszy uwierzyłem wtedy, że Polacy mają również i aktorów filmowych.

Szkoła z której wyszedł Polański była najzabawniejszą uczelnią w Polsce; ci wszyscy chłopcy mieli własny styl; mieli dobre myślenie; mieli dobry gust i byli oczy-

tani. Kiedy myślę o ich niemieckich czy francuskich rówieśnikach, chce mi się śmiać. Nie bardzo wiem co oznacza pojęcie „nowa fala”; nie rozumiem do dziś takich pojęć jak „neorealizm”; ale kiedy myślę o tych wszystkich chłopcach w welwetowych spodniach i o zmęczonych twarzach — o tych wszystkich których poznałem wtedy w Łodzi — ogarnia mnie gniew, iż takie miernoty jak Goddard mogą kręcić swoje filmy o problemach erotycznych, które każdy szesnastoletni onanista ma dawno poza sobą; a tamci wszyscy nie nakręcili ani jednego wybitnego filmu. Z osłupieniem obejrzałem film Wajdy „Popiół i Diament”. Czegóż tam nie ma: sowieckie czołgi, byli żołnierze wojny hiszpańskiej; Zyskindówna śpiewa „Rozszumiały się wierzby płaczące”, tańczą poloneza; wnoszą gramofony; Cybulski bawi się bez przerwy pistoletem i zabija swą ofiarę, która pada w tym momencie kiedy w niebo wzbijają się race na cześć zwycięstwa; dobrzy komuniści, źli komuniści; przesłuchanie na UB i jeszcze do cholery kaplic z trupami, przydrożnych krzyży i upiornych dywersantów. Wajda nie zrozumiał, że jak każda wybitna książka „Popiół i Diament” jest książką jakich był już wiele. Problem Cybulskiego jest problemem prawdziwym, ale jest to problem Jesse James’a: strzelać czy nie strzelać. Przypuszczam, że gdyby robił ten film Polański, to byłoby tam po prostu łóżko z Cybulskim i dziewczyną; i świętujące, pijane miasto poza oknem; i wtedy byłby to prawdziwy „Popiół i Diament”. Znam tylko jeden równie głupi film: jest nim „Ósmy dzień”. Ale Cybulski z „Popiołu” i Cybulski z „Ósmego dnia” to zupełnie dwaj inni aktorzy; oglądając „Popiół” i patrząc na Cybulskiego igrającego z bronią palną, nie wierzyłem ani przez chwilę, że ten człowiek zabijał innych ludzi i że musi raz jeszcze zabić; ale patrząc na Cyba w „Ósmym dniu” wierzyłem mu jak najbardziej, że to dobry i mądry chłopak który umie naprawdę kochać i zna wartość tej sprawy; Cyb uratował ten film; tak więc, kiedy oglądałem po raz drugi

„Ósmy dzień” patrzyłem przede wszystkim na Cyba. I nie wchodziły tu w grę moje prywatne sprawy.

Najzabawniejszym człowiekiem w filmie polskim był Henio Szlachet; postać już dziś legendarna. To Henio pierwszy zaczął do mnie mówić „Hłaskower”; do aktora Kęstowicza zwracał się per „kochany panie Kęstower”. Kiedy wezwał mnie telefonicznie do Wrocławia abym przyjechał popracować jeszcze nad „Następnym do Raju” powiedział mi: „Hłaskower, ja pana mówię: to nie jest film, to jest wywczas”. Po czym, następnego dnia, zbudził mnie słowami: „To nie jest wywczas, to jest film”. Kiedyś w czasie dokumentacji plenerów obserwując zachód słońca wskazał na jezioro leżące w dolinie i powiedział do mnie: „Pan mu spojrz — samowity jezior”; w ten sposób chciał oddać w słowie żywym piękno pejzażu. Sprawą zapewniającą mu nieśmiertelność była sprawa armaty: Szlachet będąc kierownikiem zdjęć w jakimś filmie o żołdatkach kupił wybrakowaną armatę-rekwizyt od Wojska Polskiego; po czym rachunki pokręciły mu się w taki jakiś specyficzny sposób, że nie umiał się wyliczyć z kupna armaty: rachunkiem obciążono jego i w ten sposób Henryk Szlachet stał się posiadaczem moździerza. Myślałem o nim w Izraelu patrząc na Olka Pfaua, który kręcił jakiś film dokumentalny: za nim biegał zrozpaczony producent, krzycząc: „Panie Pfau, ja panu błagam — tylko bez sztuki”; chodziło o to, aby Pfau nie marnował taśmy na powtarzanie ujęć. W rzeczywistości „Szlachetu” jak sam Szlachet nazywa się dla własnej przyjemności mówi po polsku równie dobrze jak Hostowiec; ale wszyscy błagali go, aby żyłaczyl; i nikt tak nie potrafił tego jak on.

Moi starsi koledzy ze Związku Literatów stale namawiali mnie abym na pewien czas wyjechał na Zachód, oczywiście do Paryża. Poradzono mi, abym złożył podanie o przyznanie mi stypendium. Stypendia te przydzielane były kolegiąlnie przez specjalną komisję naszego związku i ja to stypendium dostałem. Kiedy stałem się

już posiadaczem paszportu i miałem umowę z wydawnictwami „Julliard”, „Dutton Company”, „Kiepenheuer und Witsch” chciałem wyjechać i poprosiłem o przyznane mi stypendium; okazało się, iż stypendium to — przyznane mi kolegiально — zostało cofnięte. Kazano mi zgłosić się do Ministerstwa Kultury; w Ministerstwie Kultury nie umiano mi nic powiedzieć, poza tym, iż rzeczywiście stypendium mi cofnięto. Poprosiłem o rozmowę z Ministrem Kultury; Minister Kultury przyjął mnie bardzo uprzejmie i oświadczył, iż rzeczywiście stypendium mi cofnięto, ale to nie zależy od niego, ponieważ stypendium zostało przyznane mi nie przez niego osobiście, lecz przez specjalną Komisję Stypendialną przy Związku Literatów Polskich. Minister Kultury ubolewając iż nie jest w stanie mi pomóc, poradził mi jednak po przyjacielsku abym, udał się do Związku Literatów, gdzie urzęduje owa specjalna Komisja. Poszedłem jeszcze raz; tam mi powiedziano abym poszedł do ministerstwa Kultury gdyż są to stypendia, którymi co prawda dysponuje Związek, jednak są one w ramach puli stypendialnej Ministerstwa Kultury — i tak dalej. Janek Wilczek, poprzedni minister, był zabawniejszy. Zawsze mówił, iż nienawidzi dekorowania trumien z nieboszczykami bo zawsze, mimo wieloletniej rutyny, ślizga się i nigdy nie jest pewien czy nie wpieprzy się do grobu wraz z odznaczonymi zwłokami. Ale na dobro ministra Kuryluka trzeba powiedzieć, iż nawet nie bardzo udawał że kłamie. Wszystkie legendy iż pośliznął się z mego powodu nie są prawdziwe; nie wiedząc o tym, że mam już mnóstwo umów z rozmaitymi wydawnictwami cofnął mi stypendium; nie otrzymałem nawet prawa kupienia biletu za złotówki; musiałem bilet kupić za dolary.

W roku pięćdziesiątym ósmym dostałem Nagrodę wydawców; otrzymałem ją za dwie niewydane książki i, zapewne, jako dowód zaufania na przyszłość; ale w parę dni później byłem już w Paryżu. Koledzy żegnający mnie na lotnisku nie wierzyli iż wrócę; ja ani przez chwilę nie

myślałem, że pozostanę. Nie miałem złudzeń; wiedziałem, że Polska interesuje ludzi tylko na zasadzie przedmięcia Rosji; sam nie interesując się młodą prozą bułgarską czy rumuńską nie mogłem przecież być aż na tyle śmieszny, aby żądać od ludzi by nagle porzucili Camusa i Faulknera i poczęli interesować się młodą prozą polską. Ale chciałem zobaczyć jak to wszystko wygląda; no i ponieważ moje „Cmentarze” i „Następny do raju” zostały odrzucone a powiedziano mi że przysługuje mi prawo znalezienia innego wydawcy — chciałem wydać swoje opowiadania. Moim wydawcą był Jerzy Giedroyc.

Przeszedłem przez odprawę celną; srebrny ptak wzbil się w powietrze, domy jak zapałki, pola jak szachownice — wszystko to znamy. W samolocie leciałem z jakąś staruchą, która udawała się do Stanów na zaproszenie siostry; w czasie długiego lotu pustym prawie samolotem, wyznała mi radośnie, że jest chora na raka i że jedzie umierać. Nie wierzyłem jej i starałem się ją pocieszyć; pokazała mi świadectwo lekarskie w którym przeczytałem, iż osoba taka a taka chora jest na daleko zawansowanego raka; świadectw takich nie wydają zazwyczaj lekarze, ale siostra pasażerki, osoba prawdopodobnie nie najlepiej sytuowana, zgodziła się ją przyjąć pod tym tylko warunkiem, iż wizyta nie potrwa zbyt długo. Stara pani pokazywała mi również zdjęcia roentgenowskie z których niewiele zrozumiałem; miała oczywiście lipne zaświadczenie, które musiała przedstawić Ambasadzie Amerykańskiej, iż jest osobą o kwitnym zdrowiu, gdyż inaczej nie dostałaby wizy. Ale lecąc z szybkością sześciuset kilometrów na godzinę tym luksusowym samolotem o czterech olbrzymich silnikach, pomyślałem, patrząc na jej szczęśliwą i promienną twarz o tych wszystkich starcach czołgających się do grobu i czepiających się swych nędznych przyzwyczajęń; i nie wiedziałem jeszcze wtedy, że to nie ona ale my oboje odjeżdżamy aby umrzeć z daleka od Polski. Ja miałem dwadzieścia cztery lata i uznany zostałem za skończonego; ona miała prawie siedemdzie-

siąt i jechała, aby zaczynać w kraju, o którym nie wiedziała nic poza jedną dla niej istotną rzeczą: iż jest oddzielony tysiącami kilometrów od kraju w którym przeszła swoją drogę. Ja miałem przy sobie osiem dolarów; ona zdjęcia roentgenowskie stwierdzające iż wyworkuje niedługo; i tak umilaliśmy sobie rozmowę — ona promienna jak Królewna Śnieżka po siedmiu skrobankach; ja — ponury i pełen wiary, że nie wytrzymam długo bez Polski. Bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, że świat dzieli się na dwie połowy z tym jednak, że w jednej z nich jest nie do życia w drugiej nie do wytrzymania. Siedząc obok staruchy wyjąłem z kieszeni numer gazety i przeczytałem na ostatniej stronie ogłoszenie następującej treści: *Mam drzwi do szafy dwudrzwiowej, oszklone, oczekuję propozycji*". I wtedy zrozumiałem, że w tych kilku słowach więcej jest prawdy o życiu które pozostało poza mną, niż we wszystkim co napisałem na kilkuset stronach swej prozy; i dopiero w tym samolocie zrozumiałem, iż kapelusz mój nabrał deszczu. Z poczuciem klęski i śmieszności wkroczyłem w nowy świat i w nowe życie; i tak kończy się ta próba opowieści o pogoni za szczęściem, o której powiadają iż jest przeważnie bezcelowa; ale dla której warto poświęcić życie.

HOTEL „VICTORY”

Przyjechawszy do Paryża zachowywałem się jak ostatni idiota. Nie wiem dlaczego czułem się tak beznadziejnie śmieszny i samotny. Kiedy szedłem ulicą i patrzyłem na tych wszystkich ludzi siedzących w kawiarniach, śmiejących się i pijących, zdawało mi się, iż jestem najbardziej nędzną figurą. Oczywiście nie przyszło mi nawet do głowy, że powinienem pójść do jakiejś szkoły i zacząć uczyć się francuskiego już tylko choćby po to, aby móc się przekonać że oprócz mnie żyje w Paryżu również i kilku innych idiotów; ja chodziłem do lokalu „Chez Wania” gdzie rosyjscy taksówkarze pijąc wódkę Smirnoff i rozmawiając o swych przepadłych milionach, mówili przy każdym kieliszku: *Eto wsio czerez jewreji*. Znajomi Polacy pytali mnie bez przerwy: „Czy był pan już w Luwrze?”; w Luwrze nie byłem do dzisiaj.

Po wydaniu mojej książki w „Kulturze” „Trybuna Ludu” zamieściła artykuł pod tytułem „Primabalerina Jednego Tygodnia”; niesposób aby przytoczyć tutaj całą denuncjację; zaczynało się to od słów: „Do międzynarodowej bandy handlarzy bronią przeciw komunizmowi przyłączyło się w tym tygodniu nowe nazwisko”. Napisałem list do redakcji „Trybuny Ludu” wyjaśniając, iż jeśli

odmówiono mi wydania książki w Polsce, to miałem święte prawo do znalezienia sobie wydawcy za granicą; powiedziałem przy tym, iż o wartości książki może wypowiedzieć się czytelnik, inny pisarz i krytyk, ale nie cenzor. Poprosiłem o wydrukowanie tego listu proponując, aby „Trybuna Ludu” opatrzyła ten list własnym komentarzem; komentarz był mi obojętny. Oczywiście listu mego nie wydrukowano; natomiast zjawili się u mnie rozmaici dziennikarze. Najgłupszy był z pisma „L'Express”. Kiedy zapytali mnie jaką rolę wyznaczyłem sobie w literaturze, powiedziałem, iż rolę świadka. Zapytano mnie o jaki proces chodzi; powiedziałem, że jestem świadkiem procesu przeciw człowiekowi. Zapytano mnie czy mam zamiar wrócić do Polski; odpowiedziałem, że oczywiście, że nie jestem aż takim idiotą aby dobrowolnie pozbawić się przyjemności patrzenia na zbrodnie, rozpacz i te wszystkie rzeczy, o których jedynie umiem pisać. W następnym numerze rozłożono mnie fachowo: felietonista tego pisma mówiąc, iż bardzo ceni mój liryczny pesymizm zwrócił mi uwagę, że wszystko co powiedziałem jest brednią: przed wojną była emigracja zarobkowa z Polski, dzisiaj nie ma. Wtedy przypomniałem sobie o tych drzwiach do szafy dwudrzwiowej i oszkłonych; pomyślałem, że nie ma po co pisać i powiedziałem to tym dziennikarzom. Zapytano mnie: jaka istnieje możliwość abyśmy mogli się nawzajem dobrze zrozumieć; powiedziałem, że czołgi sowieckie na ulicach Paryża stworzyłyby nam wspólną płaszczyznę porozumienia i mnóstwo czasu na dyskusję; w więzieniach pracuje się co prawda do wieczora, ale w nocy też można pogawędzić.

Było to już po referacie Chruszczowa wygłoszonym na dwudziestym zjeździe; z partii komunistycznych Francji i Włoch wystąpiło kilkunastu intelektualistów; jednak w obrachunku ostatecznym zwyciężył oczywiście Chruszczow gdyż oświadczeniem swym i obietnicą destalinizacji przekonał ludzi, iż istnieje możliwość zmian na lepsze; naturalnie w myśl zasady, że myśl jest słuszna ale

wykonanie złe. Chruszczow swym referatem stworzył na nowo kredyt zaufania w stosunku do Wschodniego bloku i per saldo opłacała mu się utrata tych kilkudziesięciu rozgoryczonych. Późniejsze zajścia w Poznaniu i w Budapeszcie nie obaliły tego kredytu a wręcz przeciwnie w jakiś sposób podbudowały: nie jest tam widocznie aż tak strasznie, jeśli ludzie mają odwagę aby upomnieć się o swoje prawa; a przecież — ludzie zbiegli spoza żelaznej kurtyny mówili nam, że jest to niemożliwe. Nawet błagania nieszczęsnego premiera Węgier, który prosił aby nie wtrącano się do sprawy jego egzekucji gdyż jest to tylko i wyłącznie sprawa narodu węgierskiego, nie wzbudziły uczucia gniewu i niewiary w stosunku do Związku Radzieckiego. O tym wszystkim mogłem myśleć i czytać, kiedy byłem już po tej stronie: i to były moje pierwsze wrażenia z pobytu na Zachodzie. Trafiłem na fatalny okres; Francja, przedmiot admiracji ze strony Polaków, symbol wolności i demokracji przeżywała wtedy ciężki okres; co chwila zmieniali się premierzy rządu; Pola Elizejskie obstawione były oddziałami policji i wojska, przypominając mi Aleje Ujazdowskie z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego; co chwila zatrzymywano mnie na ulicach i legitymowano; innego znów dnia strajkowali policjanci. Pamiętam jak siedząc kiedyś na dworcu Gare St.-Lazare i czekając na pierwszy poranny pociąg idący do Maisons-Laffitte widziałem dwóch młodych policjantów znęcających się nad starym Algierczykiem; oni mieli po dwadzieścia parę lat; on musiał mieć około siedemdziesiątki. Bili go po twarzy śmiejąc się przy tym i dowcipkując; stary nie bronił się nawet a raczej nadstawiał twarz do uderzenia. O tym, iż ludzie bici nie unikają uderzeń, wiedziałem od siedzących w naszych więzieniach. „Nie trzeba rozwścieczać swojego kata — mówili. — Raczej trzeba mu pomóc”. Na moje pytanie czy to pomaga, odpowiadali rozmaicie; ale zgadzano się na ogół z tym, iż to nie może zaszkodzić. Wiadomo było, że pomoc nie może nic; cała sztuka życia po-

legała na maksymalnym wyeliminowaniu rzeczy, które mogłyby pogorszyć los bitego. Ale skąd mógł o tym wiedzieć Jezus zalecający w czasie kazania na Górze aby nadstawiać policzek swemu oprawcy; i czy wiedział, iż słowa jego zalecające miłosierdzie staną się czymś w rodzaju niepisanego prawa w więzieniu; i czy mówił to przeczuwając swój własny los; czy też znał już na tyle ludzi, aby im móc poradzić coś, co przydawać im się będzie do końca świata — o tym myślałem wtedy włócząc się ulicami Paryża. O to, że nigdy niczego nie napiszę, byłem już zupełnie spokojny: komuniści pozbawili mnie jedynej ludzkiej cechy mego charakteru: nienawiści. To życie, które widziałem dokoła siebie, było mi obce; obce były mi tłumy na Polach Elizejskich; obcy był stary Algierczyk którego masakrę widziałem; obcymi ludźmi byli dla mnie Polacy spotykani tutaj i tłumaczący mi, iż my tam, za żelazną kurtyną, zmarnowaliśmy wszystkie nasze szanse. Wszystko, co wtedy czytałem nie sprawiało na mnie wrażenia; filmy które oglądałem w Paryżu odbierałem zupełnie inaczej od filmów oglądanych w Warszawie; na wystawach malarzy abstrakcjonistów nudziłem się jak pies; a w Warszawie przed każdym bohomażem popadaliśmy w zamyślenie; parząc na obrazy Buffeta myślałem o wystawie która odbyła się w roku pięćdziesiątym piątym w Arsenale, kiedy to po raz pierwszy zamiast traktorów i murarzy, nasi młodzi malarze poczęli malować cebulę, martwe natury i kobiety. A ja chodząc po Paryżu wciąż myślałem o tym, który ma drzwi do szafy dwudrzwiowej i oczekuje propozycji. Kiedy opowiadałem to ludziom tutaj, pękali ze śmiechu.

Miałem trochę pieniędzy i chciałem pojechać do Stanów; zgłosiłem się wobec tego do Ambasady Amerykańskiej z prośbą o wizę turystyczną. Ponieważ jednak w moim polskim paszporcie ograniczono moją swobodę ruchów li tylko w granicach: „wsiech stran Jewropy” poszedłem do Polskiej Amabasady w Paryżu z prośbą aby wpisano mi również „wsie strany mira”. Przywitano

mnie uprzejmie i wpisano powyższe zdanie; poprosiłem przy okazji, aby przedłużono mi paszport.

— My chcemy wam pomóc — rzekł urzędnik, załatwiający moje sprawy. — Amerykanie będą od was wymagać, aby wasz paszport ważny był przynajmniej na rok. Z chwilą kiedy wasza wiza amerykańska będzie gotowa, przyjdziecie do nas i paszport zostanie wam przedłużony.

— Dlaczego nie możecie mi przedłużyć paszportu teraz? — powiedziałem. — Mój paszport ważny jest tylko do piętnastego października pięćdziesiątego ósmego roku. Nie zmieniacie chyba pieczętek w październiku.

— Amerykanie mają swoje przepisy konsularne, i my mamy swoje.

— Czy mogę mieć pewność, że wszystko będzie załatwione?

— Ależ oczywiście. Dostajecie wizę, my wam przedłużamy paszport i pojedziecie sobie do Stanów.

— Jaką mam pewność, że przedłużycie mi paszport?

— Ja wam na to daję słowo honoru — rzekł urzędnik; rozcałowaliśmy się i wyszedłem. Urzędnik zaprosił mnie do siebie na niedzielę a ja tymczasem poszedłem do Amerykańskiej Ambasady, aby wypełnić formularz, w którym musiałem napisać, iż nie zamierzam obalić premoją rządu United States of America; stwierdzić że nie jestem osobnikiem chorym umysłowo; homoseksualistą; podać ilość samobójstw w mojej rodzinie i tak dalej.

W niedzielę pożarłszy dwie czy trzy puszki sardynek poszedłem ubrany w ciemny garnitur do owego urzędnika konsulatu na kolację. Był tam jeszcze jeden osobnik, który nie powiedział mi swego nazwiska ale z którego buźki domyślałem się, iż nie należy on do najbliższych współpracowników Kardynała Wyszyńskiego. Zaczęło się pijaństwo; pytano mnie dlaczego zdecydowałem się wydać książkę we wrogim wydawnictwie. Powiedziałem, że każde wydawnictwo jest wrogiem pisarzowi, ponieważ skreślają nieprzyzwoite słowa i trzeba opowiadać o swo-

ich chorobach i nieszczęściach, aby wyzebrać zaliczkę czy honorarium. Ale zaproponowałem im, aby zwrócili się ze swoim zapytaniem do wydawnictw w Polsce, a tam im podadzą motywy; ja nic bliższego na ten temat nie wiem, poza tym iż mi odmówiono.

Straszliwe pijaństwo trwało dalej; urzędnik trzymał się dobrze; ale ubek wysiadł i trzeba było go wsadzać do samochodu. Całując mnie umówił się ze mną, że pojedziemy kiedyś do Polski i przejdziemy bory szlakiem jego partyzanckich wędrówek; nie wiem tylko dlaczego tytułował mnie przy tym „towarzyszu generale”; podczas gdy ja tłumaczyłem mu jak dziecku, że jestem tylko dezenterem rezerwy. To samo zresztą, mówiłem na komisjach wojskowych, kiedy pytano mnie, czy jestem zdolny do odbycia służby wojskowej.

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Bo ja jestem nerwowy.

— To nie jest powód.

— Ale ja się zacynam, kiedy jestem zdenerwowany.

— To także nie jest powód.

— A jak trzeba rzucić granatem?

— Granaty są dobre.

— Tak, ale trzeba liczyć do trzech zanim się rzuci.

Kończyło się to zawsze awanturami; ubek odjechał krzyżąc „towarzyszu generale nie takim jak oni...” i tak się jakoś wkomponował w mgłę Paryża; my z urzędnikiem doszliśmy do wniosku, że mamy niezbędne i niecierpiące zwłoki sprawy rodzinne do załatwienia w okolicach placu Pigalle. Nigdy w życiu nie byłem przedtem w prawdziwym burdelu; naprzeciw nam wyszła stara piękna i siwa pani; zgłupiałem i pocałowałem ją w rękę; mój towarzysz zachowywał się o wiele wykwintniej i pewniej siebie. Po czym rozstaliśmy się w pocałunkach.

Spotkałem innego przyjaciela z Polski; zadzwonił do mnie i prosił abym przyjechał do niego. Przyjechałem; w milczeniu wziął mnie pod rękę i poprowadził przez swe

mieszkanie; w milczeniu otworzył szafę w którym wisiały dwa kiepskie garnitury i parę kiepskich sukien jego żony, kupionych prawdopodobnie na Żydach w okolicach St. Paul; pokazał mi również radio, telewizor i lodówkę.

— Pamiętasz jak żyłem w Polsce? — zapytał.

— Tak — powiedziałem. — Nie bój się. Nie przyjdę tu nigdy więcej i nie zadzwonię do ciebie. To chciałeś mi powiedzieć, prawda?

— Tak — powiedział. — Ale możesz myśleć o mnie co chcesz.

— Zrobię dla ciebie jeszcze więcej — rzekłem. — Nawet nie będę o tobie myśleć.

— To by było najlepsze ze wszystkiego.

Wyjechałem następnie do Nicei i zacząłem zwiedzanie Lazurowego Wybrzeża w sposób klasyczny: od zła-pania trypra. Nie mogłem jednak w żaden sposób porozumieć się z portierem hotelu; kiedy wskazywałem mu dolną część swego ciała pokiwał porozumiewawczo głową i powiedział:

— *La femme?*

Zacząłem machać przecząco rękami. Zobaczyłem w jego oczach błysk porozumienia.

— *Attendez* — powiedział i począł łączyć się telefonicznie z kimś i coś mu tłumaczyć; następnie dał mi klucz i kazał mi iść do swego pokoju. Uspokojony poszedłem; za piętnaście minut wbiegł herkulesowej postawy Murzyn i krzyknąwszy „Hi, body-boy” począł się błyskawicznie rozbierać. Chciałem mu wytłumaczyć o co chodzi; nie zdołałem jednak; musiałem mu zapłacić trzydzieści franków za wizytę i poszedłem szukać zbawienia na własną rękę.

I wtedy zobaczyłem kopuły cerkwi i przyszła mi do głowy zbawienna myśl: pójdę do popa i poproszę go, aby dał mi adres lekarza. Duchowny wysłuchał mojej opowieści w milczeniu pełnym dezaprobaty i zgorszenia; zgodził się jednak pójść ze mną do lekarza i przedsta-

wić mu przyczynę moich cierpień. Szliśmy ulicami Nicei a pop prawil mi morały: jak to jest możliwe aby młody człowiek nie uważał na siebie i tak dalej; każdą swą tyradę kończył słowami:

— *Kak wam nie stydno maładoj czetawiek?*

Ja szedłem ze spuszczoną głową; pop gładząc brodę prawil mi morały i tak szliśmy przez słoneczne ulice. Nagle duchowny złapał mnie za ramię i wskazał na drzwi jakiejś restauracji.

— Tu poznałem kiedyś jedną dziewczynę — wyszep-tał. — Krasawica. A d... miała jak dzwon.

Po wizycie u lekarza poszliśmy do rosyjskiej knajpy. Knajpiarz ten był najdziwaczniejszym bussinesmanem jakiego spotkałem w swoim życiu. Kiedy poprosiłem go o befsztyk i zapytałem, czy jest dobry, roześmiał się szyderczo.

— To gówno nie befsztyk — powiedział.

— A bliny?

— Tak samo do niczego.

— A ryba?

— Nie do jedzenia.

— Więc może tatar?

— Mięso fatalne.

Czułem się bezradny; poprosiłem jednak o befsztyk i o butelkę wody mineralnej. Podał mi befsztyk i nalał wody do szklanki; i znów roześmiał się szyderczo.

— Woda sfalszowana — powiedział. I natychmiast wyjaśnił: — *Eto wsio czerez jewreji.*

W barze tym poznałem kiedyś bardzo ładną dziewczynę. Siedziałem nad szklanką whisky i zobaczyłem iż młoda osoba rzuca mi powłóczyście spojrzenia; pełen wiary we własne siły zamówiłem następną whisky i zaproponowałem jej także, na co zgodziła się z entuzjazmem. Nie mówiła po angielsku, ale z jej pełnej czaru paplaniny wynikało, iż mam ładne oczy czy też ładne ręce; czy też że jestem bardzo miły.

— Pan jest Amerykaninem? — zapytała po pewnym czasie.

— Nie.

— Niemcem?

— Nie.

— Anglikiem?

— Nie.

— A więc?

— Polakiem — powiedziałem zwycięsko.

Na twarzy jej odbił się wyraz przerażenia i pogardy, aby się tu posłużyć sformułowaniami zaczerpniętymi z powieści „Lady Hamilton, czyli najpiękniejsze oczy Londynu”; nerwowym ruchem złapała torebkę leżącą między nami na barze i szybko wybiegła z lokalu. Właściciel spojrzął na mnie i skonstatował ponuro: — To wszystko przez Żydów.

Pojechałem potem do Niemiec gdzie z kolegą Rojewskim chodziliśmy często do nocnych lokali. Osobliwością nocnych lokali w Niemczech jest dominujące zazwyczaj trio: właściciel Polak religii żydowskiej, kurwy — córy narodu myślicieli i poetów; konsumenci amerykańscy żołnierze. Często spotykałem się ze zdaniem, że Polacy religii żydowskiej nie powinni żyć i zarabiać pieniędzy w Niemczech; i chyba nie jest to zupełnie pozbawione słuszności. Nie bardzo jednak wiem, czy można wymagać od ludzi którzy stracili po sześć lat życia w Oświęcimiu czy Dachau aby jechali do Izraela i tam pracowali przy budowie dróg; nie wytrzymają ani dwóch godzin takiej pracy. Niemniej sprawa Polaków religii żydowskiej działających w Niemczech nie skończy się dobrze; obawiam się, że Niemcy stracą pewnego dnia cierpliwość i wtedy znów swastyka stanie się aktualna.

Jeden z moich przyjaciół opowiedział mi w jaki sposób zarabia się pieniądze w Niemczech. Handlując radami otworzył sklep naprzeciwko Niemca, który miał identyczny interes i prowadził go dziesięć lat płacąc podatki i dostarczając swym klientom najlepszy towar. Mój

przyjaciel sprzedawał swój towar o piętnaście procent taniej; Niemiec po jakimś czasie zbankrutował a mój przyjaciel zarobił forszę; jednak hurtownie odmówiły mu dalszej sprzedaży na skutek protestu innych kupców. Przyjaciel mój narobił kolosalnych długów; za długi nie idzie się do więzienia jeśli jest się posiadaczem interesu gdyż interes — w myśl kalkulacji naiwnych Niemców — jest zawsze podstawą do wytoczenia procesu i odzyskania pieniędzy. Ale to się tylko tak wydaje na pierwszy rzut oka; podczas gdy mój przyjaciel obracał zarobionymi pieniędzmi robiąc tak zwane małe interesy, w jego sklepie siedział za ladą smutny osobnik który dostawał dwadzieścia marek dziennie za to, iż siedział w tym pustym sklepie mając do zaoferowania swoim klientom jeden odkurzacz i trzy tranzystory najtańszego gatunku. Oczywiście, żaden Niemiec nie użyje tu terminu Żyd tak jak i ja świadomie nie używam tego terminu; jednak wszyscy oni z ochotą używają określenia „te przekłete polskie świnie”.

Szybko wyjechaliśmy z Jankiem Rojewskim: z Niemiec pojechaliśmy na Sycylię i tam przeżyłem okres grozy: kolega Rojewski miał zwyczaj oświadczenia się o rękę przy każdej okazji. Kiedy przyjechaliśmy do Mondello o godzinie czwartej po południu, przeczytaliśmy, iż parę dni temu, o godzinie dwunastej w południe, dwie rodziny prowadziły strzelaninę trwającą przez parę godzin; kilka osób padło trupem. Chodziło o zemstę rodzinną: dwadzieścia lat temu jeden ze Sycylijczyków wyjechał do Ameryki w poszukiwaniu zarobku, obiecawszy przedtem swojej narzeczonej, że sprowadzi ją do Stanów i poślubi. Nie uczynił tego, a dziewczyna została z dziećciem przy piersi; od tamtego czasu rodziny te pozostawały w stanie waśni, której koniec przypadł na czas naszego przyjazdu. Romantyczne usposobienie kolegi Rojewskiego wprawiało mnie w stan stałego napięcia; nie należy przy tym zapominać, że Sycylijczycy obrażają się kiedy nazywa się ich Włochami i że są rozkochani w broni. Wtedy wi-

działem chłopców, którzy strzelali tak jak na filmach kowbojskich: do rzuconego kamienia, który rozlatywał się w powietrzu.

Mieszkaliśmy u rybaka; koło obrazu Madonny, przed którym paliła się zawsze lampka, wisiał portret jakiegoś młodego mężczyzny w czarnej obwódce. Myślałem, iż jest to któryś z członków rodziny; wszedłszy kiedyś do innego domu zobaczyłem to samo: Madonnę i wiszącego obok niej owego młodego mężczyznę. Myślałem, że rodziny te są w jakiś sposób spokrewione i łączy je wspólna żałoba; ale potem jadąc do Taorminy znów ujrzałem twarz tegoż młodzieńca obok Madonny. Zapytałem kto to jest; nieodżałowanym nieboszczykiem był capitano Salvatore Giuliano, zabity dziesięć lat temu przez własnego kuzyna, którego Sycylijczycy nazywali *assistento*. Kariera *assistenta* nie trwała długo i wzlot jego był równie błyskotliwy jak i upadek: został otruty w więzieniu przez ludzi wiernych „kapitanowi”. Do więzienia zamknęła go policja, na której rozkaz zabił swego kapitana; chodziło o to, aby uchronić go od zemsty.

W kilka lat później znów byłem na Sycylii i zaprzyjaźniłem się z wieloma ludźmi deportowanymi ze Stanów. O jednym z nich opowiadano mi, że był przez długie lata zawodowym mordercą do wynajęcia. Udało mi się nawiązać znajomość z tym panem i zapytałem go jak wyglądała sprawa honorarium za wykonywane przez niego prace. Zamyślił się, poczem powiedział: — Nie dostałem nigdy więcej jak trzy wielkie za zwykły łeb. — Opowiadał mi o swych przygodach; nagle spojrzawszy na zegarek powiedział, iż musi już iść. Wstałem, aby uściśnąć mu prawicę a wtedy koszula moja rozchyliła się i mój rozmówca zobaczył medalik który dostałem od mych amerykańskich przyjaciół z Chicago: była to Madonna z napisem: *Our Lady of merci pray for me*. Rozmówca mój ucałował medalik i odszedł.

Nasz pobyt na Sycylii skończył się; postanowiliśmy pojechać do Rzymu gdzie w Polskiej Ambasadzie chcia-

łem w myśl danego mi przyrzeczenia przedłużyć paszport. Zatrzymaliśmy się w hotelu i poszliśmy do Ambasady.

— Musimy zapytać Warszawy — powiedziano mi.

— Przecież w Paryżu dano mi słowo honoru, że przedłużycie mi paszport, kiedy będzie trzeba.

— Poczekajcie dwa dni.

Po dwóch dniach znów zgłosiłem się do Ambasady; powiedziano mi, abym czekał.

— Nie mogę czekać — powiedziałem. — Moja włoska wiza kończy się za dwa dni. Muszę opuścić Włochy. Mam tylko wizę niemiecką i nie dostanę już żadnej innej, gdyż ważność paszportu kończy się za kilka dni.

— Jedźcie do Berlina i zgłóście się do Polskiej Misji Wojskowej. Tam będzie już dla was odpowiedź.

Pojechałem do Berlina; człowiek rozmawiający tam ze mną powiedział mi, abym natychmiast wracał do Warszawy.

— Dlaczego? — zapytałem. — Wyjechałem na Zachód za własne pieniądze, nie spełniam żadnej oficjalnej misji, nie otrzymałem żadnego stypendium.

— Wracajcie do Warszawy.

— Przez całe życie uczyliście mnie, że my, ludzie socjalizmu, jesteśmy najwolniejszymi ludźmi na świecie — powiedziałem. — Dlaczego wolno Amerykaninowi wyjechać na Zachód i siedzieć tak długo jak mu się podoba; a dlaczego nie wolno mnie. Nie żądam dla siebie niczego więcej; ale żądam absolutnie tych samych praw, jakie ma Amerykanin czy Anglik.

— Czy mam to rozumieć jako odmowę powrotu?

— Nie — powiedziałem. — Ale chcę was o coś zapytać. Jeśli polski dyplomata i towarzysz partyjny da mi słowo honoru — czy mogę mu ufać?

— Tak.

— Polski konsul w Paryżu dał mi słowo honoru, że paszport mój zostanie przedłużony. Konsul ten był członkiem partii.

— Wracacie czy nie?

— Wróć, ale kiedy będę chciał.

— Ja wam dam dwa dni czasu do namysłu.

Po dwóch dniach spotkaliśmy się tym razem nie w Polskiej Misji Wojskowej, lecz w kawiarni Kempinski. Przedtem powiedziałem do Janka Rojewskiego, który nie myślał jeszcze wtedy o pozostaniu na Zachodzie, aby poszedł ze mną i był świadkiem rozmowy. Powiedziałem mu: ty wiesz co będą pisać o mnie jeśli tu zostanę. Powiedz tym paru ludziom których obaj lubimy, jak to wyglądało naprawdę; Rojewski zgodził się.

Przyszliśmy do kawiarni Kempinskiego; ekscelecja czekał na mnie. Przedstawiłem mu Janka.

— Potrzebujecie świadków? — zapytał.

— Tak — powiedziałem. — Co zdecydowano w Warszawie?

— Macie wracać. Posiedzicie w Warszawie dwa tygodnie i znów wróćcie na Zachód.

— A po co mam siedzieć w Warszawie te dwa tygodnie?

— Ponieważ rozeszła się pogłoska, że macie zamiar zostać na Zachodzie.

— To nie moja wina — powiedziałem. — Ja tej pogłoski nie puściłem. To wyście o mnie napisali, że ja jestem szpiegiem. To Bogdan Czeszko pisał, że niechętnie wkracza w to szambo jaką jest moja sprawa. To Sokorski pisał o mnie, że zdradziłem naród polski.

— Wróćcie do Warszawy, pochodzicie trochę po mieście i znów wyjedziecie.

— A skąd mogę wiedzieć, że tak będzie naprawdę — powiedziałem.

— Ja wam dam słowo honoru.

— Ja to słyszałem w Paryżu.

Wtedy Rojewski który do tej chwili siedział milcząc, wpadł nagle w furję i zrobił się biały.

— Nie wierz ani jednemu słowu — powiedział. — Ja byłem w Rosji i znam ich. Zgnoją cię. Nie wierz w ich

honor i w ich obietnice. Niech ci przedłużą paszport tutaj, albo nie wracaj.

Wstałem od stolika.

— Nie mówię panu do widzenia — powiedziałem. — Nie spotkamy się już nigdy.

Ale omyliłem się; być może iż spotkamy się kiedyś. Człowiek który ze mną rozmawiał był jednym z najlepszych w Europie specjalistów od porywania ludzi i przrzucania ich na Wschód; on sam parę miesięcy temu poprosił o azyl polityczny, motywując swą decyzję argumentami natury moralnej. Udzielono mu azylu; i nikt nigdy nie będzie go sądził za tych wszystkich ludzi, których posłał na śmierć; nikt nigdy nie upomni się o tych, których zniszczył i o tych, którzy spędzili lata w więzieniach. Nie zazna również głodu ponieważ jego informacje mogą stać się cenne; resztę dorobi wywiadami prasowymi, po czym prawdopodobnie otrzyma z jakiejś fundacji jakieś stypendium, aby mógł pojechać do Ameryki i przekonać się iż Ameryka nie jest piekłem i więzieniem a pięknym i mocnym krajem; i pewnie napisze książkę, w której oświadczy iż się pomylił; tak jak pomylił się pułkownik Światło i pułkownik Monat. I będzie żyć spokojnie i dobrze, tak długo jak długo nazwisko jego pojawiać się będzie w prasie; ale potem, kiedy zostanie zapomniany, przypomną sobie o nim tamci; i tak skończy się kariera ministra Tykocińskiego.

W Niemczech nie było mi łatwo kiedy już poprosiłem o azyl i przeszedłem przez wszystkie badania. Nie umiem nic powiedzieć o Niemczech; w swoim czasie proponowano mi kilkakrotnie napisanie scenariusza: dwa razy dla filmu; raz dla telewizji. Nie umiem nic powiedzieć o Niemczech; nie bałem się ich podczas wojny i nie myślałem o tym już nigdy po wojnie; ale przeleżałem się ich naprawdę wtedy, kiedy żyłem tam przez jakiś czas i kiedy zobaczyłem jak oni żyją: spokojnie, przytulnie i cicho. Pamiętam jak taksówkarz niemiecki oświadczył

czył mi kiedyś: Amerykanie nas zdradzili. W roku ty-
siąc dziewięćset czterdziestym piątym mieliśmy jeszcze
dużą ilość dywizji zdolnych do boju; gdybyśmy razem
poszli na Rosję nie byłoby dziś tego wszystkiego. Opuś-
ciłem Niemcy, gdyż zbyt mi to przypominało Polskę; i
tam również nikt nic nie wiedział; inni moi rozmówcy
— zażywni panowie pod pięćdziesiątkę jeżdżący Merce-
desami 300 SL — mieli podczas wojny po lat dziesięć
i także nic nie było im wiadomo na temat figlów, których
dopuszcili się chłopcy z SS. Kazano im zabijać, zabijali;
kazano im żyć spokojnie, żyją spokojnie. Pamiętam jak
kiedyś któryś z pisarzy niemieckich powiedział do mnie:
Uciekaj pan stąd. Pan nigdy nic o Niemczech i o Niem-
cach nie napisze; tak jak i ja nie napiszę niczego. Niemcy
są tematem dla ślusarza; ale nie dla człowieka piszącego.

Mieszkałem przez pewien czas w Monachium; tam
poznałem dyrektora Jana Nowaka z Radia „Wolna
Europa”; dyrektor Nowak pokazał mi okólnik wydany
dla wewnętrznego użytku organizacji partyjnych; Leon
Kruczkowski powiedział o mnie tymi oto słowami: „Jak
widzimy, towarzysze, niedługa jest droga od pierwszego
kroku w chmurach... do ostatniego kroku w bagno impe-
rialistycznego wywiadu*”. Wtedy pojechałem do Berli-
na, zgłosiwszy się do Polskiej Misji Wojskowej i popro-
siłem o prawo powrotu do kraju. Człowiek rozmawiają-
cy ze mną kazał mi napisać podanie, uprzedzając mnie
jednocześnie, że grozi mi odpowiedzialność sądowa. Na-
pisałem i wyszedłem.

Powiedziałem sobie: Polska to nie Putrament i
Kruczkowski i ci wszyscy inni. Polska to ci wszyscy lu-
dzie, którzy mnie czytali i którzy we mnie wierzyli. Więc
wróć tam i stanę przed sądem jako szpieg; trzeba będzie

* Powyższy cytat został wyjęty z protokołu XII Plenum KC (15-18. X. 58). Egzemplarz nosi datę listopad 1958 i zaopatrzony jest w notatkę: „Wyłączenie do użytku partyjnych”. Na stronie 167 znajduje się powyższy frag-
ment.

mi tylko udowodnić, że posiadałem materiały szpiegow-
skie gdyż nie można być szpiegiem przychodzącym z ni-
czym. Powiedziałem sobie: mieliście odwagę pluć na
mnie; mieliście odwagę nazwać mnie szpiegiem; znisz-
czyliście mi najlepszy kraj do pisania na świecie; moja
rodzina wstydzi się za mnie; więc weźcie mnie teraz i
ukarźcie. Jestem wariatem i nie przyznam się do niczego
choćby badano mnie w najbardziej okrutny sposób; mie-
liście odwagę mnie oskarżyć miejcie odwagę mnie skazać.
Wiedziałem oczywiście, że nikt nie wierzy w to, że pra-
cuję dla wrogich Polsce wywiadów; ale jeśli wśród moich
czytelników znalazł się choć jeden, który w to wierzył
— ta książka napisana jest dla niego.

Ale nie dostałem wizy powrotnej; wyjechałem do
Izraela i tam postanowiłem czekać na odpowiedź, gdyż
Warszawa znów musiała zdecydować. Chodziłem do Pol-
skiego Konsulatu przy ulicy Allenby gdzie mi wciąż po-
wtarzano, iż odpowiedź jeszcze nie nadeszła. Widziałem
wtedy wielu ludzi religii żydowskiej którzy chcieli wró-
cić z powrotem do Polski, ale nie wpuszczono ich. Ko-
muniści przyznający sobie prawo do omyłek odmawiali
tegoż samego prawa ludziom, którzy przyjechali do Izrae-
la tylko po to, aby przekonać się, że nie mają nic wspól-
nego z żydostwem, z żydowskimi obyczajami i z Pań-
stwem Izrael. Ludzie ci wyjechali z Polski w okresie kie-
dy fala antysemityzmu przeszła przez kraj; Izrael był je-
dynym miejscem, w którym mogli się schronić przed Po-
lakami. Ludzie ci, przeważnie już starsi, nie mogli znieść
ani klimatu Izraela, ani ciężkiej pracy, ani niechęci ze
strony Izraelczyków urodzonych w Izraelu; tak więc po-
stanowili powrócić, ale *commies* nie wpuścili ich; w ten
sposób poczęli nienawidzić Polski i wszystkiego co pol-
skie; i w ten sposób Polaków religii żydowskiej ponizo-
no raz jeszcze i raz jeszcze zhańbiono Polskę; krąg nie-
nawiści zamknął się, tym razem za sprawą *commies*, na
zawsze.

Ja sam pracowałem wtedy jako robotnik budowlany;

pewnego dnia w konsulacie polskim powiedziano mi, iż będzie ze mną rozmawiał minister Bida. Byłem ciekaw; wielu ludzi twierdziło iż Bida jest prototypem Szczęsnego — bohatera książki Igora Neverly „Pamiętka z Celulozy”. Szczęsny, którego pamiętałem, był wojownikiem; zabił na własną rękę człowieka z „Defy”; był postacią prawdziwą — ten starzec siedzący naprzeciw mnie i oglądający uważnie mój paszport był biurokratą nie wysilającym się nawet zbyt, aby udawać, iż mówi prawdę. Zapytał mnie dlaczego pracuję na budowie; powiedziałem mu, że jestem pusty. On z kolei powiedział mi, że praca robotnika budowlanego nie jest wskazana dla pisarza polskiego. Zapytałem go dlaczego; ale nie otrzymałem odpowiedzi. Powiedział mi, iż istnieje dla mnie jedyna szansa powrotu: trzeba abym wrócił z powrotem do Berlina i zwoławszy konferencję prasową oświadczył, że nigdzie nie żyje się tak dobrze jak w Polsce.

— Panu chodzi o to, abym odszczekał wszystko co powiedziałem, prawda? — zapytałem. — Abyś ośmieszył tych ludzi którzy dali mi azyl i którzy chcieli mi pomóc. O ile dobrze rozumiałem, o to panu chodzi.

Bida spojrzał na mnie.

— Pomyślcie przez chwilę czyje sputniki latają wyżej — powiedział. — Pan pojedzie do Berlina i w tym samym mieście, w którym poprosił pan o azyl powie im pan, iż pan się pomylił.

— O tym chcę powiedzieć sędziom w Polsce.

— Jeśli pan będzie miał okazję.

Oddał mi paszport i wyszedłem. Pomyślałem sobie, że nie jest z nimi aż tak dobrze jeśli nie mają odwagi wsadzić mnie w Polskę i bić mnie tak długo, aż im wyśpiewam wszystko. Ale nie miałem nic do wyśpiewania; chodziłem jeszcze przez długi czas do konsulatu i stale odpowiadano mi, że odpowiedź nie nadeszła. Chciałem zabawić się w ułana ale nawet i to nie wyszło.

Pracowałem przez jakiś czas dla pisma „Maariv”; zostałem zaproszony przez to pismo na miesiąc pobytu w

Izraelu z tym, iż będę pisać co tydzień felieton i że zostaną mi zwrócone koszty podróży. Natychmiast po przyjeździe wręczyłem swój bilet lotniczy Philipowi Benowi; Ben schował bilet do kieszeni i powiedział:

— Proszę jutro przyjść do redakcji to wypłacimy panu sumę za bilet.

— Niech lepiej zostanie w redakcji — powiedziałem. — Zgłoszę się po pieniądze w przeddzień wyjazdu. Dobrze?

— Dobrze — powiedział Philip Ben.

Zacząłem swoją karierę felietonisty: pierwszy felieton napisałem o niemieckim filmie „Dziewuszka Rosemarie”; napisałem o tym dlatego, iż film ten, jakkolwiek artystycznie żenująco słaby, oddawał wiernie atmosferę panującą w Niemczech; a także dlatego, iż w owym czasie w Izraelu nie wyświetlano filmów niemieckich i myślałem iż właśnie ten film, mający olbrzymie powodzenie w Niemczech i zagranicą, zainteresuje czytelnika izraelskiego. Potem napisałem jeszcze kilka felietonów; wreszcie po miesiącu przyszedłem do redakcji i powiedziałem do Bena:

— Zostanę jeszcze przez jakiś czas w Izraelu. Nie mam po co wracać do Europy. Czy mogę prosić o pieniądze?

— O jakie pieniądze?

— Na koszty podróży, które obiecał mi pan w imieniu redakcji.

— Jakiej podróży?

— Samolotem. Według umowy.

— Jakiej umowy?

— Naszej. Przeprowadzonej pomiędzy panem a mną.

— A ma pan tę umowę?

— Nie. To była umowa ustna, obowiązująca tak samo jak umowa pisana.

Pamiętam dobrze tę scenę gdyż nigdy nie widziałem człowieka tak rozbawionego jak Ben kiedy powiedziałem, iż ustne przyrzeczenie posiada również wartość praw-

ną. Ben tarzał się ze śmiechu; i ja także; przy czym obaj śmieliśmy się z mojego idiotyzmu. Wyszędłszy na ulicę śmiałem się jeszcze długo; przypuszczam iż Philip Ben także.

Poszedłem z kolei do mojego wydawcy, który wydał moją książkę w języku hebrajskim nie pytając mnie nawet nigdy o zgodę; kiedy poprosiłem go o forszę, poprosił mnie abym przyszedł za tydzień. Po tygodniu sekretarka jego oświadczyła mi, iż matka mego wydawcy jest chora; po dwóch tygodniach on sam zapadł na zdrowiu; po trzech powołano go do wojska; po dwóch miesiącach zbankrutował. Poszedłem do adwokata; adwokat powiedział mi, abym dał sobie spokój.

Był to ciężki czas; rzuciłem pracę na budowie ponieważ liczyłem się z możliwością powrotu do kraju; a mój bohater pozytywny poradził mi, abym nie pracował na budowie; do dzisiaj nie wiem jednak dlaczego praca robotnika budowlanego jest sprawą hańbiącą dla człowieka piszącego po polsku. Była to zresztą świetna praca; pracujący tam ludzie należeli do grupy Izaaka Sterna i w czasie przerwy obiadowej wciąż opowiadano sobie o zamachach bombowych, terrorze i o śmierci Sterna, którego tak głupio opisał Wańkowicz. Wszyscy ci ludzie stali się po roku czterdziestym ósmym ludźmi niepotrzebnymi; była to analogiczna sytuacja jak u nas w Polsce z ludźmi Armii Krajowej. Terrorysty zrobili swoje; terroryści walczyli najdzielniej ze wszystkich, po czym poszli w odstawkę.

Straciłem pracę na budowie: druh mój i przyjaciel młodości, Janek Rojewski, otrzymawszy posadę architekta wyeliminował mnie z kręgu swych przyjaciół; i tak zaczął się dla mnie czas głodu. Po dziesięciu dniach nie jedzenia zacząłem mieć halucynacje; pamiętam, że poszedłem kiedyś wieczorem na plażę i zobaczyłem jakąś starą damę która weszła do wody pozostawiwszy lornetkę; chwyciłem lornetkę i poszedłem do portiera hotelu, w którym kiedyś mieszkałem.

— Słuchaj — powiedziałem. — Ja pociągnę jeszcze przez parę dni. Daj mi pokój. Chcę po prostu umrzeć w łóżku. Lornetka i buty twoje.

Miałem wtedy świetne buty które kupiłem w firmie „Budapest” w Berlinie; portier otaksował mnie fachowym spojrzeniem i powiedział:

— Dobrze. Właściciel hotelu jest w Ameryce. Buty i lornetka od razu. Dostaniesz jedynekę.

„Jedyneką” był pokój przy sraczu; kiedyś była to łazienka z sedesem ale właściciel hotelu uznał iż można zrobić z tego jeszcze jeden pokój; sracz przedzielono cienką ścianą z tektury i tam poszedłem aby wykorkować. Byłem tak zupełnie pewien swojej śmierci, że oddałem mu buty i lornetkę po czym położyłem się w spodniach na łóżku gdyż nie miałem już siły aby się rozebrać. Nie czułem ani niepokoju, ani rozpaczony ani niczego z tych rzeczy, o których czytamy; po prostu wiedziałem, że umrę. Portier przyniósł mi dzban wody; budząc się od czasu do czasu piłem wodę po czym natychmiast zasypiałem. Miałem halucynacje; ale zawsze były to wizje pogodne i miłe; Dostojewski pisząc o snach swoich bohaterów mówi, że ludzie chorzy miewają sny bardzo wyraziste i dręczące. Ale ja nie byłem chory; byłem zdrowy jak byk i umierałem z głodu mając lat dwadzieścia pięć, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu i osiemdziesiąt kilo wagi. Od czasu do czasu wchodził portier i w milczeniu podchodził do mego łóżka podnosząc mi powiekę; po czym wychodził. Nie zapomnę jego ręki unoszącej fachowym ruchem moją powiekę; podobną scenę widziałem potem w filmie „The Asphalt Jungle”; gangster po oddaniu strzału podchodzi do trupa i unosi mu powiekę; po czym rozmowa toczy się dalej i nie pada nawet słowo na temat martwego człowieka.

Któregoś dnia obudził mnie portier: dał mi filiżankę piekielnie mocnej kawy i bułkę z szynką; znów zasnąłem ale po godzinie znów obudził mnie wlewając mi kawę do ust i mówiąc coś długo czego zupełnie nie rozumiałem.

Wreszcie powiedział mi: szuka mnie konsulat amerykański; mam tam pójść podjąć jakieś należne mi pieniądze. Przyniósł mi gorący obiad i musiał mnie przy tym karmić.

— Dobra — powiedziałem. — Trzeba to iść podjąć. Dawaj buty.

— Jakie buty?

— No moje buty.

— Przecież ty mi te buty dałeś.

— Ale powiedziałem, że wykorkuję. A nie wykorkowałem.

— To mnie nic nie obchodzi — powiedział. — Już widziałem wielu takich. Byłem pewien, że wykorkujesz. Buty sprzedałem.

— Przecież nie mogę iść do Ambasady Amerykańskiej na bosaka.

— Nie mogłem o tym wiedzieć. Powiedziałeś, że jesteś na wykończeniu. Zrobiłem ci przysługę.

— Ale ja żyję.

— To twoja sprawa. Kiedy tu przyszedłeś, myślałem że za trzy dni będzie po wszystkim. I tak całe szczęście, że właściciel wyjechał do Stanów. Inaczej musiałbyś położyć się na plaży.

Wreszcie portier poszedł i pożyczył buty od jakiegoś misjonarza; buty duchownego uwierały mnie, ale jakoś dowlekleśmy do Konsulatu Amerykańskiego; dostałem czek i musiałem iść kupić buty; sprzedawcą był znajomy mojego portiera z hotelu. Siedząc w sklepie i przymierzając buty zobaczyłem jakiegoś nieznajomego mi człowieka, który siedział naprzeciw i przedrzeźniał mnie; miał zapadniętą twarz, dzikie oczy i dwutygodniowy zarost. Kiedy ja wkładałem but na prawą nogę, on robił to samo; kiedy ja wstawałem, aby spróbować czy but jest dobry, on czynił to samo.

— Misza — powiedziałem do mego portiera. — Powiedz temu facetowi aby się odpieprzył. Ty przecież wiesz, że ja nie znam hebrajskiego.

Popatrzyli na mnie; i ten naprzeciw mnie też patrzył

na mnie; i milczeliśmy tak przez chwilę wszyscy czworo. Ale było nas tylko troje: to jest sytuacja ze złego opowiadania czy też z bardzo złego filmu; ale ta książka nie jest opowiadaniem, jest tylko próbą wyjaśnienia którą winien jestem niektórym ludziom.

Przez jakiś czas mieszkaliśmy wspólnie z kolegą Dyziem T., młodym naukowcem, wyróżniającym się pijaństwem. Zdawałoby się, iż Ziemia Święta miejsce pobytu Jezusa Chrystusa, Barabasa i Dawida, nie jest miejscem w którym można byłoby człowieka czymś zadziwić; Dyziowi to się udało. Pamiętam, jak szliśmy kiedyś przez ulicę Ben-Jehuda; było może czterdzieści stopni a Dyzio zgłosił projekt skonsumowania butelki koniaku. Weszliśmy do knajpy; tam było jeszcze bardziej duszno i pot łał się z nas po wypiciu każdego kieliszka. Kiedy skończyliśmy butelkę, Dyzio powiedział:

— Właściwie to wcale nie miałem ochoty na wódkę.

— No to po co wypiliśmy tę butelkę? — zapytałem.

— A tak, przez rozum — rzekł Dyzio.

Miałem w owym czasie fatalną historię; wszedłszy kiedyś do baru przy ulicy Yaarkon poprosiłem o kieliszek koniaku. Dosiadła się do mnie jakaś dziewczyna i poprosiła mnie, abym postawił jej także. Powiedziałem, że jestem pusty i uprzedziłem barmana, że płacę tylko za siebie. Po czym poprosiłem o drugi i trzeci kieliszek; młoda dama piła wraz ze mną. Wreszcie dostałem rachunek; barman wystawił mi rachunek za sześć kolejek.

— Nic z tego nie będzie — powiedziałem. — Uprzedzałem, że płacę tylko za siebie.

Barman dał mi dobry rachunek; sięgnąłem po popielniczkę aby strząsnąć popiół, ale rozwścieczona córka Koryntu odsunęła popielniczkę.

— Dla takich gości jak ty szkoda nawet popielniczki — powiedziała.

— To ty to powiedziałaś — rzekłem i zgasilem papierosa na jej policzku.

Zaresztowano mnie; w parę lat później przeczytałem, że mój ukochany Humphrey Bogart zachował się kiedyś w analogiczny sposób i na pytanie sędziego: „Czy pan był wtedy pijany”, Bogart spojrzawszy na niego z najwyższym zdumieniem, powiedział: „A któż jest trzeźwy o godzinie czwartej rano?”. Kiedy zwalniano mnie z więzienia „Maariv” przysłał swego fotografa, aby zrobił mi zdjęcie: jestem na nim między dwoma policjantami. Zdjęcie to przysporzyło mi wiele popularności i sympatii; po jakimś czasie, kiedy żeniłem się z Sonią, zapobiegliwi dziennikarze niemieccy zakupili to zdjęcie i przeszło ono przez szpalty wszystkich niemieckich brukowców zaopatrzone w podtytuł: „I ty myślisz, że uda ci się go poprawić?”. Było to pytanie skierowane do mojej żony.

W owym czasie ciężko było dostać pracę i to w dodatku na lewo; przyjechało mnóstwo nowych emigrantów z krajów wschodnich; byli to ludzie starsi i co trzeci z nich był lekarzem. Idąc po ulicy Tel-Awivu widziało się na każdej bramie po parę tabliczek z nazwiskami doktorów. O fizyczną pracę ciężko było i w Tel-Awivie i w Haifie; koledzy poradzili mi abym pojechał do Ejlatu dodając, że nawet jeżeli nie znajdę pracy, to będzie mi się tam podobać, gdyż Ejlat jest wesołym miastem.

Wysiadłszy z samolotu trudno było mi stwierdzić od razu czy Ejlat jest miastem atrakcyjnym, czy nie. Ale nie przeszedłem ani dziesięciu kroków, kiedy zatrzymał mnie jakiś młody mężczyzna.

— To ty jesteś Hłaskower? — zapytał.

— Ja.

— Znam twoje zdjęcie z gazety — powiedział. — Przyjdź dziś wieczorem do tej knajpy.

Przyszedłem; mój znajomy czekał już z innymi. O jednym z nich dowiedziałem się, że w czasie wojny czter-

dziestego ósmego roku, będąc dowódcą czołgu i otrzymawszy rozkaz ataku, pojechał pod jakiś arabski bank i kilkoma silnymi strzałami rozwalił kasę pancerną i pozabawił życia urzędników; po czym z forszą w kieszeniach pojechali do ataku. Drugi był niegdyś cenionym kontrabandzistą; w czasie sprzeczki zastrzelił na ulicy w Jerozolimie dwóch Arabów twierdząc, iż ci go sprowokowali. Obaj znaleźli się w Izraelu zdezertowawszy poprzednio z armii radzieckiej i dokonawszy na terenie Niemiec szeregu napadów rabunkowych i morderstw. Do stolika przysiadł się nowy towarzysz i mieszkaniec wesołego miasta Ejlata; będąc oficerem NKWD zamordował całą rodzinę ukraińską, która wydała jego rodzinę Niemcom; po czym uciekł poprzez Polskę i Czechosłowację do Niemiec. Ale najstraszliwszy był jeszcze inny, który dosiadł się najpóźniej i który nic nie mówił o sobie, a którego historię przeczytałem w gazecie; urodzony w Polsce wyemigrował do Izraela. Po jakimś czasie dowiedział się, że Niemiec który własnoręcznie wymordował jego rodzinę jest obecnie w Legii cudzoziemskiej; uciekł bez paszportu z Izraela do Francji; wstąpił do Legii i w czasie walk w Indochinach zabił mordercę swojej rodziny; następnie zdezertował z Legii Cudzoziemskiej i wrócił jako lewy pasażer statkiem do Izraela. Czekają go trzy sprawy: nielegalne przekroczenie granicy izraelskiej i służba w obcej armii; za to miano go sądzić w Izraelu. Natomiast deportacji jego domagała się również Francja; dezercja z Legii i wyrównanie rachunków z SS-manem. Wypiliśmy po parę kieliszków i znów przysiadł się nowy towarzysz: będąc dzieckiem bogatych rodziców wpadł na pomysł, aby obrabować bank; złapano go i zasądzono na piętnaście lat; uciekł z więzienia i poprzez Meksyk i kraje Ameryki Południowej dostał się do Izraela.

Wszyscy ci ludzie nie byli w Ejlacie dobrowolnie; zesłała ich tu policja na okres trzech, czy pięciu lat. Ci wszyscy, których poznałem, wyglądali o dziesięć lat starszej, niż każdy z nich miał w rzeczywistości; szybko tra-

cili włosy i zęby. Niektórzy z nich stawali się potwornie grubi; inni wysuszeni i o twarzach porytych bruzdami. Do każdego posiłku dostawało się po dwie tabletki soli; w tym klimacie człowiek wypaca z siebie wszystko. Pito piwo w ogromnych ilościach; nocami koniak. W owym czasie nie było jeszcze kina w Ejłacie; były natomiast kluby w których grano w karty. Klęską tych ludzi był brak kobiet; kobiety urodzone w Europie nie chciały tu przyjeżdżać, gdyż po dwóch latach zamieniały się w staruszki; Sabry nie miały najmniejszej ochoty wiązać się z kryminalistami.

Kiedy ja tam byłem, temperatura dochodziła do pięćdziesięciu stopni, ale powiedziano mi, że bywa i gorzej. Mimo to pito w sposób straszliwy; górnicy pracujący w kopalni miedzi po otrzymaniu czeku w dniu wypłaty przychodzili do knajpy i rzucając knajpiarzowi czek, mówili: „Powiedz kiedy”; jedzenie i spanie otrzymywali za darmo. Inni z nich ciułałi znów pieniądze, aby z chwilą kiedy przestaną być podopiecznymi policji móc rozpocząć nowe życie; kończyło się to przeważnie w ten sposób, iż piekielnie znudzeni brakiem kobiet, kina i rozrywek, szli do któregoś z klubów gdzie grali w karty; po pewnym czasie nie mieli znów pieniędzy i zaczynali oszczędzać na nowo; w Ejłacie nie płacono się podatków.

Nie znalazłem jednak pracy w Ejłacie; wracając autobusem przejeżdżałem przez Beer-Shebę i tam zostałem na okres dwóch dni u jednego z moich kolegów. Wpako- wałem się w sam środek zabawy; było to akurat w tym czasie, kiedy tak zwani „czarni Żydzi” poczęli buntować się „przeciw białym”. Sytuacja „czarnych” nie była najlepsza; byli to safardyjczycy, ludzie którzy zachowali arabskie obyczaje; nie znający ani rzemiosła, ani języka. Oczywiście, że dostawali pracę gorzej płatną od ludzi z Europy czy też od urodzonych w Izraelu. Kiedy wysiadłem w Beer-Shebie zaczęło się; rozwścieczeni „czarni” ganiłi mnie przez dwa dni z nozami krzycząc za mną „wus-wus”. Nie znając żydowskiego, znali tylko jedno

słowo; i tak wszystkich „białych” Żydów nazywali „wus-wus”. Zdemolowali wtedy pocztę i przecięli druty telefoniczne; wreszcie po paru dniach policja opanowała sytuację i zapanował spokój. Podobne incydenty zdarzyły się również w Haifie. Zmęczony czterdziestoośmiogodzinnym biegiem po ulicach miasta i stale zachęcany do utrzymania tempa przez tłum safardyjczyków z nożami, zrezygnowałem z pracy w Beer-Shebie i wróciłem do Tel-Awivu.

Znów poszedłem do polskiego konsulatu; wizy dla mnie nie było. Ludzie z Rosji, z którymi na ten temat rozmawiałem, błagali mnie abym tego nie robił, mówiąc: Komuniści nie przebaczą. Ale byłem wtedy, jak człowiek głuchy i ślepy: chciałem wrócić do Polski i stanąć przed sądem oskarżony o szpiegostwo; to był mój pomysł na spędzenie życia. Mieli odwagę nazwać mnie szpiegiem, ale nie mieli odwagi aby wziąć odpowiedzialność za własne słowa; tak więc, kiedy myślę o nich dzisiaj, tchórzostwo wydaje mi się ich jedyną ludzką cechą.

Pracę znalazł mi mój kolega z Warszawy, Jurek. Praca była świetna: mianowicie w hucie produkującej szklaną watę. Na zewnątrz temperatura dochodziła do pięćdziesięciu stopni; wewnątrz sali stał piec hutniczy. Nieszczęście polegało na tym, iż wirujące w powietrzu odrobiny szklanej waty przechodziły przez nasze koszule i kombinezony i wchodziły głęboko pod skórę; tak więc przysypani talkiem i pokryci bąblami, wyglądaliśmy jak statyści grający trędownych w filmie „Ben-Hur”. Rano chodziło się na plażę po nocnej pracy i tam człowiek starał się spalić własną skórę; to nieco pomagało, gdyż wtedy skóra przestawała piec a zaczynała swędzić; lub odwrotnie. Ja twierdziłem, że mnie piecze; mój majster twierdził, iż go swędzi. W fabryce tej pracowałem pod obcym nazwiskiem gdyż jako turysta nie miałem pozwolenia na pracę. Nocami, rozmawiając ze swym majstrem pochodzącym z Węgier, opowiadałem mu tajniki mego życia rodzinnego, moje kłopoty z żoną i córką; i po ja-

kimś czasie tak wziętem się w tę rolę, że zacząłem zmyślać wciąż nowe perypetie małżeńskie — oczywiście wszystko jako Jerzy Buchbinder-Press. Po jakimś czasie wszyscy zaczęli mi dawać dobre rady jak postępować z żoną i córką; ja wymyślałem nowe sytuacje i komplikacje i tak schodziły nam noce. Kiedy wreszcie odszedłem z tej fabryki i znalazłem sobie inną pracę, nie mogłem w żaden sposób oswoić się z myślą, iż nie mam już żony i córki; i dalej mówiłem o swoich kłopotach rodzinnych. Myślę, że Jurek Press wybaczy mi to wszystko jeśli kiedyś przeczyta powyższe; ale czy wybaczy mi to jego żona, Hania, która nie wiedziała nawet że przez długi czas miała dwóch mężów; na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Nie umiałbym nigdy napisać reportażu o Izraelu czy na ten temat czegoś sensownego, z tej prostej przyczyny, iż ludzie ci ocalili mi życie. Kiedy nie miałem co jeść, dano mi pracę w fabryce i wszyscy wiedzieli, że pracuję na lewych papierach; kiedy indziej skierowano mnie do pracy na budowie jako człowieka psychicznie chorego; w moim wypadku zachodziła konieczność terapii pracą; pracowałem więc razem z innymi schizofrenikami i alkoholikami. Pomagali mi ludzie świeżo przybyli z Polski choć sytuacja ich nie była dobra i mieli pełne prawo nienawidzić każdego kto pochodzi z Polski. Wielu z nich przyjechało tylko po to, aby przekonać się iż są Polakami a nie Żydami; ale *commies* nie pozwolili im na powrót. Herling-Grudziński w swojej książce opisuje występ marynarza śpiewającego pieśń: „Razkinułoś morie sziroko”; miejscem występu jest sowiecki obóz pracy; niemniej ludzie śpiewający wraz z marynarzem Wsiewołodem doznają uczucia nostalgii i tęsknoty za krajem, od którego zostali oddzieleni; za krajem terroru, głodu i rozpacz. Podobne sceny obserwowałem w Izraelu: osobnik przedstawiający się zazwyczaj: „Kapitan Abakarow, adstawnoj oficer narodnowo kamisariata wnutriennych dzieł” śpiewał arię Lenskiego lirycznym tenorem; inny mieszkaniec

Ejlatu siedząc w nocy na tarasie restauracji, ubrany tylko w półkoszulek śpiewał, że „mnogo, mnogo, mnogo w zyzni prejdieno; na ziemle i na wodie; no sowieckoj naszej rodziny nie zabyli my nigdzie”. Moi polscy koledzy śpiewali zazwyczaj pieśni z repertuaru Mieczysława Fogga; tylko ludzie przybyli z Niemiec nie śpiewali nigdy i nic. Kiedy pytałem ludzi: po co żeście tu przyjechali — odpowiadali mi zawsze w sposób jednakowy: bo wypuszczali.

Ich asymilacja nie była sprawą łatwą: Sabry nie bardzo lubią przybyszów ze Wschodniej Europy, wstydząc się masakry Żydów i ich bezwolności w czasie wojny. Kiedyś konsul polski urządził wystawę z okazji rocznicy powstania w getcie warszawskim; przechodziłem akurat tamtędy z jedną ładną Sabrą.

— Popatrz, Esther — powiedziałem. — Tak to mniej więcej wyglądało.

Popatrzyła przez sekundę na zdjęcia rozstrzelanych dzieci i ludzi pędzonych do gazu, po czym powiedziała:

— Spóźnimy się. Chcę zobaczyć Monty Cliffa.

W kinie naprzeciw wyświetlano akurat film: „Nagle, ostatniego lata” z Montgomery Cliff i Eliszewą Taylor. Eliszewska Taylor jak wiadomo przeszła na wyznanie mojżeszowe w czasie zawierania któregoś z kolejnych małżeństw i z Elizabeth stała się Eliszewą; prasa izraelska była szczęśliwa a ja szedłem akurat wtedy poprzez miejskie targowisko gdzie sprzedawca biustonoszy demonstrował nabywcom sztuczne biustonosze o rozmiarach biustów ulubionych gwiazd filmowych, tak oto zachwalając swój towar:

— Lollobrigida jesz. Pampani jesz. Mansfield jesz.
— Po czym robił efektowną pauzę i wyciągnąwszy biustonosz olbrzymiej wielkości krzychał: — Eliszewska Taylor, szesz lira, jesz. Ejze likwidacja! ejze likwidacja!

Tak więc Esther poszła popatrzeć na Eliszewę a jaostałem chwilę przed zdjęciami; zatrzymywali się tam

ludzie przybyli z Europy; młodzi i silni mężczyźni, którzy tak skromnie nazwali się sami „sabrami”, przechodzili obojętnie. Oni sami, wychowani w pogardzie dla życia i gotowi każdej chwili zginąć za Izrael, nie byli w stanie wzruszać się obrazem bezbronych ludzi idących bez oporu na śmierć. Ludzie przybywający z Europy nie zyskali ich sympatii; oni sami przyzwyczajeni do ciężkiej pracy fizycznej patrzyli z politowaniem na tych wszystkich, którzy usiłowali urządzić się w sklepach, biurach czy szpitalach. W zasadzie człowiek mógł zdobyć sympatię Sabry tylko jedną rzeczą: pracą. Człowiek bojący się słońca i wysiłku fizycznego nie mógł liczyć na to, iż pewnego dnia któryś z ludzi urodzonych w Izraelu, powie o nim: *hewra-man*.

Nie było to jednak tak łatwo z tą pracą. Pamiętam jak kiedyś poszliśmy pracować razem z moim kolegą: młodym i zdolnym dziennikarzem z Katowic. Nasza praca była prosta; wyroby progów betonowych. Brało się formę ważącą około siedemdziesięciu kilo i wlewało w nią sto dziesięć kilo betonu; po czym odkładało się ją na bok czekając aż beton zaschnie. Zaczęliśmy pracę o piątej rano; o dziesiątej musieliśmy przerwać: kolega mój nie wytrzymał fizycznie.

Wobec tego sam zabrałem się do pracy i począłem ładować na samochód ciężarowy te cholerne progi; ale pracowałem z Arabami, którzy bali się jak ognia konkurencji; praca ta była tak straszliwa, że nie było na nią amatorów nawet wśród Sabrów; niemniej Arabowie bali się każdego człowieka przystępującego do tej pracy, stanowiącej źródło ich utrzymania. Tak więc, jeden z nich upuścił mi blok betonowy na rękę; i o godzinie dwunastej musiałem stamtąd odejść i pójść prosto do szpitala. W szpitalu doktor zapytał mnie jak to się stało; powiedziałem mu, że przy pracy. Zapytał mnie gdzie pracuję; powiedziałem mu, że nie mogę tego niestety powiedzieć, gdyż nie mam pozwolenia na wykonywanie pracy i mój szef może mieć przykrości. Doktor popatrzył na mnie i

kiedy chciałem już odejść, kazał mi wrócić i w milczeniu opatrzył mi rękę.

— Teraz pan z kolei będzie w kolizji z prawem — powiedziałem.

Nie przerywając oglądania zdjęcia roentgenowskiego, powiedział:

— Pan oczywiście nie jest Żydem. Inaczej nie zadawałby pan takich głupich pytań. Żydzi zawsze są w kolizji z prawem, ale to nie wynika z ich inicjatywy. Skąd pan jest?

— Z Polski — powiedziałem.

— A to zabawne — rzekł. — Wczoraj miałem pacjenta który pracował w waszej policji politycznej i uciekł tutaj. I tutaj go pokrajali nożami tamci, których on pilnował, a którzy uciekli wcześniej. Teraz on pewnie z kolei gdzieś ucieknie, a tam już będą czekać na niego inni którzy uciekali przed innymi. I tak bez końca.

Opatrzył mi rękę: w dwa miesiące później znów byłem u niego: tym razem rozwaliłem sobie rękę sam, gdyż nie chciało mi się założyć ochronnych rękawic podczas szlifowania; również i tym razem pracowałem na czarno. Znów opatrzył mi rękę i znów powiedziałem mu, iż nie mogę podać mu miejsca pracy; i tak było ze mną ciągle; i wciąż mi pomagali. Pracowałem kiedyś w firmie mierniczej; miejsce to dla mnie znalazł człowiek któremu całą rodzinę zasypali szmalcownicy. Biegałem po polach z tyczkami a mój boss krzyczał coś do mnie poprzez pole.

— Nie słyszę — odkrzykiwałem.

Machał ręką; leciałem do niego poprzez pół kilometra.

— Ch... pana w d... — krzyczał. — Pan źle naciągnął kabel.

— Nie mówi się ch... pana, tylko ch... panu — odkrzykiwałem wesoło i znów biegłem w słońcu. Praca ta miała dodatkowe atrakcje; a mianowicie węże kęsające człowieka po nogach. Aby uniknąć kontaktu z gadami

i płazami nosiło się długie buty; przez jakiś czas pracował razem ze mną Anglik, którzy zabijał węże gołymi rękami, mówiąc przy tym:

— *The fucking snake...*

— Co on mówi? — dopytywał się mój szef.

— P... wąż — krzychałem poprzez pole składając ręce w trąbę.

— Że co? — krzychał mój szef.

Biegłem znów poprzez pole czując pot spływający wzdłuż mego ciała; ale musiałem biec ponieważ mój boss był człowiekiem ciekawym i musiał wiedzieć o czym mówiłem z Anglikiem. Tak więc biegłem poprzez pole.

— On mówi, że p... wąż — krzychałem kiedy byłem już o sto metrów od swego szefa.

— Pan go powie, żeby nie zawracał głowy, tylko żeby pracował — odwrzaskiwał mój szef.

— Jemu — krzychałem.

— Co jemu!

— Nie mówi się „pan go powie” tylko „jemu” — wyłem trzymając ręce złożone przy ustach. I tak mijały nam dni; wieczorami mój szef miał zazwyczaj dobry humor. Pracowało się normalnie po czternaście godzin dziennie; rankiem szef budził nas o trzeciej i pracowało się do zmroku. Któregoś dnia kiedy wymierzaliśmy pole w okolicach Twerii zobaczyłem mojego szefa biegnącego przez pole i wywijającego gazetą trzymaną w ręku.

— Złapali mu! — wył. — Złapali mu!

— Komu? — zapytałem.

— Eichmanna — powiedział mój szef. Usiedli wszyscy i poczęto czytać gazetę z wiadomością o porwaniu Eichmanna; ja stanąłem z boku i zapaliłem papierosa. Mój szef spojrział na mnie groźnie.

— Pan mnie p... nie będzie — powiedział. — Pan jesteś szajgec. Ja panu proszę się z powrotem wziąć za robotę.

Również i mojemu szefowi ludzie tej samej religii co ja, wybili wszystkich; mógł mi powiedzieć abym wy-

niósł się ale nie zrobił tego. Tak więc wszystko co piszę o Izraelu nie może być tym, co ja sam nazywam „zmyśleniem prawdziwym”; zbyt wiele tym ludziom zawdzięczam. I to także nie jest stwierdzeniem obiektywnym: zawdzięczam iż to, iż w ogóle żyję; ta sprawa może być ważna dla mnie a nie dla innych. Ocalili mi życie ludzie wymordowani przez ludzi mojej religii; tak więc nie umiem być tu obiektywny.

Mieszkałem wtedy w hotelu „Victory”; hotel ten był urządzony równie prosto jak i solidnie; wchodząc do hotelu człowiek rozbierał się w hallu i dawało się ubranie portierowi który je zamykał; po czym w kalesonach wchodziło się na ogólną salę; procedura oddania ciuchów była niestety konieczna, gdyż niektórzy klienci hotelu żyli przeważnie z kradzieży. Oczywiście nie było o tym mowy, aby jeden fachowy złodziej nawalił drugiemu garderobę; ale sytuację komplikowała wkraczająca w życie młodzież ze sfer przestępczych, nie znająca jeszcze etyki obowiązującej w tym świecie. Ja pracowałem w firmie mierniczej; kiedy indziej zacząłem pracę dla pewnej spółki filmowej. Spółka dla której pracowałem nie posiadała biura; siedzibą jej była kawiarnia „Noga”. Prezydentem był niejaki pan Zyskind; wice-prezydentem — pan Fiszbajn; akcjonariuszami spółki byli wszyscy kelnerzy i bywalcy kawiarni „Noga”. Kiedy nie było pieniędzy na kawę, po prostu brało się na wspólnika do przyszłego zysku kelnera i w ten sposób spółka prosperowała; ja inkasowałem swoje honorarium w alkoholu. Byłem tam aktorem, scenarzystą, doradcą prezydenta Zyskinda do spraw artystycznych i rzecz jasna również udziałowcem.

Siedziałem otepiały w kawiarni i inkasowałem swoje honorarium w alkoholu zmieniając co chwila treść scenariusza; raz był to scenariusz o Eichmannie; potem przerobiło się Eichmanna na dramat Sabry wychodzącej za mąż za bogatego Amerykanina i tęsknącej za krajem; potem Prezydent kazał mi to przerobić w ten sposób, żeby

było dużo humoru i żeby pływali, bo wtedy dziewczęta mogą się rozbierać a publika to lubi; przerobiło się to na dramat z życia rybaków w Ejlacie; z historii o rybakach zrobiło się następnie mrożącą krew w żyłach opowieść o szantażystach sprzedających Żydom w czasie wojny aspirynę, miast cjanku potasu; po czterech dniach mieliśmy z tego już historię o oddziale żołnierzy izraelskich siedzących w samym środku pola minowego: potem zrobiło się z tego opowieść o dobrym Niemcu, który przyjechał do Izraela aby odpokutować za winy swych rodziców; i już dokonawszy tylko kilku niezbędnych poprawek przerobiło się to na historię o dziewczynie która zaszła w ciążę i opuściwszy kibuc wyszła na ulicę, aby sprzedawać ciało swe.

Bywały kwestie drażliwe, kiedy chodziło o pieniądze a ja oczywiście nie powinienem wiedzieć za dużo; wtedy Prezydent z Wice-Prezydentem wychodzili do sracza i zamknąwszy się na klucz dyskutowali sprawy przyszłych zarobków; omówiwszy zagadnienie wracali z powrotem na salę. W kilka lat później pojechałem do Londynu na zaproszenie jednego z najbardziej znanych reżyserów na świecie który postanowił zostać również producentem: w pewnym momencie przeprosił mnie i udał się wraz ze swym doradcą finansowym do sracza gdzie rozmawiali równo pół godziny; również i w tym wypadku nie powinienem wiedzieć za dużo. Szkoda, że sprawa zrobienia dobrego filmu jest w zasadzie tylko sprawą przypadku, a nie przemyślenia i wizji. Pracując w Madrycie musiałem pracować w jednym pokoju z reżyserem, jego sekretarką, jego doradcą finansowym; było tam również dwóch agentów reprezentujących interesy swych klientów — aktorów z Hollywood. Jeśli, przypuścimy, pracowało się nad jakąś sceną, którą miał grać X — natychmiast wstawiał agent Y i protestował, mówiąc że scena jest za długa i że publiczność pocznie interesować się bardziej aktorem X niż aktorem Y. Reżyser dostawał szału; był on jednak zależny od tuzina innych głupków reprezentujących akto-

rów, producenta, bank i tak dalej. Nie umiem odpowiedzieć skąd biorą się dobre filmy; i nie wiem czy w ogóle jest ktoś, kto umie na to odpowiedzieć.

Siedząc kiedyś w spodenkach kąpielowych w hotelu „Victory” i prowadząc rozmowę towarzyską z innymi oprychami, zobaczyłem że do hotelu wchodzi moja przyszła żona, z którą rozeszłem się w gniewie przed dwoma laty. Byłem wtedy akurat po goleniu i wciąż jeszcze trzymałem w ręku maszynkę do golenia i dziurę obrzeżoną skrawkiem materiału; były to moje przybory toaletowe. Odłożyłem je na stół, aby przywitać się z ukochaną istotą; uczyniłem ku niej dwa kroki i natychmiast, zrozumiawszy swój tragiczny błąd, obróciłem się wstecz; moja maszynka do golenia i dziura ze strzępami materiału znikły. Ktoś nawalił ten cały klops wykorzystawszy chwilową euforię mych uczuć. Została mi tylko żona; popatrzawszy na nią i będąc z usposobienia romantykiem, dokonałem pośpiesznej tylko analizy swych uczuć i skonstatowawszy iż nie mam absolutnie nic przeciw walucie zachodniemieckiej, postanowiłem ją poślubić.

Wyjechałem z Izraela i przestałem myśleć o *commies*. Miałem zresztą poważniejsze zmartwienia: okupacja niemiecka, która skończyła się dla ludzi wiele lat temu, zaczęła się znowu dla mnie.

SPIS TREŚCI

<i>Sznurowadelka, paseczek, krawacik</i>	7
<i>Wrocław, Obory, Wyspa Róż</i>	28
<i>Reporter najbardziej bojowego pisma</i>	52
<i>Goofy the Dog</i>	72
<i>Feliks Dzierżyński i Bogey</i>	99
<i>Mam drzwi do szafy dwudrzwiowej, oszklone</i> ..	133
<i>Hotel „Victory”</i>	175

WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Ślub*
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL *Praca i jej goryczne (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodzennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugostawii (Seria „Dokumenty”, Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) . *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
45. Waclaw LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologetyki rosyjskiej*
47. Tibor DERY *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzina Europa*

51. Gustaw HERLING
GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIEŁOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) . *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOLKOSZ *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 9)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
71. I. IWANOW *Jest' li ziźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz I.*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosy do Stawka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) *6 lat temu... (Kulisy polskiego Październi-
ka) (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)*
84. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*
89. Witold JEDLIŃKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 12)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*

92. — *We własnych oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice.*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
96. Marek HŁASKO *Wszyscy byli odwrócenii. — Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga (Seria „Dokumenty” Zesz. 13)*
108. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-y)*
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos*
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany (Poezje)*
117. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 8-my)*
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)*
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego*
124. — *Dialog polsko-niemiecki (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15)*
125. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 9-ty)*
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16).*



A C H E V E D'IMPRIMER
LE 13 M A I 1966
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, R U E STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1966

Institut Literacki
Paryż

27. VII. 66r.

Cena 13,50 F. (20/-; dol. 3,00)